



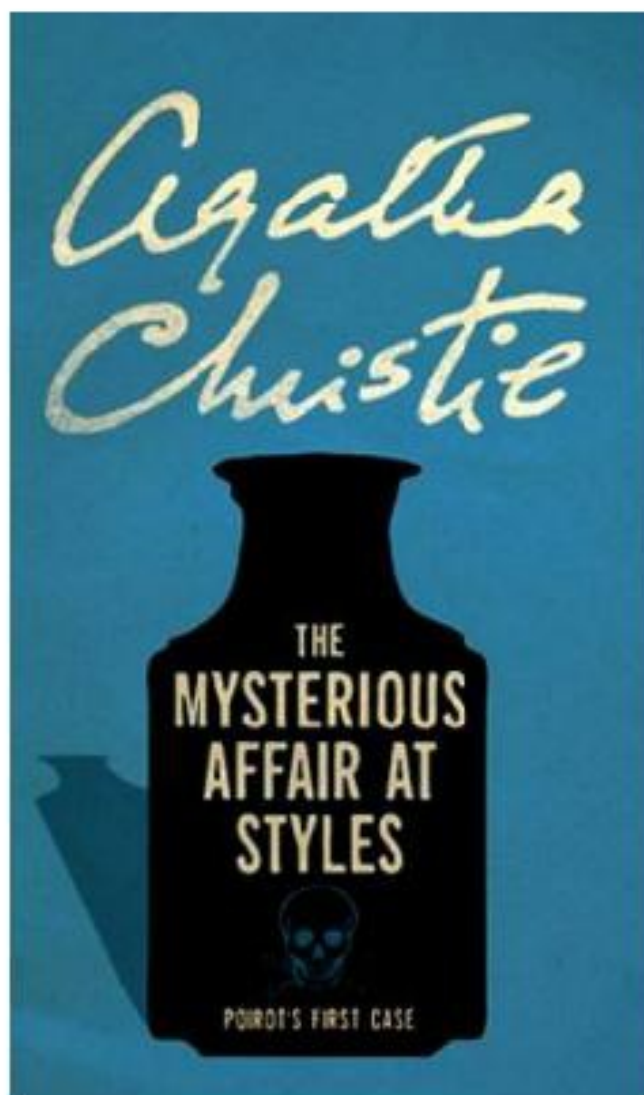
Agatha Christie



Tajemnicza historia w Styles

(The Mysterious Affair At Styles)

POIROT - 1



Księgozbiór DiGG



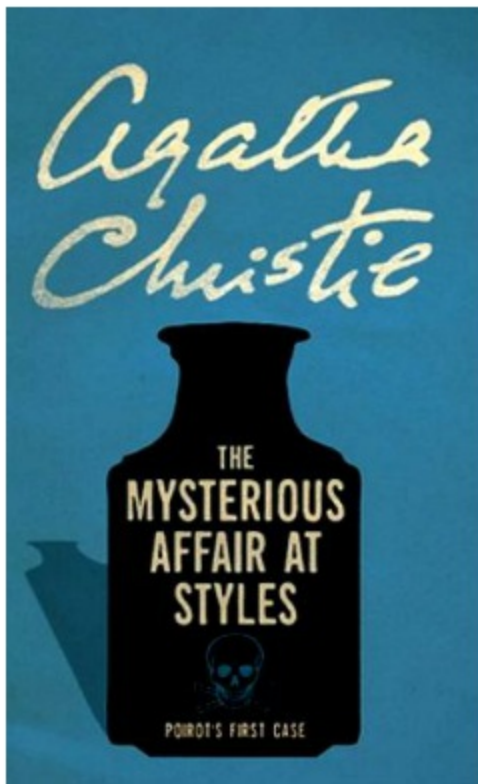
Agatha Christie Agatha Christie

?? ??

Tajemnicza historia w Styles

(The Mysterious Affair At Styles)

POIROT - 1



Księgozbiór DiGG

f

2008



I.

JADĘ DO STYLES

Ostatnio przygasło nieco zainteresowanie opinii publicznej sprawą nazwaną w swoim czasie

„tajemniczą historią w Styles”. Jednakże z racji

jej światowego rozgłosu mój przyjaciel Poirot oraz członkowie rodziny Cavendishów prosili mnie, abym opisał przebieg wydarzeń, co, jak się spodziewam, położy wreszcie kres krążącym jeszcze plotkom.

Rozpocznę od zwięzłego naszkicowania okoliczności, które uwikłały mnie w całą sprawę.

Jako inwalida zostałem odesłany z frontu do kraju¹ i po kilku miesiącach w ponurym Domu Ozdrowieńców otrzymałem urlop zdrowotny. Nie miałem bliskich krewnych ani przyjaciół, więc zastanawiałem się, co robić, gdy spotkałem przypadkiem Johna Cavendisha. Od lat widywałem go bardzo rzadko, a prawdę mówiąc nigdy nie znałem go bliżej. Był starszy ode mnie o dobre piętnaście lat, chociaż nie wyglądał na swoje czterdzieści pięć. Ale w szkolnych czasach często odwiedzałem Styles w hrabstwie Essex - wiejską posiadłość matki Johna. Przyjemną pogawędkę o dawnych czasach zakończyła propozycja, abym urlop spędził w Styles.

- Mamę ucieszy to spotkanie. Po tylu latach!

- A matka czuje się dobrze? - zapytałem.

- O tak! Wiesz pewnie, że niedawno wyszła za mąż?

Obawiam się, że zbyt jawnie okazałem zdziwienie. Panią Cavendish, która w swoim czasie poślubiła ojca Johna - wdowca z dwoma synami - pamiętałem jako przystojną osobę w średnim wieku. Obecnie musiała mieć co najmniej siedemdziesiątkę. Zawsze robiła na mnie wrażenie nieprzeciętnej władczej indywidualności, damy interesującej się żywo działalnością charytatywną i życiem towarzyskim, która przepadała za otwieraniem kiermaszy i rolą szczodroblivej wielkiej pani. Odznaczała się hojnością i miała pokaźny majątek osobisty.

Rezydencję wiejską - Styles Court - pan Cavendish nabył w początkowym okresie drugiego małżeństwa. Wpływowi żony ulegał tak dalece, że umierając zostawił jej w dożywocie zarówno majątność, jak i lwią część rocznych dochodów, co niewątpliwie krzywdziło synów. Ale macocha odnosiła się do nich życzliwie i nie szczędziła niczego chłopcom, którzy w chwili powtórnego ślubu ojca byli tak mali, że przywykli uważać panią Cavendish za własną matkę.

Młodszy z nich, Lawrence, był delikatny i wrażliwy. Ukończył medycynę, rychło jednak zniechęcił się do lekarskiego fachu i mieszkał w domu folgując zamiłowaniem literackim. Jednakże jego wiersze nie osiągnęły nigdy powodzenia. John zajmował się przez czas pewien

¹ Mowa tu o pierwszej wojnie światowej.

praktyką adwokacką, ostatecznie jednak wybrał spokojniejszy żywot osiadłego na wsi ziemianina. Przed dwoma laty ożenił się i sprowadził żonę do Styles. Podejrzywałem jednak, że rad by skłonić macochę do zapewnienia mu większych dochodów, dzięki czemu mógłby założyć własny dom. Nic z tego! Stara pani Cavendish lubiła decydować sama i

uważała, że wszyscy winni ulegać jej woli, a w każdym razie mocno ścisła sakiewkę.

John spostrzegł, że zaskoczyła mnie wiadomość o ponownym małżeństwie jego matki. Uśmiechnął się niewesoło.

- Taki łajdaczyzna małego kalibru! - burknął gniewnie. - Rozumiesz, Hastings, jak to nam wszystkim skomplikowało życie. A jeżeli chodzi o Evie... Pamiętasz Evie, prawda?

- Nie pamiętam.

- Widocznie pojawiła się później. To dama do towarzystwa mamy, jej totumfacka, powiernica. Pocziwa, zacna Evie! Ani ładna, ani młoda, ale prawdziwy skarb w domu.

- Chciałeś mi coś powiedzieć... - wtrąciłem dyskretnie.

- Aha. O tym facecie. Wziął się nie wiedzieć skąd, pozorem, że jest kuzynem czy czymś tam Evie, chociaż ona niechętnie przyznaje się do pokrewieństwa. Istny cudak! Ma czarną brodę i bez względu na pogodę chodzi w lakierkach. Ale mamie przypadł do serca. Z miejsca przyjęła go na sekretarza. Wiesz, matka ma zawsze na głowie setki towarzystw dobroczynnych.

- Wiem.

- Widzisz, wojna zmieniła setki w tysiące. Facet był istotnie przydatny. Ale wyobrażasz sobie nasze miny, kiedy przed trzema miesiącami mama oznajmiła o swoich zaręczynach z Alfredem. Jest od niej młodszy o dobre dwadzieścia lat! Rozumiesz? To łowca posagów pierwszej wody! Co było

robić? Mama jest panią własnej woli, więc ślub się odbył.

- Trudną macie sytuację - wtrąciłem.

- Trudną?! - obruszył się John. - Raczej niemożliwą!

W trzy dni później wysiadłem z pociągu na małej, zagubionej stacji Styles, która bez widocznej racji tkwi samotnie pośród zielonych pól i labiryntu wiejskich drózek. John Cavendish czekał na peronie i zaraz poprowadził mnie do samochodu.

- Mam jeszcze trochę benzyny - powiedział. - Zawdzięczam ją głównie społecznej pracy mamy.

Osadę Styles dzieliły od przystanku dwie mile, a Styles Court, siedziba Cavendishów, leżała jeszcze o milę dalej. Był spokojny, ciepły dzień na początku lipca. Pośród rozległych równin Essexu, drzemających w blasku

południowego słońca, nie chciało się wierzyć, że niezbyt daleko wielka, okrutna wojna sunie wytkniętym szlakiem. Odnosiłem wrażenie, że zabłądziłem nagle do innego świata. Kiedy skręciliśmy ku bramie Styles Court, John powiedział:

- Pewnie wyda ci się tutaj diabelnie cicho i spokojnie.

- Mój drogi! Niczego bardziej nie pragnę - zawołałem.

- Ha, można urządzać się u nas przyjemnie i beztrosko. Dwa razy

tygodniowo odbywam ćwiczenia z ochotnikami. Trochę gospodaruję. Moja żona zaciągnęła się do Pomocniczej Służby Rolnej. Co dzień wstaje o piątej rano. Doi krowy i haruje do południa. Ogólnie biorąc, życie byłoby

znośne, gdyby nie ten przeklęty Alfred Inglethorp.

Zahamował gwałtownie, spojrzał na zegarek.

- Myślałem, że zdążymy wstąpić po Cyntię. Ale nie. Na pewno wyjechała już ze szpitala.

- Kto to jest Cyntia? Twoja żona?

- Nie. Protegowana mamy. Córka jej koleżanki szkolnej, która wydała się za jakiegoś adwokaciego spod ciemnej gwiazdy. Ojciec zbankrutował i gdzieś przepadł, matka umarła. Dziewczyna została sierotą bez pensa. Moja matka przysłała jej z pomocą i Cyntia mieszka u nas od dwu lat. Pracuje w Szpitalu Czerwonego Krzyża w Tadminster, siedem mil stąd.

Zajechaliśmy przed piękny stary dom. Kobieta w spódnicy z grubego tweedu, pochylona dotąd nad grządką kwiatów, wyprostowała się na nasz widok.

- Dzień dobry, Evie! - zawołał John. - Oto nasz ranny bohater. Pan Hastings, panna Howard - dokończył prezentacji.

Poczułem mocny, prawie bolesny uścisk dłoni i przede wszystkim spostrzegłem niebieskie oczy - bardzo jasne na tle ogorzałej twarzy. Panna Howard była osobą mniej więc czterdziestoletnią, o miłej powierzchowności i głębokim, stentorowym głosie, niemal męskim w najniższych rejestrach. Krzepkiej budowie jej ciała odpowiadały stosownie duże stopy obute w solidne trzewiki. Wkrótce miałem sposobność zauważyć, że rozmowę zwykła prowadzić w telegraficzny styl.

- Chwasty jak choroba. Nie daję rady. Proszę uważać. Mogę zapędzić pana do roboty.

- Z całą przyjemnością będę służył pomocą - odpowiedziałem uprzejmie.

- Nic z tego. Obiecanki cacanki. Już ja się na tym znam.

- Weredyczka z ciebie, Evie - roześmiał się John. - Gdzie dziś herbata? W domu czy na świeżym powietrzu?

- Na dworze. Za ładny dzień, żeby się dusić w domu.

- Chodźmy. Starczy na dziś dłubaniny. Ogrodniczka zarobiła dniówkę.

Chodźmy. Musisz się pokrzepić.

- Niech będzie! - panna Howard ściągnęła brezentowe rękawice. - Co racja, to racja. Spiesząc za nią przeszliśmy na tyły domu, gdzie pod rozłożystym, starym platanem nakryto stół do podwieczorku. Na nasz widok z wiklinowego fotela wstała młoda kobieta i postąpiła kilka kroków.

- Moja żona, Hastings - szepnął John.

Nigdy nie zapomnę pierwszego spotkania z Mary Cavendish. Wysoka, smukła postać zarysowana na tle jasnego nieba; utajony ogień, który znajduje wyraz tylko w tych cudownych piwnych oczach - niezwykłych i tak bardzo różnych od oczu kobiecych, jakie dotąd widywałem. Bezmierny spokój Mary Cavendish był mimo wszystko wyrazem szaleńczego, nieposkromionego ducha uwięzionego w doskonale ukształtowanym cywilizowanym ciele. Wszystko to wryło się głęboko w moją pamięć i pozostanie tam utrwalone na zawsze.

Usłyszałem kilka miłych słów powitania, wypowiedzianych niskim,

dźwięcznym głosem, i zapadłem w wiklinowy fotel z uczuciem głębokiego zadowolenia, że skorzystałem z zaprosin Johna. Pani Cavendish podała mi herbatę, a początek zdawkowej rozmowy potwierdził moje pierwsze wrażenie, że to kobieta naprawdę fascynująca. Pilny słuchacz stanowi

zawsze czynnik pobudzający, więc udało mi się opowiedzieć o paru wydarzeniach z Domu Ozdrowieńców w sposób żartobliwy, który, jak pochlebiam sobie, szczerze ubawił młodą panią domu. John to oczywiście zacny przyjaciel, lecz człowiek, któremu trudno przypisać błyskotliwe zalety towarzyskie.

W pewnym momencie za uchylonymi oszklonymi drzwiami tarasu rozbrzmiał dobrze znajomy głos.

- Ty, Alfredzie, napiszesz do księżniczki zaraz po podwieczorku, dobrze? Ja wystosuję list do lady Tadminster w sprawie otwarcia kiermaszu w drugim dniu. A może lepiej zaczekać na odpowiedź księżniczki? W razie odmowy lady Tadminster wystąpi pierwszego dnia, a pani Grosbie drugiego. Starej księżnie można pozostawić uroczystość w szkole. Jak sądzisz?

Męski głos odpowiedział coś niedosłyszalnie i pani Inglethorp nagle podjęła znów głośniejsze:

- Oczywiście. Zdążysz, mój drogi, po herbacie. Jak ty o wszystkim pamiętasz, najdroższy Alfredzie!

Drzwi na taras otwarły się szerzej i na trawnik weszła przystojna, siwowłosa dama w podeszłym wieku i o bardzo stanowczym wyrazie twarzy. Za nią pojawił się mężczyzna, którego postawa i ruchy świadczyły o pełnej szacunku serdeczności.

Pani Inglethorp powitała mnie wylewnie.

- Jakże mi miło zobaczyć cię po tylu latach. To pan Hastings kochany Alfredzie. Mój mąż.

Z nie tajoną ciekawością spojrzałem na „kochanego Alfreda” Bez wątpienia stanowił tutaj dysonans. Nie zdziwiła mnie odraza Johna do jego brody - jednej z najdłuższych i najczarniejszych, jakie miałem okazję widzieć w życiu. Jegomość nosił okulary w złotej oprawie i miał twarz o

zduńiewająco biernym wyrazie. Przyszło mi na myśl, że wyglądałby naturalnie na scenie i że w realnym życiu zdaje się dziwnie nie na miejscu.

Głos miał niski, pełen namaszczenia, a dłoń, którą poczułem w swojej ręce, sprawiała wrażenia drewnianej.

- Miło mi pana poznać - powiedział i zwrócił się do żony. - Ta poduszka, najdroższa Emilio, jest chyba trochę wilgotna.

„Najdroższa Emilia” rozpromieniła się i tkliwie spoglądała na męża, gdy ów zmieniał poduszkę na fotelu, nie szczędząc oznak daleko posuniętej troski. Co za szczególne zadurzenie u kobiety tak trzeźwej i rozumnej!

Obecność pana Inglethorpa narzuciła towarzystwu niejaki skrępowanie

i nastrój tłumionej niechęci. Widoczne to było zwłaszcza u panny Howard, która nie próbowała nawet maskować uczuć. Jednakże starsza dama zdawała się nie dostrzegać nic osobliwego. Nie straciła na wymowności w ciągu wielu minionych lat, toteż swobodnie podtrzymywała konwersację,

przede wszystkim na temat organizowanego przez siebie kiermaszu, który miał odbyć się w najbliższych dniach. Raz po raz pytała męża o rozmaite szczegóły, a uniżone, pełne troski maniere brodacza przez cały czas nie uległy zmianie. Przyznaję, że z miejsca poczułem doń żywą, głęboką niechęć, a pochlebiam sobie - moje pierwsze wrażenia bywają zazwyczaj trafne.

Niebawem pani Inglethorp zwróciła się do panny Howard, aby wydać jej polecenie w sprawie jakichś listów. Tymczasem małżonek ją mnie indagować swoim matowym głosem.

- Czy jest pan zawodowym wojskowym?

- Nie. Przed wojną pracowałem u Lloyda.

- I wróci pan tam po wojnie?

- Nie wiem. Może wystartuję jakoś od nowa.

Mary Cavendish pochyliła się ku mnie.

- Jaki obrałby pan zawód, gdyby w grę wchodziło wyłącznie zamiłowanie?

- Hm... To zależy.

- Nie ma pan skrytego hobby? - podjęła. - Proszę się przyznać. Z pewnością jest coś, co pana pociąga. Każdy pielęgnuje jakieś pragnienia, często całkiem bezsensowne!

- Może wydam się pani komiczny... - bąknąłem.

- Może... - odpowiedziała z uśmiechem.

- Otóż w skrytości serca marzę od dawna, żeby zostać detektywem.

- Prawdziwym detektywem? Takim ze Scotland Yardu czy raczej Sherlockiem Holmesem?

- Oczywiście Sherlockiem Holmesem. Mówię poważnie. To pociągało mnie zawsze i pociąga. Na domiar złego w Belgii poznałem słynnego detektywa. Ten dopiero rozognił moje pragnienia. Cudowny człowiek! Twierdzi uparcie, że dobra robota w jego fachu polega tylko na właściwej metodzie. Wyszedłem z tego założenia i oczywiście posunąłem się nieco dalej. To zdumiewająco inteligentny jegomość, chociaż trochę zabawny. Wie pani, taki elegant bardzo małego wzrostu.

- Lubię dobre kryminały - wtrąciła nagle panna Howard. - Ale

przeważnie to brednie. Sprawca ujawnia się w ostatnim rozdziale. Wszyscy są ślepi. Co innego prawdziwa zbrodnia. Wtedy od razu wiadomo.

- Bardzo wielu zbrodni nie wykryto - zaoponowałem.

- Nie mówię o policji. Chodzi mi o osoby zainteresowane, krewnych. Tych niepodobna oszukać. I tak będą wiedzieli.

- Czy to ma znaczyć - podjąłem nie bez ironii - że gdyby pani została uwikłana w zbrodnię, dajmy na to w morderstwo, bez wahania potrafiłaby

pani wskazać sprawcę?

- Naturalnie. Może nie zdołałabym dowieść tego wobec gromady prawników. Ale wiedziałabym swoje. Gdyby taki zbliżył się do mnie, poczułabym przez skórę.

- Mogłaby to być „taka” - wtrąciłem.

- Mogłaby. Ale morderstwo jest aktem gwałtownym. Kojarzy się raczej z mężczyzną.

- Ale trucizna to broń kobiet - zdziwił mnie rzeczowy ton głosu pani

Cavendish. - Doktor Bauerstein mówił mi wczoraj, że lekarze nie mają na ogół pojęcia o działaniu mniej rozpowszechnionych trucizn. Dlatego niejedna zbrodnia mogła nawet nie obudzić podejrzeń.

- Daj spokój, Mary - powiedziała pani Inglethorp. - Zimno się robi przy takiej makabrycznej rozmowie. O! Jest Cyntia!

Młoda dziewczyna w mundurze Służby Sanitarnej nadeszła lekkim krokiem.

- Czemu tak późno, Cyntio? Pan Hastings, panna Murdoch.

Nowo przybyła wyglądała ładnie i świeżo. Sprawiała wrażenie istoty

pełnej temperamentu i życia. Energicznym ruchem zrzuciła z głowy małą furażerkę. Zdumiała mnie obfitość jej lśniących rudawych włosów i biel drobnej dłoni, którą wyciągnęła po herbatę. Byłaby piękną, gdyby miała ciemne oczy i rzęsy. Zajęła miejsce na murawie obok Johna; uśmiechnęła się do mnie, kiedy podałem jej talerz z kanapkami.

- Czemu nie siądzie pan na trawie, jak ja? - zapytała. - To o wiele przyjemniej.

Posłusznie zastosowałem się do dobrej rady i zagałem rozmowę.

- Pracuje pani w Tadminster?

- Nie wiem, za jakie grzechy.

- Dają tam pani szkołę? - podchwyciłem z uśmiechem.

- Niechby spróbowali! - zawołała groźnie.

- Mam kuzynkę pielęgniarkę - podjąłem. - Okropnie boi się „siostr”.

- Wcale jej się nie dziwię. Siostry to... jak by tu powiedzieć... No siostry. Rozumie pan? Ale ja, dzięki Bogu, nie jestem pielęgniarką. Pracuję w szpitalnej aptece.

- Ile ludzi pani otruła? - zapytałem z uśmiechem.

Uśmiechnęła się również.

- Ile? Setki!

- Cyntio - odezwała się pani Inglethorp - czy będziesz mogła mi pomóc? Chodzi o kilka krótkich listów.

- Naturalnie, ciociu Emilio.

Panna Murdoch podniosła się żywo. W całym jej zachowanie było coś, co świadczyło, że zajmuje w domu pozycję wątpliwą, a pani Inglethorp, mimo swojej dobroci, dyryguje nią i nie pozwala zapomnieć o tym protegowanej.

Tymczasem starsza dama zwróciła się do mnie:

- John wskaże ci drogę do pokoju gościnnego. Kolacja jest o wpół do ósmej. Ostatnio zrezygnowaliśmy z późnego obiadu. Tak samo lady Tadminster, żona naszego deputowanego do Parlamentu. Wiesz, to córka świętej pamięci lorda Abbotsbury. Lady Tadminster zgodziła się ze mną, że należy osobiście dawać przykład oszczędności. My prowadzimy naprawdę wojenne gospodarstwo. Nic się nie marnuje. Zbieramy nawet makulaturę do ostatniego świstka i odsyłamy w workach, gdzie należy.

Dałem wyraz uznaniu dla chwalebego stanowiska i John poprowadził mnie na szerokie schody, które rozwidlały się w połowie, wiodąc do dwu skrzydeł obszernej budowli. Mój pokój, z widokiem na park, znajdował się

w lewym.

John zostawił mnie tam i w kilka minut później zobaczyłem go przez okno. Szedł powoli trawnikiem, ramię w ramię z Cyntią Murdoch. Nagle dobiegł mnie głos pani Inglethorp.

- Cyntio! - zawołała gniewnie.

Dziewczyna drgnęła, odwróciła się i pobięła w kierunku domu. Jednocześnie drugi mężczyzna wyszedł z cienia drzew i bez pośpiechu ruszył w tę samą stronę - mniej więcej czterdziestoletni brunet o gładko wygolonej, melancholijnej twarzy. Odniosłem wrażenie, że jest wzburzony, a kiedy spojrzał ku oknu, poznałem go mimo piętnastu lat, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania. Był to młodszy brat Johna, Lawrence Cavendish. Począłem zastanawiać się mimo woli, czemu przypisać szczególny wyraz jego twarzy.

Niebawem jednak zapomniałem o tym i wróciłem myślami do własnych spraw.

Wieczór minął przyjemnie, a w nocy śniłem o Mary Cavendish, która wydała mi się kobietą-sfinksem.

Następny ranek był jasny, słoneczny. Zdawał się wróżyć wiele miłych chwil w czasie odwiedzin w Styles Court. Pani Cavendish nie widziałem do lunchu, potem jednak zaproponowała mi spacer i spędziliśmy urocze

popołudnie. Długo wędrowaliśmy pośród pól i lasków i do domu wróciliśmy około piątej.

W obszernym hallu John zaprosił nas gestem do sąsiedniej palarni. Jego mina świadczyła, że musiało zajść coś niepokojącego. Poszliśmy za nim zamykając drzwi.

- Słuchaj, Mary - zaczął. - Mieliśmy tu prawdziwe piekło. Evie zrobiła awanturę Alfredowi. Wyjeżdża.

- Evie? Wyjeżdża?

John posępnie skinął głową.

- Tak, wygarnęła wszystko i... Otóż i ona.

Do pokoju wkroczyła panna Howard. Usta miała zaciśnięte. W ręku trzymała niewielką walizkę. Wyraz twarzy miała surowy, stanowczy, jak gdyby trochę przegrany.

- W każdym razie - wybuchnęła - powiedziałam, co miałam do powiedzenia.

- Evie! Kochana! - zawołała pani Cavendish. - Wyjeżdżasz? To niemożliwe!

- Możliwe. Wyrębałam Emilii różne rzeczy. Nie zapomni prędko ani przebaczy. Pewno prawda nie trafiła głęboko. Spłynie jak woda po psie. Mniejsza o to. Powiedziałam prosto z mostu: Jesteś stara, Emilio, a nikt nie potrafi zgłupieć bardziej niż stary. On ma o dwadzieścia lat mniej. Nie łudź się, dlaczego został twoim mężem. Dla pieniędzy. Nie dawaj mu ich za dużo. Farmer Raikes ma bardzo ładną, młodą żonkę. Może zapytasz

Alfreda, ile czasu z nią spędza, co?" Strasznie się wściekła. Zrozumiałe! A ja dalej swoje: „Muszę cię przestrzec, chcesz czy nie chcesz. Ten człowiek zamorduje cię kiedy we śnie. Zobaczysz! To szubrawiec. Zwymyślaj mnie. Bardzo proszę. Ale zapamiętaj moje słowa. To szubrawiec!”

- Co ona na to?

Panna Howard wykrzywiła się z niesmakiem.

- Co ona na to? „Kochany Alfred, najdroższy Alfred!” Że to niby podle kalumnie, obrzydliwe kłamstwa. Że tylko zła kobieta może tak oczerniać „najlepszego z mężów”. Im prędzej wyjadę, tym lepiej. Więc się zbieram.

- Chyba nie zaraz?

- Zaraz! W tej chwili!

Staraliśmy się odwieść pannę Howard od szaleńczego pomysłu. Wreszcie John, przekonawszy się, że wszelkie perswazje na nic, wyszedł, by sprawdzić rozkład pociągów. Mary pospieszyła za nim mamrocząc, że pani Inglethorp mogłaby mieć więcej oleju w głowie.

Kiedy zostaliśmy sami, Evie zwróciła się do mnie zupełnie innym tonem.

- Pan jest uczciwy. Mogę panu zaufać, prawda?

Zdziwiłem się. Położyła mi dłoń na ramieniu i ciągnęła niższy głos prawie do szeptu:

- Niech pan strzeże mojej biednej Emilii. To stado rekinów. Oni wszyscy. Wiem, co mówię! Każde z nich tylko węszy, jak wydusić pieniądze z Emilii. Robiłam, co mogłam. Teraz rzucą się na nią. Wszyscy!

- Oczywiście, proszę pani - bąknąłem. - Będę się starał... Ale pani zanadto się niepokoi. Moim zdaniem...

Przerwała podnosząc rękę ostrzegawczym gestem.

- Proszę mi ufać, młody człowieku. Żyj ę na tym świecie dłużej niż pan. Zaklinam tylko, żeby miał pan oczy otwarte. Sam się pan przekonaj.

Przed domem zawarczał silnik samochodu, odezwał się głos Johna.

Panna Howard wstała z fotela, ruszyła w stronę drzwi. Ale z ręką na klamce odwróciła się jeszcze i dodała spoglądając na mnie przez ramię:

- Przede wszystkim musi pan mieć na oku tego piekielnika, jej męża.

Więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż w hallu wybuchł chór protestów i słów pożegnania. Inglethorpowie nie pokazali się wcale.

Kiedy samochód ruszył, pani Cavendish odłączyła się nagle od towarzystwa i przez podjazd i trawnik pospieszyła na spotkanie wysokiego, brodatego mężczyzny, który zmierzał w kierunku domu. Podając mu rękę zarumieniła się mocno.

- Kto to? - zapytałem szorstko, gdyż odczułem instynktowną niechęć do nieznanego.

- Doktor Bauerstein - wyjaśnił lakonicznie John.

- A kto to jest doktor Bauerstein?

- Mieszka w osadzie Styles. Przychodzi do zdrowia po ciężkim załamaniu nerwowym. To londyński specjalista, wielki uczonec, podobno jeden z największych autorytetów w zakresie trucizn.

- I serdeczny przyjaciel Mary - dodała bezlitosna Cyntia.

John Cavendish spochmurniał, zmienił temat.

- Chodźmy na spacer, Hastings - zaproponował. - Paskudna historia. Evie miała zawsze język niewyparzony, ale trudno o lepszego, wierniejszego przyjaciela.

Poprowadził mnie ścieżką przez ogród warzywny, a następnie do osady

wzdłuż lasu, wytyczającego jedną z granic posiadłości. W drodze powrotnej minęła nas z uśmiechem i ukloniła się Johnowi młoda kobieta o cygańskim typie urody.

- Śliczna dziewczyna - wyraziłem uznanie.

Twarz Johna sposepniała ponownie.

- Pani Raikes - odburknął.

- Ta, o której panna Howard...

- Właśnie - uciął krótko i jak gdyby z zakłopotaniem. Pomyślałem o

starej, siwowłosej pani Styles Court i tej śniadej, zalotnej twarzyczce, która przed chwilą obdarzyła nas uśmiechem. Nawiedziły mnie nieokreślone złe przeczucia, lecz pozbyłem się ich rychło.

- Styles to piękna, urocza posiadłość - zwróciłem się do Johna.

- Niezły majątek - przyznał. - Kiedyś będzie mój... Już teraz należałby do mnie, gdyby ojciec sprawiedliwie rozporządził spadkiem. Nie miałbym takich piekielnych kłopotów finansowych jak teraz.

- Masz kłopoty?

- Mój drogi, tobie mogę powiedzieć, że jak szalony kręcę się za groszem.

- Brat nie może ci pomóc?

- Lawrence? Przepuścił wszystko, do ostatniego pensa, na wydawanie nędznych wierszy w ozdobnych oprawach. Obydwaj jesteście golce. Muszę przyznać, że matka nie skąpiła nam dotąd. Ale to koniec. Rozumiesz? Po wyjściu za męż... - urwał, zamyślił się ponuro.

Po raz pierwszy odczułem, że wraz z Evie Howard zniknęło z domowej atmosfery coś niezastąpionego. Jej obecność tchnęła bezpieczeństwem, które obecnie ustąpiło miejsca niepewności. Z odrazą wspominałem ponurą twarz doktora Bauersteina. Nie wiedzieć czemu, wszyscy wydali mi się podejrzani - wszyscy i wszystko. Coś w rodzaju nagłego przeczucia niedalekiej katastrofy.



II.

SZESNASTY I SIEDEMNAŚTY LIPCA

Do Styles przyjechałem piątego lipca. Obecnie przechodzę do wydarzeń szesnastego i siedemnastego. Dla wygody czytelnika zaprezentuję je

możliwie najdokładniej, chociaż wychodziły na jaw stopniowo, w czasie śledztwa oraz procesu, dzięki żmudnym dochodzeniom i przesłuchaniom.

W dwa dni po wyjeździe Eweliny Howard dostałem od niej list. Pisała, że pracuje jako pielęgniarka w dużym szpitalu w Middlingham, fabrycznym mieście odległym mniej więcej o piętnaście mil. Prosiła mnie też o wiadomość, na wypadek gdyby pani Inglethorp zdradziła jakąkolwiek skłonność do pojednania.

Spokój płynących miło dni zakłócała mi tylko niezwykła i zupełnie dla mnie niepojęta sympatia Mary Cavendish do obrzydliwego doktora Bauersteina. Nie mogłem zrozumieć, co widzi w tym człowieku, czemu zaprasza go wciąż do domu i tak często odbywa przechadzki w jego asyście. Nie miałem pojęcia, czemu przypisać tę sympatię.

Szesnasty lipca wypadł w poniedziałek. Był to dzień nie byle jakiego ożywienia. W sobotę otwarto głośny kiermasz dobroczynny, a na poniedziałkowy wieczór przygotowano w ramach tejże imprezy bankiet, na którym sama pani Inglethorp miała deklamować wiersz wojenny. Od rana wszyscy byliśmy zatrudnieni przy porządkowaniu i dekorowaniu sali zebrań w osadzie Styles. Lunch zjedliśmy późno, a po południu odpoczywaliśmy w parku. Zwróciłem uwagę, że John zachowuje się w sposób niecodzienny. Był dziwnie podniecony i zdenerwowany.

Po herbacie pani Inglethorp położyła się, by nabrać sił przed występem, a ja zaproponowałem Mary Cavendish mecz tenisowy.

Mniej więcej trzy kwadranse na siódmą starsza dama zawołała z okna, zwracając nam uwagę, że spóźnimy się na wcześniejszą tego wieczora kolację. Wszystko odbywało się pospiesznie i w chwili kiedy wstawaliśmy od stołu, zajechał samochód.

Bankiet udał się doskonale, a występ pani Inglethorp nagrodziły frenetyczne oklaski. Były też żywe obrazy z udziałem Cynthii, Panna Murdoch nie wróciła z nami, bo na kolację i nocleg

zaprosili ją znajomi,

którzy także uczestniczyli w zabawie.

Następnego rana pani Inglethorp zjadła śniadanie w łóżku. Była bardzo zmęczona, ale około pół do pierwszej zjawiała się w doskonałej formie i mnie oraz Lawrence'a porwała na proszony lunch.

- Przemiełe zaproszenie do pani Rolleston. Wiecie, to siostra lady Tadminster. Rollestonowie są jedną z naszych najstarszych rodzin. Przybyli do Anglii z Wilhelmem Zdobywcą.

Mary wymówiła się pod pretekstem spotkania z doktorem Bauersteinem.

Lunch był przyjemny, a po drodze Lawrence zaproponował abyśmy wracali przez Tadminster. Zboczymy tylko o milę i odwiedzimy Cyntię w

aptece. Starsza pani pochwaliła pomysł lecz dodała, że ma kilka listów do napisania, więc zostawi nas w szpitalu, skąd wrócimy bryczką wraz z panną Murdoch.

Portier zatrzymał nas podejrzliwie, aż nadeszła Cyntia - ładna i świeża w długim białym fartuchu. Zaprowadziła nas do swojego sanktuarium i przedstawiła współpracownikowi. Był to ponuro wyglądający jegomość, którego dziewczyna tytułowała poufale „Nibs”.

- Ile tu sło! - zawołałem przebiegając wzrokiem izbę apteczną. - Wie

pani, co każdy z nich zawiera? Naprawdę?

- Mógłby pan zacząć od czegoś oryginalniejszego - obruszyła się Cyntia. - To pierwsze słowa każdego, kto tutaj wchodzi. „Ile tu sło!” Wiem także, o co chciał pan zapytać dalej: „Ilu ludzi pani otruła?”

Ze śmiechem przyznałem jej rację.

- Gdyby wszyscy zdawali sobie sprawę, jak łatwo otruć człowieka przez pomyłkę, nie dowcipkowaliby na ten temat. No, napijemy się herbaty. W szafce mam zapasy. Nie w tej, Lawrence. To jest magazyn trucizn. W tamtej większej. Zgadza się!

W dobrym nastroju wypiliśmy herbatę, a następnie pomogliśmy przy zmywaniu. Kiedy ostatnia łyżeczka trafiła na swoje miejsce, ktoś zastukał do drzwi. Gospodarze zrobili urzędowe miny.

- Proszę! - rzuciła Cyntia surowym tonem.

Na progu stanęła bardzo młoda, onieśmielona pielęgniarka i podała butelkę Nibsowi, który wskazał Cyntię dorzucając zagadkowe zdanie:

- Formalnie nie ma mnie tu dzisiaj.

Panna Murdoch zmierzyła butelkę wzrokiem surowego sędziego.

- Trzeba to było przysłać rano - powiedziała.

- Siostra bardzo przeprasza. Zapomniała.

- Mogłaby przeczytać regulamin na drzwiach apteki.

Mina młodej ósóbki świadczyła wyraźnie, że zalecenie Cyntii nie będzie powtórzone groźnej siostrze.

- Teraz za późno. Proszę zgłosić się jutro - zawyrokowała panna Murdoch.

- Aa... Czy nie można by wieczorem?

- Jesteśmy bardzo zajęci, ale jeżeli znajdzie się wolna chwila... - ustąpiła łaskawie Cyntia.

Pielęgniarka wyszła, a nasza gospodyni sięgnęła po słoje, napełniła flaszkę i wystawiła na stolik za drzwiami apteki. Roześmiałem się głośno.

- Trzeba utrzymywać dyscyplinę, prawda?

- Zgadza się! Chodźmy na balkon. Widać stamtąd wszystkie pawilony.

Gospodarze jęli pokazywać mi rozmaite zabudowania. Lawrence został w izbie aptecznej, niebawem jednak Cyntia go wezwała.

- Wszystko zrobione, Nibs? - dodała zerkając na zegarek.

- Wszystko.

- Doskonale. Możemy zamknąć budę i zmykać.

Tamtego popołudnia zobaczyłem Lawrence'a w innym niż dawniej

świecie i zrozumiałem, że rozgryźć go znacznie trudniej niż Johna. Nieśmiały i zazwyczaj bardzo powściągliwy, stanowił przeciwieństwo

brata. Ale miał pewien wdzięk, pomyślałem zatem, że przy bliższym

poznanu można go polubić. Dotychczas odnosiłem wrażenie, że Lawrence jest szczególnie skrępowany w obecności Cyntii, ona zaś traktuje go z wyjątkową rezerwą. Ale tamtego dnia obydwójce byli ożywieni i przekomarzali się wesoło, jak dzieci.

W drodze przez Styles przypomniałem sobie, że powinienem kupić znaczki, zatrzymaliśmy się więc przed pocztą. Wychodząc stamtąd zderzyłem się w drzwiach z mężczyzną niskiego wzrostu. Odstąpiłem przepaszając uprzejmie, lecz pokrzywdzony chwycił mnie nagle w objęcia i ucałował gorąco.

- *Mon ami*, Hastings! - zawołał głośno. - Rzeczywiście! To ty, Hastings!

- Poirot! To bardzo dla mnie miłe spotkanie, panno Cyntio - ciągnąłem podchodząc do bryczki. - To stary przyjaciel, *monsieur* Poirot. Od lat go nie widziałem.

- Pana Poirota znamy wszyscy - roześmiała się dziewczyna. - Ale w głowie mi nie powstało, że to pański przyjaciel.

- Istotnie - podchwycił z godnością Poirot. - Znam pannę Cyntię, a mieszkam tutaj dzięki dobrej, kochanej pani Inglethorp. - Widocznie

zauważył mój pytający wzrok, gdyż podjął tonem wyjaśnienia: - Tak, drogi przyjacielu. Pani Inglethorp udzieliła gościny siedmiu moim rodakom. Niestety, jesteśmy uchodźcami z ojczyzny. My, Belgowie, zawsze będziemy wdzięczni pani Inglethorp za jej miłosierny uczynek.

Poirot był drobny, niski i miał bardzo dziwaczną powierzchowność. Niewiele wyższy niż pięć stóp i cztery cale, nosił się z niepospolitą godnością. Jajowatą głowę przechylał na bok i nosił długie, sztywno sterczące wąsy w icsie wojskowym stylu. Schludność jego ubioru graniczyła z niepodobieństwem; sądzę, że pyłek na rękawie sprawiłby małemu Belgowi więcej bólu niż rana

zadana pociskiem karabinowym. Ale ten niepokaźny, cudaczny elegant, który (stwierdziłem to z przykrością) utykał teraz wyraźnie na prawą nogę, był w swoim czasie asem policji belgijskiej. Jako detektyw uchodził za gwiazdę pierwszej wielkości i niejednokrotnie wykrywał zbrodnie sensacyjne i na pozór nie do wykrycia.

Teraz wskazał mi domek, w którym mieszkał wraz z innymi Belgami, a ja obiecałem mu wizytę przy pierwszej sposobności. Następnie uniósł kapelusza i gdy bryczka ruszała, zamasztyłym gestem ukłonił się Cyntii.

- Kochany mały cudak - powiedziała dziewczyna. - przypuszczałam, że to pański znajomy.
- Nieświadomie goszczą państwo znakomitość - uśmiechnąłem się i aż do domu opowiadałem z ożywieniem o wyczynach Herkulesa Poirot.

W doskonałych humorach przyjechaliśmy do Styles Court. Kiedy weszliśmy do hallu, pani Inglethorp wyjrzała z buduaru. Była wyraźnie rozdrażniona, wytrącona z równowagi.

- Aa... To ty - powiedziała.
- Czy coś się stało, ciociu Emilio? - zapytała Cyntia.
- Nie. Skąd znowu! - obruszyła się dama i spostrzegłszy pokojową Dorcas, która szła do jadalni, poleciła jej przynieść do buduaru znaczki pocztowe.

- Słucham, proszę pani - odrzekła stara służąca i dodała z pewnym wahaniem: - Taka pani dzisiaj zmęczona... Nie lepiej iść do łóżka?

- Chyba masz rację, Dorcas... Tak... Ale nie zaraz. Muszę napisać parę listów przed odejściem poczty. Napaliłaś w kominku w moim pokoju?

- Tak jak pani kazała, proszę pani.
- Położę się zaraz po kolacji - oznajmiła starsza dama zamykając drzwi buduaru, na które Cyntia spojrzała zatroskanym wzrokiem.

- Wielki Boże! Co się mogło stać? - szepnęła do Lawrence'a, ale nie dosłyszał zapewne, bo bez słowa odwrócił się i wyszedł z domu.

Zaproponowałem krótką partię tenisa przed kolacją i uzyskawszy zgodę pobiegłem na piętro po raketę. Na schodach spotkałem panią Cavendish; może to było złudzenie, lecz i ona wydała mi się rozdrażniona, nieswoja.

- Jak się udał spacer z doktorem Bauersteinem? - zapytałem na pozór zdawkowo.
- Wcale nie wychodziłam - odrzekła krótko. - Gdzie jest pani Inglethorp?
- W buduarze.

Mary zacisnęła dłoń na poręczy schodów, jak gdyby sposobiąc się do ciężkiej przeprawy, a następnie zbiegła schodami i minawszy hall zamknęła za sobą drzwi buduaru.

Po chwili spiesząc na kort tenisowy musiałem przejść obok otwartego okna tego pokoju, nie mogłem zatem nie usłyszeć urywków dialogu. Najprzód dobiegł mnie głos Mary, która wyraźnie z

trudnością panowała nad sobą.

- Więc nie pokażesz mi tego?

- Moja droga - odpowiedziała pani Inglethorp. - To nie ma nic wspólnego z twoimi sprawami.

- W takim razie pokaż.

- Powtarzam, to coś zupełnie innego, niż sobie wyobrażasz. Ciebie nie dotyczy w najmniejszym stopniu.

- Naturalnie! - rzuciła Mary tonem rosnącego rozdrażnienia. - Nietrudno

było przewidzieć, że zechcesz go osłaniać.

Cyntia oczekiwała mnie z niemałym przejęciem.

- Wie pan! Była okropna awantura. Dorcas powiedziała mi wszystko.

- Awantura?

- Tak. Między nim a ciocią Emilią. Nareszcie go pewnie przejrzała.

- Dorcas asystowała przy tym?

- Skąd znowu! „Przypadkiem znalazła się pod drzwiami”. Strasznie się kłócili. Chciałabym wiedzieć, o co poszło.

Przypomniała mi się cygańska uroda pani Raikes i niepokój Eweliny Howard. Woląłem jednak trzymać j ęzyk za zębami, gdy Cyntia roztrząsała wszelkie prawdopodobne hipotezy i wyrażała serdeczne nadzieje, że „ciocia Emilia pokaże mu drzwi i nigdy, nigdy nie odezwie się do niego słowem”. Bardzo chętnie porozmawiałbym z Johnem, lecz nigdzie go nie

było. Próbowałem zapomnieć o kilku podsłuchanych zdaniach, ale za nic nie mogłem. Jaką rolę w całej historii odgrywa Mary Cavendish?

Przed kolacją zszedłem do salonu, gdzie zastałem Inglethorpa. Jego twarz bez wyrazu i cała dziwaczna postać wydały mi się znów czymś

oderwanym od rzeczywistości.

Pani Inglethorp weszła do jadalni późno. Nadal robiła wrażenie przygnębionej, więc przy stole panowała dość kłopotliwa cisza. Inglethorp był szczególnie milczący, lecz okazywał żonie zwykłą troskliwość, poprawiał jej poduszki na fotelu i z powodzeniem grał rolę czułego męża. Zaraz po kolacji starsza dama wróciła do buduaru.

- Przyślij mi tu kawę, Mary - zawołała otwierając drzwi. - Na wyprawienie poczty mam dokładnie pięć minut.

W salonie Cyntia i ja usadowiliśmy się przy otwartym oknie. Mary Cavendish przyniosła nam kawę. Robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej.

- Zapalić światło? - spytała. - A może młodzi wolą urok szarej godziny? Zaraz naleję kawę dla pani Inglethorp. Zechcesz jej zanieść, Cyntio?

- Niech się pani nie trudzi - zabrzmiał głos Inglethorpa. - Ja obsłużę

Emilię.

Z tymi słowy nalał kawę i wyszedł z salonu niosąc ostrożnie filiżankę. Lawrence pospieszył jego śladem, Mary usiadła obok nas.

Przez pewien czas milczeliśmy we troje. Wieczór był pogodny, bezwietrzny, gorący. Mary Cavendish wachlowała się z wolna liściem palmowym.

- Strasznie gorąco - odezwała się wreszcie. - Na pewno będzie burza.

Niestety, ciche, spokojne chwile trwają zazwyczaj krótko. Mój raj zakłócił niemiły dźwięk dobrze znajomego głosu, dobiegającego z hallu.

- Doktor Bauerstein! - zawołała panna Murdoch. - Szczególna pora na wizytę.

Zazdrosnym okiem zmierzyłem Mary. Nie zdradziła zaniepokojenia, a jej twarz zachowała delikatną bladość. Po chwili Alfred Inglethorp wprowadził śmiejącego się i protestującego doktora. Prawdę mówiąc przedstawiał on żalony widok. Był cały oblepiony błotem!

- Co się stało, doktorze? - zapytała żywo pani Cavendish.

- Stokrotnie przepraszam - odparł nowo przybyły. - Nie zamierzałem pokazywać się u państwa. Uległem przemocy pana Inglethorpa.

- Okropnie pan wygląda, doktorze - powiedział John wchodząc z hallu do salonu. - Najlepiej niech pan napije się kawy i opowie o swoich przygodach.

- Dziękuję, bardzo dziękuję...

Bauerstein śmiał się nienaturalnie, opisując, jak to w niedostępnym miejscu odkrył bardzo rzadką odmianę głogu. Próbował podejść bliżej, lecz stracił równowagę i wpadł do sadzawki.

- Prędko wyschłem na słońcu, ale istotnie muszę prezentować się okropnie - dodał.

W tym momencie pani Inglethorp zawołała z hallu Cyntię i dziewczyna wybiegła spiesznie.

- Zanieś na górę moją teczkę, kochane dziecko - powiedziała starsza dama. - Chcę się zaraz położyć.

Drzwi wiodące do hallu były szeroko otwarte. Podniosłem się w tym samym momencie co Cyntia. John stał tuż obok. W tej sytuacji troje świadków mogło przysiąc, że pani Inglethorp trzymała w ręce nie

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

napoczętą filiżankę kawy.

Doktor Bauerstein popsuł mi cały wieczór. Miałem wrażenie, że natręt nigdy nie odejdzie. Na koniec jednak wstał z fotela i westchnął jak gdyby z ulgą.

- Pójdę z panem do Styles - powiedział Alfred Inglethorp. - Muszę przejrzeć rachunki z administratorem nieruchomości. Niech nikt na mnie nie czeka - zwrócił się do Johna. - Wezmę klucz od zatrasku.



III.

TRAGICZNA NOC

Załączam plan pierwszego piętra domu, aby wyjaśnić tę część mojej relacji. Drzwi prowadzące do pokoi służby nie mają połączenia z prawym skrzydłem, gdzie mieszczą się sypialnie Inglethorpów.

Lawrence Cavendish obudził mnie, jak sądziłem, w środku nocy. W ręku miał świecę. Wyraz jego twarzy zdradzał, że wydarzyło się coś złego.

- Co się stało? - usiadłem na łóżku, próbowałem zebrać myśli.

- Z matką jest chyba bardzo niedobrze - odpowiedział. - Atak czy coś w tym sensie. Niestety, drzwi jej pokoju są zamknięte.

- Już idę!

Wyskoczyłem z pościeli i narzuciwszy szlafrok pospieszyłem za Lawrence'em w kierunku prawego skrzydła domu, przez korytarz i galerię.

Na miejscu znajdował się John Cavendish w otoczeniu kilkorga zaniepokojonych służących. Lawrence zwrócił się do brata:

- No i co teraz?

Pomyślałem, że nigdy dotąd nie zarysował się wyraźniej charakterystyczny dlań brak zdecydowania.

John szarpnął klamkę gwałtownie, lecz bez skutku. Niewątpliwie drzwi były zamknięte na klucz lub zaryglowane. Tymczasem cały dom został zaalarmowany. Z pokoju dochodziły wysoce niepokojące odgłosy. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba coś przedsięwziąć.

- Proszę pana! - zawołała Dorcas. - Spróbujmy przez pokój pana Inglethorpa! Biedna moja pani, biedna!

Nagle uprzytomniłem sobie, że brak pośród nas Alfreda. On jeden nie dał znaku życia. John otworzył drzwi przyległego pokoju. Panowały tam nieprzeniknione ciemności, kiedy jednak Lawrence wszedł ze świecą, okazało się, że łóżko jest nietknięte.

Ruszyliśmy w kierunku drzwi między dwiema sypialniami, lecz i one były zamknięte czy też zaryglowane od środka.

- Mój Boże! - Dorcas załamała ręce. - Co robić?

Głos zabrał John.

- Spróbujmy wyłamać drzwi. Ale to nie będzie łatwe. Niech ktoś idzie obudzić Baila. Trzeba mu powiedzieć, żeby zaraz jechał po doktora Wilkinsa. No, teraz wszyscy do roboty... Zaraz! są przecież drzwi między pokojami matki i panny Cyntii.

- Są, proszę pana, ale zawsze zaryglowane.

- Sprawdźmy - powiedział John i z korytarza zajrzał do pokoju Cyntii, gdzie Mary Cavendish szarpała i usiłowała zbudzić dziewczynę - wielkiego śpiocha.

Po chwili John wrócił.

- Tamte drzwi też na pewno zaryglowane. Musimy wyważyć. Są trochę

mniej solidne niż drzwi od korytarza.

Futryna była mocna. Długo stawiała opór naszym połączonym wysiłkom. Ostatecznie jednak ustąpiła i drzwi otworzyły się z ogłuszającym trzaskiem. Bezwładnie wpadliśmy do sypialni. Lawrence trzymał wciąż w ręku świecę. Pani Inglethorp leżała na łóżku. Całym jej ciałem wstrząsały konwulsje. Niewątpliwie podczas gwałtownego ataku musiała przewrócić nocny stolik. Niebawem chora uspokoiła się, bezwładnie opadła na poduszki.

John przemierzył pokój wielkimi krokami, zapalił gaz i jedną ze służących, Annie, posłał po koniak do jadalni. Następnie podszedł do łóżka pani Inglethorp, ja zaś otworzyłem drzwi wiodące na korytarz i zwróciłem się do Lawrence'a, aby zapytać, czy moich dalszych usług nie uważa za zbyteczne. Jednakże słowa zamarły mi na ustach. Jak żyję, nie widziałem równie upiornego wyrazu twarzy. Lawrence był kredowoblady, osłupiałymi oczyma spoglądał nad moim ramieniem w jakiś punkt przeciwległej ściany. Świeca, którą trzymał w drżącej ręce, kapłała na dywan stearyną. Jak gdyby obrócił się w kamień. Instynktownie podążyłem wzrokiem w kierunku jego spojrzeń, lecz nic nadzwyczajnego nie dostrzegłem. Żar dogasał na kominku, pod półką ozdobioną szeregiem figurek, wazoników i pucharków na fidybusy.

Najgwałtowniejszy atak minął, jak się zdaje. Chora mogła nawet mówić urywanymi słowami.

- Lepiej teraz... Tak nagle... Nonsens... Niepotrzebnie się zamknęłam...

Cień padł na łóżko. Odwróciłem głowę. Mary stała w pobliżu drzwi, otaczając ramieniem Cyntię. Dziewczyna miała twarz rozpaloną, zmienioną nie do poznania. Oddychała ciężko. Odniosłem wrażenie, że jest półprzytomna i pani Cavendish musi ją podtrzymywać.

- Biedna Cyntia. Tak się okropnie wystraszyła - usłyszałem stłumiony, czysty głos Mary.

Nie bez zdziwienia spostrzegłem, że pani Cavendish ma na sobie drelich Pomocniczej Służby Rolnej, a więc musiało być znacznie później, niż sądziłem. Istotnie. Przez zasłonięte okna zaczynało przenikać światło dzienne. Zegar nad kominkiem wskazywał, że dochodzi piąta.

Nagle od strony łóżka dobiegł przeraźliwy krzyk. Bóle wracały ze wzmożoną siłą. Zaczynały się konwulsje. Skupiliśmy się wokół chorej, nie

mogąc pomóc jej ani ulżyć. John i Mary daremnie usiłowali podać jej nieco koniak. Nieszczęśliwa staruszka rzucała się rozpaczliwie, aż wreszcie całe jej ciało wygięło się w

dziwaczny łuk, wsparty na tyle głowy i piętach.

W tym momencie do pokoju wkroczył energicznie doktor Bauerstein. Od progu zobaczył przerażającą postać na łóżku. Przystanął na moment.

- Alfred!... Alfred! - zawołała pani Inglethorp zdławionym, nie swoim głosem i opadła ciężko na pościel.

Lekarz podszedł do łóżka. Ujawszy ręce chorej począł stosować sztuczne oddychanie. Służbie rzucił kilka szorstkich, zwięzłych poleceń, a nas wszystkich odprawił jednym wymownym ruchem ręki. Jak urzeczeni przyglądaliśmy się energicznym zabiegom, chociaż w głębi serca zdawaliśmy sobie sprawę, że jest za późno na ratunek.

Wyraz twarzy Bauersteina wskazywał, że on również nie żywi nadziei. Wreszcie dał za wygraną i smutno pochylił głowę. Jednocześnie w korytarzu zadudniły kroki. Do pokoju wbiegł okrągły, bardzo zdenerwowany jegomość niskiego wzrostu. Był to doktor Wilkins, domowy lekarz pani Inglethorp.

W kilku słowach Bauerstein wyjaśnił sytuację. Przechodził obok bramy, gdy wyjechał samochód po doktora Wilkinsa. Wobec tego co tchu przybiegł na pomoc. Następnie bezradnym gestem ręki wskazał nieruchomą postać na łóżku.

- To bardzo smutne. Ba-ardzo smutne - westchnął lekarz domowy. -

Biedna, kochana staruszka. Zawsze była zanadto czynna... tak, za-anadto czynna, wbrew moim radom. A przestrzegałem, że ma słabe serce, przestrzegałem. Mówiłem: spokój, odpoczynek, łaskawa pani. Na próżno... Tak... Na próżno. Za dużo sił poświęcała dobrym uczynom. Zbuntowała się natura... zbuntowała.

W czasie tej przemowy Bauerstein spoglądał przenikliwie na kolegę. Wreszcie powiedział:

- Konwulsje miały szczególnie gwałtowny charakter, panie doktorze. Żałuję, że nie zdążył pan w porę. Wyraźnie tężcowy.

- Aha - wtrącił domyślnie doktor Wilkins.

- Chciałbym pomówić z panem na osobności - podjął Bauerstein i zwrócił się do Johna: - Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Oczywiście nie.

Wszyscy wyszliśmy na korytarz, pozostawiając lekarzy w pokoju zmarłej. Klucz zgrzytnął w zamku.

Wolno schodziliśmy na parter. Byłem przej ęty, podniecony. Przypisywałem sobie pewne zdolności dedukcji, a zachowanie londyńskiego specjalisty zbudziło we mnie niemało wątpliwości i podejrzeń. Nagle poczułem na ramieniu dłoń Mary Cavendish.

- Co to znaczy? Dlaczego doktor Bauerstein był... taki dziwny?

- Wie pani, co mi się zdaje?

- Co takiego?

- Proszę posłuchać - rozejrzałem się, czy nikt nie może nas usłyszeć i

zniżyłem głos. - Myślę, że to trucizna i że doktor Bauerstein jest podobnego zdania.

- Co? - szeroko otworzyła oczy i cofnęła się pod ścianę. - Nie! Nie! Tylko nie to! - krzyknęła tak rozzwierając, że zdziwiłem się i przeraziłem.

Raptownie odwróciła się i pobięła na piętro. Pospieszyłem za nią, była bowiem tak wstrząśnięta, że obawiałem się zemdlenia. Dogoniłem ją na podeście schodów. Śmiertelnie blada, stała wsparta o barierę.

- Nie, nie! - jęknęła odprawiając mnie niecierpliwym gestem dłoni. - Wolę być sama. Niech mnie pan zostawi, niech pan idzie na dół, jak

wszyscy.

Posłuchałem niechętnie. W jadalni zastałem obu Cavendishów. Milczeliśmy chwilę, sądzę jednak, że dałem wyraz myślom nurtującym wszystkich, gdy zapytałem:

- Gdzie pan Inglethorp?

- Nie ma go w domu - John rozłożył ręce.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. Gdzie mógł się podziać Alfred Inglethorp. Jego nieobecność była zaskakująca, niepojęta. Przypomniałem sobie ostatnie słowa umierającej. Co się za nimi kryło? O ile więcej mogłaby powiedzieć, gdyby zdążyła?

Wreszcie usłyszeliśmy na schodach kroki lekarzy. Doktor Wilkins miał minę poważną i zakłopotaną. Wzburzenie wewnętrzne pokrywał pozornym spokojem. Bauerstein pozostał na dalszym planie; jego brodata, surowa twarz nie uległa zmianie. Wilkins zwrócił się do Johna w imieniu obydwu lekarzy.

- Proszę pana, chciałbym prosić o zgodę na sekcję zwłok.

- Czy to konieczne? - twarz Johna wykrzywił bolesny grymas.

- Absolutnie - odparł Bauerstein.

- To znaczy, że...

- Że w istniejących okolicznościach żaden z nas nie mógłby podpisać świadectwa zgonu.

John pochylił głowę.

- W takim razie nie mam wyboru. Zgadzam się.

- Dziękuję - podchwycił żywo doktor Wilkins. - Chcielibyśmy załatwić to jutro wieczorem... albo raczej dziś wieczorem - poprawił się spoglądając w okno. - Sądzę, że nie obejdzie się bez rozprawy u koronera... Ta-ak... W tej sytuacji niepodobna uniknąć pewnych formalności. Ale nie należy ulegać panice... Nie na-ależy.

Po chwili kłopotliwego milczenia doktor Bauerstein wydobył z kieszeni i wręczył Johnowi dwa klucze.

- Od pokoi państwa Inglethorp - wyjaśnił. - Zamknąłem drzwi i, moim zdaniem, winny pozostać zamknięte.

Po odejściu lekarzy zacząłem podsumowywać własne myśli i niebawem doszedłem do wniosku, że pora dać im wyraz. Sytuacja była kłopotliwa. Wiedziałem, że John lęka się wszelkiego rozgłosu i jako pogodny optymista niechętnie wychodzi trudnościom naprzeciw. Obawiałem się, że niełatwo będzie przekonać go o słuszności mojego planu. Lawrence - mniej konwencjonalny i obdarzony żywszą wyobraźnią - byłby stosowniejszym sojusznikiem. Ale tak czy inaczej musiałem ująć ster.

- John - powiedziałem - wolno cię o coś zapytać?

- Słucham.

- Pamiętasz, co mówiłem o moim przyjacielu Herkulesie Poirot? To Belg, słynny detektyw. Jest teraz tutaj.

- I co?

- Chyba warto by go poprosić o... o wgląd w sprawę?

- Dzisiaj? Przed sekcją zwłok?

- Tak. Dobrze wygrać na czasie, jeżeli... jeżeli coś rzeczywiście...

- Brednie! - przerwał nieoczekiwanie Lawrence. - Moim zdaniem to dziki pomysł Bauersteina. Wilkinsowi nic na myśl nie przyszło, póki go Bauerstein nie przekabacił. Ten ma bzika, jak wszyscy zaślepieni specjaliści. Trucizna to jego hobby, więc ją wszędzie wietrzy.

Przyznaję, bardzo się zdziwiłem. Jak żyję, nie widziałem Lawrence'a w

stanie podobnego wzburzenia.

- Nie zgadzam się z tobą, Lawrence - powiedział John po namyśle. - Wolałbym zostawić wolną rękę Hastingsowi. Ale czy to nie za wcześnie? Po co wywoływać zbędny skandal, gdyby...

- Skąd znowu! - zaprotestowałem gorąco. - Nie lękaj się rozgłosu. Mój Poirot to uosobienie dyskrecji.

- Dobrze. Rób, jak chcesz. Chociaż jeżeli nasze podejrzenia są słuszne, sprawa wydaje się prosta. Bóg wybaczy mi chyba, jeżeli krzywdzę tego człowieka.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła szósta. Postanowiłem nie marnować czasu.

Jednakże pozwoliłem sobie na kilkuminutową zwłokę. Tak długo myszkowałem w bibliotece, póki w jakiejś książce lekarskiej nie znalazłem charakterystyki objawów zatrucia strychniną.



IV.

POIROT PROWADZI DOCHODZENIE

Belgowie mieszkali w domku położonym niedaleko bramy parku. Drogę można było skrócić idąc długim trawnikiem, który omijał krętą aleję wjazdową. Poszedłem tamtędy i już w pobliżu domku odzwiernego zatrzymałem się na widok biegnącego naprzeciw mnie mężczyzny. Poznałem Alfreda Inglethorpa. Gdzie podziewał się dotychczas? Jak zamierzał usprawiedliwić swoją nieobecność?

- Wielki Boże! - zawołał na powitanie. - Moja nieszczęśliwa żona! To

straszne! Dopiero co się dowiedziałem.

- Gdzie pan był dotąd? - zapytałem.

- Denby zatrzymał mnie do późna. Skończyliśmy z rachunkami o pierwszej i do tego jeszcze okazało się, że zapomniałem klucza. Nie chciałem budzić domowników, więc Denby zaproponował mi nocleg.

- Skąd pan się dowiedział?

- Wilkins wstąpił do Denby'ego, żeby powiedzieć mu o tragedii. Moja biedna Emilia! Taka szlachetna, tak nie pamiętała o sobie! Biedactwo, zawsze przeceniała swoje siły.

Poczułem nagły przyływ odrazy. Wyrafinowany hipokryta!

- Spieszę się - powiedziałem i ucieszyłem się, gdy nie padło pytanie: „dokąd?”

W kilka minut później zastukałem do drzwi Leastway Cottage. Odpowiedziało mi milczenie, więc zaklokałem mocniej. Wówczas uchyliło się na piętrze okno i wyrżał sam Poirot.

Na mój widok dał wyraz zdziwieniu, wobec czego powiedziałem zwięźle, co zaszło, i że liczę na jego pomoc.

- Momencik, mój drogi - odrzekł. - Zaraz cię wpuszczę, opowiesz wszystko po kolei, a ja będę się ubierał.

Niebawem otworzył drzwi, poprowadził mnie na piętro i w swoim pokoju posadził na krześle. Następnie przystąpił do starannej toalety, ja zaś relacjonowałem przebieg wydarzeń - szczegółowo, nie pomijając najbliższych nawet okoliczności. Mówiłem o moim przebudzeniu. O ostatnich słowach zmarłej, o nieobecności jej męża. Mówiłem o kłótni z dnia poprzedniego, podsłuchanym przeze mnie urywku rozmowy między Mary Cavendish a jej świekrą, o wcześniejszych nieporozumieniach pani Inglethorp z Eweliną Howard i niedwuznacznymi aluzjami tej ostatniej.

Szkicowałem możliwie przejrzysty obraz. Czasem się powtarzałem, to znów musiałem wracać do pominiętych szczegółów. Kiedy skończyłem,

Poirot uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Masz zamęt w głowie, co? Nie spiesz się, *mon ami*. Jesteś wzburzony, podniecony. To zrozumiałe, naturalne. Uspokoiliśmy się trochę, więc teraz

uporządkujemy fakty: ładnie, każdy na właściwym miejscu. Będziemy je badać, segregować, odrzucać. Istotne odłożymy na później. Te bez

znaczenia... puf!... - Poirot wykrzywił się pocieszenie i dmuchnął - niech idą z wiatrem.

- Piękny plan! - zawołałem tonem protestu. - Ale skąd będziesz wiedział, co jest istotne, a co bez

znaczenia? Taka segregacja to, moim zdaniem, główna trudność.

Poirot troskliwie doprowadzał wasy do nienagannego stanu. Na moje słowa obruszył się energicznie.

- Nic podobnego! *Vayons!* Jeden fakt prowadzi do drugiego. A następny pasuje? Tak, i to cudownie! Dobrze. Jedziemy dalej. Kolejny drobiazg? Nie. Coś tu nie w porządku, brak ogniwa w łańcuchu. Zastanawiamy się, badamy, no i znajdujemy ten drobny falcik - zrobił szeroki gest ręką. - A może mieć on wagę, wielką wagę!

- Aha - wtrąciłem.

- Strzeż się, *mon ami!* - Poirot wykonał palcem wskazującym ruch tak groźnie ostrzegawczy, że się wzdrygnąłem. - Niebezpieczeństwo! Biada detektywowi, który powie: „Ten fakt jest tak drobny, że nie może mieć znaczenia. Nie pasuje do całości. Nie ma co zawracać nim sobie głowy”. Tak wygląda prosta droga do zamętu, bo, *mon ami*, wszystko się liczy.

- Wiem. Nieraz mi powtarzałeś. Dlatego właśnie zaznajomiłem cię ze wszystkimi faktami. Nie zwracałem uwagi, czy według mnie się liczą, czy też nie.

- Tak. Świetnie się spisałeś. Masz dobrą pamięć i fakty relacjonujesz wiernie. Ale kolejność, w jakiej je przytaczasz... muszę wyznać, jest fatalna. Trudno cię winić z tej racji. Jesteś wzburzony, wytrącony z równowagi. Dlatego pewnie pominąłeś szczegół pierwszorzędnej wagi.

- Jaki? - zapytałem.

- Nie powiedziałeś nic o apetycie pani Inglethorp w czasie kolacji.

Szeroko otworzyłem oczy. Przyszło mi na myśl, że wojna podziiałała zgubnie na umysł małego Belga, który teraz starannie szczotkował marynarkę i na pozór był całkowicie pochłonięty tym zajęciem.

- Nie pamiętam - bąknąłem. - A w każdym razie nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? Przecież to ma wielką wagę.

- Niby dlaczego? - rzuciłem cierpko. - O ile sobie przypominam, pani Inglethorp jadła bardzo mało. Była przygnębiona, zdenerwowana. Widać to źle wpłynęło na jej apetyt. Skojarzenie zupełnie naturalne.

- Słusznie. Zupełnie naturalne. - Poirot wyjął z szuflady małą walizeczkę. - Jestem gotowy. Teraz pójdziemy do pałacu i na miejscu zbadamy sprawę. Przepraszam, *mon ami*. Ubierałeś się w wielkim

pośpiechu. Krawat masz przekrzywiony. Pozwolisz? - Sprawnym ruchem doprowadził mój krawat do porządku. - O tak - powiedział. - Teraz

możemy iść.

Szybko minawszy wioskę skręciliśmy w stronę bramy wjazdowej Styles Court. Mały Belg przystanął na moment, smętnym spojrzeniem objął park, piękny o tej wczesnej godzinie, wilgotny jeszcze od rosy.

- Uroczu tu, spokojnie... A nieszczęśliwa rodzina pogrążona w rozpacz,

w nieutulonej żałobie.

Mówiąc to przyglądał mi się bacznie, a ja czułem, że rumienię; się lekko pod wpływem jego spojrzeń.

Rodzina pogrążona w rozpacz? Czy żałoba po pani Inglethorp jest rzeczywiście nieutulona? Uprzytomniłem sobie, że całej atmosferze brak emocjonalnych akcentów. Nieboszczka nie budziła wokół siebie miłości. Jej śmierć stanowiła nieoczekiwany wstrząs, katastrofę, nikt jednak nie bolał naprawdę.

Słynny detektyw zdawał się śledzić bieg moich myśli. Z wielką powagą pokiwał głową.

- Tak - podjął. - Masz słuszność, Hastings. Nie jest tak, jak mówiłem. Pani Inglethorp traktowała Cavendishów życzliwie, nie była jednak ich matką. Więzy krwi... Tak, *mon ami*. Pamiętaj zawsze o znaczeniu więzów krwi.

- Poirot - przerwałem żywo. - Chciałbym wiedzieć, czemu interesuje cię apetyt pani Inglethorp ostatniego wieczora. Obracam w myślach to pytanie i nie potrafię znaleźć odpowiedzi.

Przez dobrą chwilę szliśmy bez słowa.

- Mogę ci to wytłumaczyć - odparł wreszcie Poirot - chociaż jak ci wiadomo, niechętnie udzielam wyjaśnień przed zakończeniem sprawy. Istnieje podejrzenie, że pani Inglethorp zmarła na skutek zatrucia strychniną, podaną najprawdopodobniej w kawie.

- I co z tego?

- O której piliście kawę?

- Około ósmej.

- Stąd wniosek, że i ona opróżniła filiżankę przed ósmą trzydzieści, w każdym razie nie później. Otóż strychnina jest trucizną działającą stosunkowo szybko. Daje o sobie znać w ciągu mniej więcej godziny. W danym przypadku objawy wystąpiły krótko przed piątą nad ranem. Rozumiesz? Po dziewięciu godzinach! Suty posiłek spożyty o tej mniej

więcej porze co trucizna może opóźnić jej działanie, lecz nie do tego stopnia. W każdym razie byłaby to okoliczność, której nie wolno przegapić. Jednakże twierdzisz, że pani Inglethorp prawie nic nie jadła, a mimo to trucizna dała o sobie znać dopiero nad ranem. Zastanawiająca historia, przyjacielu, bardzo zastanawiająca. Może sekcja przyniesie rozwiązanie. Może! Ale na razie pamiętajmy o tym.

John wyszedł z domu na nasze spotkanie. Był blady, najwyraźniej wyczerpany.

- To potworne, proszę pana - zwrócił się do mojego przyjaciela. - Niewątpliwie Hastings wspomniał panu, że za wszelką cenę chcemy uniknąć rozgłosu?

- W pełni podzielam pańskie zdanie.

- Chwilowo w grę wchodzi tylko domysły. Nie ma nic konkretnego.

- Rozumiem. Należy zachować najdalej posuniętą ostrożność.

John zapalił papierosa.

- Wiesz, Inglethorp wrócił - powiedział do mnie.

- Wiem. Spotkałem go po drodze.

John rzucił zapalną na grządkę kwiatową. Nie zniósł tego wrodzony małemu Belgowi zmysł porządku. Poirot nachylił się i starannie zagrzebał

drewienko w ziemi.

- Diabli wiedzą, jak go teraz traktować. Trudny problem - podjął John.

- Trudności nie potrważą długo - odrzekł z godnością Poirot.

John zrobił zdziwioną minę. Nie docenił wagi zagadkowego zdania. Odwrócił się i podał mi dwa klucze, wręczone mu uprzednio przez doktora Bauersteina.

- Pokaż panu Poirot, co zechce.

- Pokoje są zamknięte na klucz? - zapytał detektyw.

- Doktor Bauerstein uważał, że tak trzeba.

- Hm... - Poirot poważnie skinął głową. - To upraszcza sprawę.

Po chwili weszliśmy do pokoju zmarłej.

Poirot zarygłował drzwi od środka i przystąpił do drobiazgowych oględzin. Zwinnie, jak konik polny, przeskakiwał z miejsca na miejsce. Ja zostałem przy drzwiach, żeby niczego nie uszkodzić. Jednakże Poirot nie oszacował mojej przezorności, jak należałoby się spodziewać.

- Dlaczego, *mon ami*, tkwisz jak... jak to się mówi? Aha! Kołek w płocie?

Wyjaśniłem, że mógłbym naruszyć ślady stóp.

- Ślady stóp? Także pomysł! Przecież były tu już tłumy, nieprzeliczone tłumy! Jakie ślady stóp można by tu znaleźć? Chodź, mój drogi, pomóż trochę staremu. *Voilà!* Niech walizeczka odpocznie, póki nie będzie mi potrzebna.

Położył ją na okrągłym stoliku pod oknem. Okazało się jednak, że blat jest rozchwiany, i walizeczka spadła z łoskotem na podłogę.

- A to dopiero! Jak widzisz, można mieszkać w wielkim domu i nie mieć wszelkich wygod! - zawołał Poirot i zabrał się znów do roboty.

Przede wszystkim zwrócił uwagę na leżącą na biurku czerwoną teczkę, w której zamku tkwił kluczyk. Detektyw wyjął go i podał mi z domyślną miną. Nie spostrzegłem nic osobliwego. Trzymałem w ręku zwyczajny mały kluczyk typu Yale z kawałkiem skręconego drutu przy uszku.

Następnie Poirot obejrzał futrynę wyłamanych przez nas drzwi, aby się upewnić, że istotnie były zaryglowane od środka. Z kolei powędrował ku drzwiom wiodącym do pokoju Cyntii. Były również zamknięte, jak

mówiłem. Jednakże mój przyjaciel wielokrotnie poruszał rygłem, otwierał drzwi i zamykał, a robił to ostrożnie, bez hałasu, ze skupionym wyrazem twarzy. Nagle coś na samym ryglu przykuło jego uwagę. Zręcznym ruchem dobył ze swojej walizeczki pęsetkę, zdjął z zasuwki ledwie widoczną drobinę i wsunął do małej koperty, którą z kolei zalepił starannie.

Na komodzie znajdowała się taca z maszynką spirytusową i stojącym na niej małym rondelkiem. Obok widać było pustą, lecz używaną filiżankę i spodek. W rondelku pozostało na dnie trochę brązowej cieczy. Zdziwiłem się, jak uprzednio mogłem nie dostrzec tacy. Przecież to ważny trop! Poirot zanurzył palec w ciemnym płynie, skosztował go ostrożnie i skrzywił się z niesmakiem.

- Kakao. Jak mi się zdaje, przyprawione rumem - powiedział i

zainteresował się szczątkami, które były rozrzucone obok przewróconego stolika nocnego. Lampa naftowa, parę książek, zapalniczka, pęczek kluczy,

potłuczona w drobny mak filiżanka - wszystko to poniewierało się na dywanie.

- Ciekawe - mruknął Poirot. - Bardzo ciekawe.

- Muszę przyznać - burknąłem - że nie widzę nic szczególnie ciekawego.

- Nie widzisz? Spójrz na lampkę. Szkło pękło tylko na dwie części. Wszystko leży tak, jak upadło. A filiżanka po kawie na proch starta.

- Pewnie ktoś ją rozdeptał.

- Właśnie! Ktoś ją rozdeptał - powtórzył detektyw osobliwym tonem.

Wstał z klęczek, podszedł do kominka i jął ustawiać symetrycznie zdobiące półkę drobiazgi. Zawsze robił coś podobnego, gdy był głęboko poruszony.

- *Mon ami* - odezwał się nagle. - Ktoś rozdeptał filiżankę, i to celowo. Dlaczego? Bo kawa zawierała strychninę albo, co wydaje się bardziej prawdopodobne, nie zawierała strychniny.

Milczałem. Nic nie mogłem pojąć, wiedziałem jednak, że nie warto prosić przyjaciela o wyjaśnienia.

Wkrótce Poirot ocknął się i zabrał się znowu do oględzin.

Podniósł z podłogi pęczek kluczy, począł obracać go w palcach i wreszcie wybrał jeden kluczyk, bardzo jasny i błyszczący. Pasował do czerwonej teczki. Detektyw otworzył ją i zatrzasnął ponownie, a następnie schował do kieszeni wszystkie klucze, nie wyłączając tego, który w momencie naszego przybycia tkwił w zamku teczki.

- Nie upoważniono mnie do przeglądania papierów. Ale trzeba to będzie zrobić jak najprędzej - bąknął Poirot i przystąpił do szczegółowej rewizji w szufladach umywalki.

Kiedy przemierzał pokój w kierunku lewego okna, zainteresował się żywo okrągłą plamą, ledwie widoczną na tle ciemnobrązowego dywanu. Przyklęknął nad nią, obejrzał bardzo uważnie, nawet powąchał.

Następnie wsączył kilka kropel kakao do próbówki i próbówkę zakorkował troskliwie. Wreszcie dobył z kieszeni cienki notes.

- Napotkaliśmy w tym pokoju - zaczął pisać prędko - sześć znamienych szczegółów. Wyliczysz je, czy ja mam to zrobić?

- Oczywiście ty! - podchwyciłem skwapliwie.

- Niech będzie - zgodził się. - A zatem: filiżanka od kawy starta na proch. To pierwszy szczegół. Drugi: teczka z kluczykiem w zamku; trzeci: plama na podłodze,

- Plama może być dawniejsza - wtrąciłem.

- Nie. Jest wilgotna i jeszcze pachnie kawą. Dalej: znaleźliśmy strzępek ciemnozielonej tkaniny: ledwie parę włókienek, ale dałoby się to zidentyfikować.

- Aha! - przerwałem znowu. - Nitki schowałeś do koperty i zakleiłeś.

- Właśnie! Mogą pochodzić z ubrania samej pani Inglethorp i nie świadczyć o niczym. Przekonamy się, sprawdzimy. A oto piąty szczegół! - detektyw wskazał dramatycznym ruchem duży sopel stearyny zastygły na dywanie tuż obok biurka. - Znalazł się tam nie wcześniej niż wczoraj wieczorem. Gdyby było inaczej, dobra pokojówka usunęłaby plamę za pomocą bibuły i gorącego żelazka. Pewnego razu mój najlepszy kapelusz...

Ale to nie ma nic do rzeczy.

- Najprawdopodobniej stearyna kapnęła na dywan ostatniej nocy. Wszyscy byliśmy bardzo zdenerwowani. Ale jest i druga możliwość. Sama pani Inglethorp mogła upuścić świecę.

- Wy mieliście tylko jedną świecę, prawda?

- Tak. Przyniósł ją Lawrence Cavendish. Był okropnie wstrząśnięty. Tam - wskazałem ręką w stronę kominka - jak gdyby zobaczył coś i kompletnie osłupiał.

- To ciekawe, zastanawiające - szepnął Poirot i przebiegł wzrokiem całą długość ściany. - Ale to nie pan Lawrence zrobił tę plamę. Jest biała, a on przyniósł różową świecę. Spójrz, stoi na toalecie. I jeszcze jedno. W sypialni pani Inglethorp nie ma lichtarza. Widać używała do czytania lampki naftowej.

- Co stąd wnosisz?

Mój przyjaciel zirytował się trochę. Poradził, abym sam wysnuwał własne wnioski.

- No, a szósty szczegół? - zapytałem. - Pewno miałeś na myśli próbkę kakao.

- Nie - odparł po krótkim namyśle. - Kakao mogłem też zaliczyć do znamienych szczegółów, ale nie zaliczyłem. Szósty zachowam chwilowo dla siebie.

Jeszcze raz rozejrzał się szybko po sypialni.

- Nic tu już nie zdiagnozujemy - podjął i łakomie spojrział na wystygły popiół w kominku. - Chyba że... Ogień pali, niszczy, ale... Zdarzają się przypadki. Spróbujemy.

Ukląkł i szybko, wprawnie jął wygarniać popiół, rozsypując go na mosiężnej płycie ochronnej. Nagle wydał stłumiony okrzyk.

- Pęseta, Hastings! Prędko!

Niezwłocznie wykonałem polecenie, a Poirot ujął skrawek nadpalonego papieru.

- Jest, *mon ami!* - zawołał. - I co o tym sądzisz?

Bacnym wzrokiem zmierzyłem świstek, którego wierną kopię zamieszczam.

Zdziwiła mnie grubość papieru, niepodobnego zupełnie do zwykłej kartki z notatnika czy bloku korespondencyjnego. Nagle doznałem olśnienia.

- Poirot! - zawołałem. - To był testament.

- Z pewnością - przyznał.

- Nie jesteś zaskoczony? - spojrzałem nań przenikliwie.

- Nie. Liczyłem na coś podobnego.

Zwróciłem przyjacielowi nadpaloną kartkę i przyglądałem się, jak z właściwą sobie metodycznością wsuwa ją ostrożnie do koperty. W głowie wirowały mi tysiące myśli. Co znaczy zagadkowy testament? Kto go mógł zniszczyć? Czy ta sama osoba zostawiła na dywanie stearynową plamę? Zapewne. Ale jak mogła wtargnąć do sypialni? Wszystkie drzwi były zaryglowane od środka.

- Idziemy, *mon ami* - odezwał się żywo detektyw. - Chciałbym zadać

kilka pytań pokojowej. Nazywa się Dorcas, o ile dobrze zapamiętałem?

Wyszliśmy przez pokój Alfreda Inglethorpa, gdzie Poirot marudził wystarczająco długo, by dokonać pobieżnych oględzin. Naturalnie zamknęliśmy na klucz obydwie drzwi, tak jak były uprzednio zamknięte. Z kolei zaprowadziłem przyjaciela do buduaru, który chciał zlustrować. Sam natomiast udałem się na poszukiwanie Dorcas, lecz gdy z nią niebawem wróciłem, zastałem pokój pusty.

- Poirot! - zawołałem. - Gdzie jesteś?

- Tutaj, *mon ami*.

Jak się okazało, wyszedł przez oszklone drzwi na taras i podziwiał właśnie rabaty i klomby rozmaitych kształtów.

- Cudowne! - mamrotał. - Wspaniałe! Co za symetria. Spójrz na ten półksiężyc albo na tamte romby. Ich precyzja to radość dla oka. No i dobór roślin zachwycający! Nowa dekoracja, prawda?

- Tak. Zdaje mi się, że z wczorajszego popołudnia. Chodź. Jest Dorcas.

- Dobrze, dobrze... Nie skąp mi pięknego widoku.

- Nie skąpię. Ale masz ważniejszą sprawę.

- Skąd wiesz, czy te piękne begonie nie są równie ważne?

Wzruszyłem ramionami. Niepodobna było dyskutować z Herkulesem Poirot.

- Nie zgadzasz się? - podjął. - Ha! Rozmaicie bywa... A teraz porozmawiamy z zacną Dorcas.

Pokojowa czekała w buduarze. Dłonie splotła przed sobą. Siwe włosy miała upięte wysoko pod

białym czepeczkiem. Idealny wzór i obraz dobrej służącej starej daty!

- Zechce pani usiąść, *mademoiselle*.

- Dziękuję.

- Jak długo służyła pani u nieboszczki?

- Dziesięć lat, proszę pana.

- Rozpocznę od wydarzeń wczorajszego popołudnia. Pani Inglethorp miała sprzeczkę. Zgadza się?

- Tak, proszę pana. Ale nie wiem, czy wypada... - Dorcas zawahała się, umilkła.

Detektyw spojrzał na nią bystro.

- Droga pani! Koniecznie muszę usłyszeć o tej sprzeczce z wszelkimi

możliwymi szczegółami. Proszę nie wyobrażać sobie, że to zdrada cudzych sekretów. Pani Inglethorp nie żyje, a my powinniśmy dowiedzieć się jak najwięcej. Inaczej nie zdołamy jej pomścić. Nic nie przywróci życia

zmarłej, spodziewamy się jednak, że zdołamy oddać mordercę w ręce sprawiedliwości, jeśli istotnie w grę wchodzi morderstwo.

- Słusznie mu się to należy - podchwyciła zawzięcie Dorcas. - Nie chcę wymieniać nazwiska, ale jest w tym domu ktoś, z kim nikt z nas nie mógł się nigdy pogodzić. W złą godzinę przekroczył ten próg.

Poirot spokojnie przeczekał chwilę wzburzenia starej służącej. Następnie podjął rzeczowym, chłodnym tonem:

- Wracając do sprzeczki... Co usłyszała pani najprzód?

- Więc, proszę pana... Tak się złożyło, że przechodziłam przez hall

wczoraj po południu i...

- O której godzinie?

- Nie potrafię określić dokładnie. W każdym razie, proszę pana, na długo przed podwieczorkiem. Mogła być czwarta albo niewiele później. Jak mówiłam, proszę pana, tak się złożyło, że przechodziłam przez hall i

usłyszałam tutaj, w buduarze, głosy podniesione i wzburzone. Nie miałam zamiaru podsłuchiwać, ale... Wie pan, jak to bywa. Przystanęłam na moment. Drzwi były zamknięte, ale moja pani mówiła głośno, wyraźnie. Usłyszałam: „Okłamywałeś mnie, oszukiwałeś”. Nie zrozumiałam, co pan Inglethorp odpowiedział, bo mówił znacznie ciszej. A na to ona „Bez sumienia jesteś! Trzymam cię tutaj, ubieram, żywię. Mnie zawdzięczasz wszystko i tak się odpłacasz! Okrywasz nasze nazwisko niesławą”. Znowu nie dosłyszałam odpowiedzi, a moja pani mówiła dalej: „Cokolwiek byś powiedział, nie zmieni to sytuacji, Wiem, jak trzeba postąpić. Jestem zdecydowana. Nie wyobrażaj sobie, że zleknę się rozgłosu, małżeńskiego skandalu”. Wtedy wydało mi się, że oni idą w stronę drzwi, więc odeszłam szybko.

- Na pewno słyszała pani głos pana Inglethorpa?

- O tak, proszę pana! Czy mógł być inny?

- A co się działo później?

- Później? Wróciłam do hallu, ale już było cicho. O piątej pani zadzwoniła na mnie i kazała przynieść do buduaru filiżankę herbaty. Tylko filiżankę herbaty, nic do jedzenia. Wyglądała okropnie. Była blada,

roztrzęsiona. „Dorcas - powiedziała - przeżyłam wielki wstrząs”. A ja na to: „Biedna moja pani! Trzeba wypić filiżankę mocnej, gorącej herbatki, to zaraz będzie lepiej”. Coś trzymała w ręku. Nie wiem, czy to był list, czy jakaś kartka. W każdym razie zapisana kartka, a ona wpatrywała się w nią, jak gdyby oczom nie wierzyła. Widocznie zapomniała, że stoję obok, bo szeptała do siebie: „Kilka słów i wszystko się zmienia”. A później powiedziała do mnie: „Nigdy nie ufaj mężczyznom, Dorcas. Niewarci tego”. Co tchu przyniosłam herbatę, a pani podziękowała mi, powiedziała, że herbata dobrze jej robi, i dodała: „Nie wiem, co robić. Skandal małżeński to coś strasznego, Dorcas. Najchętniej zatuszowałabym sprawę,

gdyby się dało”. Więcej nie powiedziała, bo przyszła pani Cavendish.

- A ten list czy coś innego wciąż trzymała w ręku?

- Tak, proszę pana.

- Jak pani sądzi? Co zrobiła z tym później?

- Bo ja wiem? Pewno schowała do swojej czerwonej teczki.

- Czy tam trzymała zwykle ważne papiery?

- Tak. Co rano schodziła z tą teczką na dół, a wieczorem zabierała ją do swojego pokoju.

- Kiedy zgubiła kluczyk?

- Zauważyła zgubę wczoraj około południa. Zaraz kazała mi szukać.

Bardzo się tym przejęła, proszę pana.

- Ale był zapasowy kluczyk?

- Był, proszę pana.

Dorcas miała wielce zdziwioną minę. Przyznaję, że i ja byłem

zaskoczony. Skąd się wzięła cała historia z zagubionym kluczykiem?

- Mniejsza, skąd wiem, pocziwa Dorcas - Poirot uśmiechnął się dyskretnie. - W moim zawodzie trzeba wiedzieć i najrozmaitszych sprawach. Czy to ten kluczyk zginął? - wyjął z kieszeni kluczyk, który tkwił w zamku czerwonej teczki: znalezionej w sypialni pani Inglethorp.

Stara służąca wytrzeszczyła oczy.

- Tak, proszę pana, tak! Gdzie pan na niego trafił? Przecież i szukałam wszędzie i szukałam.

- Naturalnie. Ale widzi pani, wczoraj kluczyk był w innym miejscu, dzisiaj w innym. A teraz z drugiej beczki. Czy w swojej garderobie pani Inglethorp miała coś ciemnozielonego?

Odniosłem wrażenie, że nieoczekiwane pytanie znów zaskoczyło

Dorcas.

- Nie, proszę pana.

- Jest pani pewna?

- Najzupełniej.

- A ktokolwiek inny z domowników ma coś zielonego z ubrania?

- Tak... Panna Cyntia ma zieloną sukienkę balową.

- Ciemną czy jasnozieloną?

- O, raczej jasną, proszę pana. Z szyfonu.

- To nie to, Dorcas. Nikt więcej nie ma nic zielonego?

- Nie, proszę pana. Przynajmniej ja nie wiem.

Poirot nie zdradził ani zadowolenia, ani rozczarowania.

- Aha - podjął spokojnie. - Zajmiemy się inną kwestią! Czy pani zdaniem nieboszczka mogła przyjąć ostatniej nocy proszek nasenny?

- Nie, proszę pana. Z pewnością nie ostatniej nocy.

- Czemu jest pani taka pewna?

- Bo pudełko było próżne. Ostatni proszek zażyła parę dni temu i nie zamówiła następnej porcji.

- Jest pani pewna?

- Tak, proszę pana.

- To przesądza sprawę. Aha! Czy wczoraj pani Inglethorp nie prosiła pani o podpisanie jakiegoś dokumentu?

- Dokumentu? - powtórzyła zdziwiona Dorcas. - Nie, proszę pana.

- Wczoraj wieczorem, kiedy pan Hastings i pan Lawrence wrócili do domu, zastali panią Inglethorp zajętą pisaniem listów. Czy może pani powiedzieć coś o adresatach?

- Niestety, nie mogę, proszę pana. Wczoraj miałam wolny wieczór. Może Annie będzie coś wiedzieć. Chociaż to straszny niedbaluch. Nawet nie zabrała z salonu filiżanek po kawie. Zawsze jest coś takiego, jak mnie

nie ma.

Poirot podniósł rękę.

- Skoro Annie nie zabrała filiżanek, niech zostaną w salonie. Chętnie rzucę na nie okiem.

- Dobrze, proszę pana.

- O której pani wyszła z domu wczoraj wieczorem?

- Mniej więcej o szóstej.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Dziękuję. To chyba wszystko... - detektyw wstał i podszedł do okna. - Z podziwem patrzę na te grządki. Aha! Ilu ogrodników pracuje w Styles Court?

- Teraz tylko troje, proszę pana. Przed wojną mieliśmy pięciu i wtedy Styles Court wyglądało naprawdę jak pańska rezydencja. Szkoda, że pan nie widział ogrodu. Warto było! Dziś jest tylko stary Manning i młody William, i taka nowomodna ogrodniczka, co chodzi w spodniach i w ogóle. Okropne czasy, proszę pana!

- Wróć lepsze, Dorcas. Nie traćmy nadziei. A teraz może zechce pani przysłać tu Annie?

- Bardzo chętnie, proszę pana.

- Skąd wiesz, że pani Inglethorp brała proszki nasenne? - zapytałem ciekawie, gdy za starą pokojową zamknęły się drzwi. Skąd wiesz, że zgubiła kluczyk i miała zapasowy?

- Powoli, jedno po drugim - odparł Poirot. - O proszkach dowiedziałem

się stąd - szybko dobył z kieszeni małe tekturowe pudełko pochodzące niewątpliwie z apteki.

- Gdzie je znalazłeś?

- W szufladzie umywalki w sypialnym pokoju nieboszczki. To numer szósty mojej listy.

- Chyba bez znaczenia, skoro proszki skończyły się parę dni temu.

- Być może... ale spójrz na pudełko. Nie widzisz nic osobliwego?

Pilnie zbadałem wzrokiem pudełko.

- Nie... Nic osobliwego nie widzę.

- Zwróć uwagę na etykietę.

- „Jeden proszek przed snem, w razie potrzeby. Pani Inglethorp” - przeczytałem głośno. - Cóż w tym niezwykłego?

- Chociażby brak nazwiska aptekarza.

- Rzeczywiście! - zawołałem. - To dziwne.

- Słyszałeś kiedy, by aptekarz dostarczał takie pudełka bez swojego nazwiska?

- Nie słyszałem, przyznaję.

Ożywiłem się, lecz Poirot rychło ostudził mój zapał mówiąc spokojnie:

- Ale wyjaśnić to łatwo, więc się nie podniecaj, *mon ami*.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo skrzywienie trzewików oznajmiło, że się zbliża Annie. Była to ładna, zgrabna dziewczyna; mimo zdenerwowania nie potrafiła ukryć niezdrowej radości wywołanej sensacją.

Z właściwą mu rzeczowością Poirot przystąpił z miejsca do sedna sprawy.

- Wezwałem cię, Annie, ponieważ liczę, że wiesz coś o listach, które pani Inglethorp napisała wczoraj wieczorem. Ile ich było? Czy przypominasz sobie adresy?

Dziewczyna zastanowiła się przez moment.

- Były cztery listy, proszę pana. Jeden do panny Howard, jeden do notariusza, pana Wellsa, a dwa to nie pamiętam, proszę pana... Prawda! Trzeci był do Rossa, jednego z dostawców z Tadminster. A ostatni... Nie pamiętam, proszę pana.

- Spróbuj sobie przypomnieć - wtrącił detektyw.

Annie daremnie szukała w pamięci.

- Nie da rady, proszę pana - powiedziała wreszcie. - Widocznie wcale nie zauważyłam adresu.

Poirot nie zdradził zainteresowania.

- Mniejsza o to - podjął. - Zajmijmy się czymś innym. W sypialni nieboszczki znalazłem rondel, a w nim resztki kakao. Czy pani Inglethorp co noc pijała kakao?

- Tak. Każdego wieczora zostawiało się rondel w jej pokoju. Sama odgrzewała kakao, jak jej przyszedł apetyt.

- Czy to było zwyczajne kakao?

- Tak, proszę pana, z mlekiem, łyżeczką cukru i dwiema łyżeczkami rumu.

- Kto zanosił rondel na górę?

- Ja, proszę pana.

- Zawsze?

- Zawsze, proszę pana.

- Kiedy?

- Jak szłam zasłaniać okna.

- Czy rondel przynosiłaś prosto z kuchni?

- Nie, proszę pana. Na kuchni gazowej jest niewiele miejsca, więc kucharka gotowała kakao wcześniej, nim postawiła jarzyny na kolację. Ja brałam rondel i zносиłam na stół obok drzwi wahadłowych. Stamtąd

niosłam go później do pokoju pani.

- Drzwi wahadłowe są w lewym skrzydle, prawda?

- Tak, proszę pana.

- A stół znajduje się po tej stronie drzwi czy po przeciwnej, na korytarzu do pomieszczeń dla służby?

- Po tej stronie, proszę pana.

- O której zabrałaś z kuchni rondel wczoraj wieczorem?

- Mniej więcej kwadrans po siódmej.

- A kiedy zaniostaś kakao do sypialni?

- Jak szłam zasłaniać okna. Około ósmej. Byłam jeszcze w pokoju, jak pani przyszła.

- To znaczy, że między siódmą piętnaście a ósmą rondelek stał na stole w lewym skrzydle domu.

- Tak, proszę pana.

Annie umilkła i zakłopotana rumieniła się coraz bardziej. Wreszcie wybuchnęła nieoczekiwanie:

- A jeżeli w rondelku była sól, to nie moja wina, proszę pana! Ja z solą nie miałam nic do czynienia.

- Skąd ci przyszło na myśl, że w rondelku mogła być sól? - zapytał Poirot.

- Bo widziałam na tacy.

- Widziałaś sól na tacy?

- Tak, proszę pana; grubo mieloną sól kuchenną. Nic nie spostrzegłam, jak brałam tacę z kuchni, a później była sól. Zaraz ją zobaczyłam, kiedy chciałam zanieść kakao do pokoju pani. Chyba powinnam wrócić i poprosić kucharkę, żeby ugotowała świeże kakao. Ale śpieszyło mi się, bo Dorcas miała wychodne, więc pomyślałam, że kakao jest pewno dobre, a

sól wysypała się tylko na tacę. No i zmiotłam sól fartuchem, i poszłam do pokoju pani.

Z trudnością panowałam nad sobą. Annie udzieliła bezwiednie informacji pierwszorzędnej wagi. Jakież byłoby jej przerażenie, gdyby się dowiedziała, że „grubo mielona sól kuchenna” była naprawdę strychniną,

jedną z najbardziej zabójczych trucizn znanych ludzkości. Pełen podziwu dla opanowania i spokoju znakomitego detektywa, oczekiwałam niecierpliwie następnych pytań. Spotkał mnie zawód.

- Czy kiedy weszłaś do sypialni, drzwi od pokoju panny Cyntii były zamknięte na zatrzask?

- Naturalnie, proszę pana! Jak zawsze. Nigdy się ich nie otwiera.

- A drzwi do pokoju pana Inglethorpa? Zwróciłaś uwagę? Też były zamknięte?

Dziewczyna zawahała się.

- Nie wiem, proszę pana. Były zamknięte, ale czy na zatrzask - nie wiem.

- Czy pani Inglethorp zatrzaskała drzwi od korytarza, kiedy ostatecznie wyszłaś z jej sypialni?

- Nie, proszę pana. Myślę, że zrobiła to później. Zawsze zamykała na noc te drzwi... Znaczy się od korytarza.

- Wczoraj wieczorem sprzątałaś pokój, Annie. Może spostrzegłaś na dywanie zastygłą stearynę?

- Zastygła stearynę? Skąd znowu, proszę pana. Nasza pani nie używała nigdy świec. Miała w pokoju lampkę naftową.

- Gdyby więc była na podłodze duża plama ze stearyny, spostrzegłabyś ją, prawda?

- Ma się rozumieć! I zaraz bym usunęła. Bibuła, gorące żelazko - i już.

Poirot wrócił do pytania, które uprzednio zadał Dorcas.

- Czy w garderobie pani Inglethorp było coś zielonego?

- Nie, proszę pana.

- Może płaszcz, szlafrok, żakiet?

- Nie, proszę pana.

- A inni domownicy, Annie? Miał ktoś coś zielonego z ubrania?

Służąca zawahała się znowu.

- Nie, proszę pana.

- Jesteś pewna?

- Tak, proszę pana.

- *Bien!* To chyba wszystko. Bardzo dziękuję, Annie.

Dziewczyna zachichotała nerwowo i skrzypiąc trzewikami wyszła z pokoju. Niezwłocznie dałem folgę tłumionemu podnieceniu.

- Poirot! - zawołałem. - Gratuluję! To naprawdę wielkie odkrycie!

- Co nazywasz wielkim odkryciem?

- Jak to? Że kakao było zatrute, nie kawa. Teraz wszystko jest jasne. Objawy wystąpiły dopiero nad ranem, bo pani Inglethorp wypijała kakao plus minus o północy.

- Jesteś więc zdania, że w kakao podano ofierze strychninę?

- Oczywiście! Ta sól na tacy... Cóż to mogło być innego?

- Po prostu sól - odrzekł spokojnie Poirot.

Wzruszyłem ramionami. Trudno prowadzić dyskusję na takim poziomie! Nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że biedny Poirot starzeje się widocznie, i dorzuciłem w skrytości ducha: „Pomyślnym trafem ma obok siebie kogoś obdarzonego bystrzejszym umysłem”.

Detektyw spoglądał na mnie spod przymrużonych powiek.

- Nie jesteś ze mnie kontent, *mon ami!*

- Mój drogi - odpowiedziałem sucho. - Nie chcę ci nic sugerować. Równie dobrze jak ja, masz prawo do własnych opinii.

- Stanowisko godne pochwały - bąknął i żywo podniósł się z krzesła. - No, skończyłem z tym pokojem. Aha! Do kogo należy tamto mniejsze biurko, w rogu?

- Do pana Inglethorpa.

- Rozumiem... - podjął mały Belg, usiłując podnieść żaluzjową pokrywę. - Zamknięte. Ale może nada się który z kluczy pani Inglethorp.

Wypróbował kilka, poruszając nimi ostrożnie bardzo wprawna ręką.

- *Voilà!* - ucieszył się wreszcie. - Pasuje nieźle!

Podniósł żaluzjową pokrywę i szybko przebiegł wzrokiem porządnie ułożone pliki papierów. Ku mojemu zdziwieniu nie przejrzał ich, lecz zamykając biurko mruknął tonem uznania:

- Słowo daję. Co za metodyczny człowiek ten pan Inglethorp.

„Metodyczny” to zdaniem małego Belga najbardziej zaszczytny epitet, na jaki może zasłużyć istota ludzka.

Jeszcze raz odniosłem wrażenie, że stary Poirot nie jest dziś taki jak dawniej, kiedy począł mamrotać od rzeczy:

- Nie było znaczków pocztowych w jego biurku, ale mogły być. Prawda, *mon ami*? Mogły być, co? - obiegł spojrzeniem pokój. - Buduar nie powie nam więcej. A i dotąd powiedział niewiele. Tylko to!

Szybko wyciągnął z kieszeni i podał mi zgniecioną kopertę. Ciekawe! Zwykła, przybrudzona koperta, a na niej kilka słów skreślonych pozornie bez związku.



V.

TO NIE BYŁA STRYCHNINA, PRAWDA?

- **G**dzie to znalazłeś? - zapytałem z żywym zaciekawieniem.

- W koszu na papiery. Poznajesz charakter pisma?

- Tak. To ręką pani Inglethorp. Co może znaczyć ten świstek?

Poirot wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale jest zastanawiający.

Przyszedł mi do głowy fantastyczny pomysł. Może pani Inglethorp cierpiała na zaburzenia psychiczne? Dorcas mówiła przecież o jakimś wielkim wstrząsie. Jeżeli było tak istotnie, istnieje pewne

prawdopodobieństwo, że odebrała sobie życie. Zamierzałem podzielić się tą teorią z Poirotem, ale przerwały mi jego słowa:

- Chodź, mój drogi. Obejrzymy filiżanki po kawie.

- Po co, u licha! Teraz, kiedy dowiedzieliśmy się o kakao?

- A! Znów to nieszczęsne kakao! - mój przyjaciel roześmiał się i

lekceważąco machnął ręką, co poczytałem za gest w najgorszym stylu.

- Pani Inglethorp piła kawę w swoim pokoju na piętrze - podjąłem lodowatym tonem. - Nie wyobrażam sobie, co mógłbyś teraz znaleźć. A może liczysz na to, że torebka strychniny leży sobie spokojnie na tacy?

Poirot złagodniał.

- Zgoda, mój drogi, zgoda! - powiedział wsuwając mi rękę pod ramię. - Nie gniewaj się, dobrze? Wybacz mi moje zainteresowanie filiżankami po kawie. W zamian uszanuję twoje kakao. Zgoda?

Nie mogłem powstrzymać śmiechu i zgodnie poszliśmy do salonu, gdzie filiżanki po kawie i tacę zastaliśmy tak, jak pozostały minionego wieczoru.

Na prośbę przyjaciela opisałem jeszcze raz przebieg całej sceny. Słuchał uważnie i bardzo skrupulatnie kontrolował pozycję niektórych filiżanek.

- Aha... pani Cavendish stała przy tacy. Nalewała kawę. Zgadza się. Później przeszła pod okno, gdzie ty siedziałeś z panną Cyntią. Zgadza się. Mamy trzy filiżanki. Tamta na półce nad kominkiem, wypita tylko do

połowy, to z pewnością filiżanka pana Lawrence'a. A ta piąta, na tacy?

- Johna Cavendisha. Sam widziałem, jak ją odstawił.

- W porządku. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć... Aha! Gdzie jest filiżanka pana Inglethorpa?

- On nie pił kawy.

- Dobrze. Wszyscy załatwieni. Jeszcze momencik, drogi przyjacielu.

Z nieopisaną ostrożnością Poirot wysączał po kilka kropel z fusów pozostałych na dnie każdej filiżanki do osobnych probówek i kosztował zlewki z rozwagą, nim probówkę zakorkował. Twarz zmieniała mu się stopniowo: przybierała wyraz na poły zakłopotania, na poły ulgi.

- *Bien!* - odezwał się wreszcie. - Oczywiście sprawa. Miałem pewną koncepcję, ale omyliłem się bez wątpienia. Tak... To był błąd zasadniczy.

Dziwne... Bardzo dziwne. Ha! Mniejsza o to!

Wzdrygnął się, jak gdyby strząsał z siebie coś, co go dotąd niepokoiło.

Miałem na końcu języka, że obsesja na punkcie kawy mogła go zawieść

jedynie w ślepy zaułek, ale opanowałem się w porę. Cóż, Poirot zestarzał się widocznie, lecz w swoim czasie był wielkim człowiekiem.

- Śniadanie na stole - powiedział John Cavendish wchodząc do salonu. - Zechce pan dotrzymać nam towarzystwa, *monsieur* Poirot?

Detektyw przyjął zaproszenie, a ja bacznie spojrzałem na Johna. Wyglądał prawie jak zwykle. Po przemijającym wstrząsie wywołanym dramatycznymi zdarzeniami ostatniej nocy odzyskał równowagę. Był

człowiekiem niemal pozbawionym wyobraźni - w przeciwieństwie do brata, który zapewne grzeszył jej nadmiarem.

Od świtu John pracował ciężko. Wysyłał telegramy (jeden z pierwszych do Eweliny Howard), redagował notatki dla prasy, tonął po uszy w smutnych obowiązkach nieodłącznych od zgonu w rodzinie.

- Wolno zapytać o wstępne wyniki? - zwrócił się do Poirota. - Czy śmierć matki była naturalna, czy też... Czy mamy przygotować się na najgorsze?

- Moim zdaniem - odrzekł detektyw - nie trzeba żywić złudnych nadziei. Mógłby mi pan powiedzieć, jak zapatrują się na sprawę pozostali członkowie rodziny?

- Lawrence, mój brat, jest przekonany, że robimy wiele hałasu o nic. Twierdzi, że to najbardziej typowy przypadek sercowego ataku.

- Tak twierdzi? Hm. Interesujące, rzeczywiście bardzo interesujące - szepnął Poirot, jak gdyby do siebie. - A pańska małżonka?

John spochmurniał.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, jak przedstawiają się poglądy mojej żony.

Odpowiedź wywołała pewną konsternację. Zapadła zenująca cisza, którą John przerwał nie bez widocznego wysiłku.

- Mówiłem już, zdaje się, że wrócił pan Inglethorp?

Poirot przytaknął skinieniem głowy.

- Sytuacja jest dla nas wszystkich niezręczna - ciągnął John. - Oczywiście należałoby go traktować jak zwykle... Ale, do diabła! Słabo się robi na myśl, że trzeba usiąść do stołu w towarzystwie potencjalnego mordercy.

- Doskonale rozumiem... Doskonale - podchwycił Poirot tonem głębokiego współczucia. - Znalazł się pan w nad wyraz kłopotliwym

położeniu. Chciałbym jednak zadać pewne pytanie. O ile mi wiadomo, pan Inglethorp twierdzi, że nie wrócił na noc, ponieważ zapomniał klucza od zatrasku. Czy to się zgadza?

- Tak.

- A jest pan pewien, że on naprawdę zapomniał klucza, że mimo wszystko nie miał go przy sobie?

- Nie wiem, *monsieur* Poirot. Nie sprawdzałem. Klucz leży zwykle w szufladzie w hallu. Zaraz pójdę, zobaczę, czy jest na miejscu - powiedział John Cavendish.

Poirot zatrzymał go uśmiechem i gestem ręki.

- Nie, nie, drogi panie. Za późno. Klucz znajdzie pan z pewnością. Jeżeli pan Inglethorp zabrał go wieczorem, miał mnóstwo czasu, by „zgubę” podrzucić, gdzie należy.

- Więc sądzi pan...

- Nic nie „sądzę. Gdyby przypadkiem ktoś zajrzał do szuflady dziś rano, przed powrotem pana Inglethorpa, i znalazł tam klucz, byłaby to okoliczność bardzo dla niego korzystna. To wszystko.

John spochmurniał wyraźnie.

- Proszę się nie przejmować - podjął uspokajająco mój przyjaciel - nie

kłopotać się smutną sprawą, nie próbować nic zgadnąć. A teraz, skoro pan tak łaskaw, możemy iść na śniadanie.

W jadalni zgromadziło się całe towarzystwo, które w istniejących warunkach nie mogło być wesole. Wszyscy przechodziliśmy reakcję po wstrząsie, dokuczliwą, jak to z reguły bywa. Dobre wychowanie i chęć utrzymania pozorów sprawiały, że zachowywaliśmy się prawie naturalnie. Nie mogłem jednak odpędzić natrętnego pytania, czy w grę wchodzi jedynie umiejętność panowania nad sobą. Nie widziałem przy stole zaczerwienionych oczu, nie widziałem tajonych oznak wewnętrznej żałoby. Odnosiłem wrażenie, że osobą najszczerzej zmartwioną jest poczciwa Dorcas. Nie brałem pod uwagę Alfreda Inglethorpa, który grał rolę zboląłego wdowca w sposób odrażający w swojej obłudzie. Czy zdawał sobie sprawę, że jest podejrzany? Niewątpliwie musiał to odczuć, chociaż maskowaliśmy się starannie. Czy ulegał cichym obawom, czy też był dufny, liczył, że zbrodnia ujdzie mu bezkarnie? Z pewnością atmosfera podejrzeń stawiała go w sytuacji w pewnym sensie napiętnowanego.

Ale czy wszyscy go podejrzewali? Na przykład Mary Cavendish? Oto siedzi u szczytu stołu pełna wdzięku, opanowana, zagadkowa. Obserwowałem ją pilnie. Wyglądała bardzo pięknie w popielatej sukni z białymi koronkowymi mankietami opadającymi na szczupłe dłonie. Wyraz twarzy miała nieprzenikniony, jak sfinks! Była milcząca, prawie nie otwierała ust, mimo to jednak nie wątpiłem, że jej potężna osobowość dominuje nad całym zgromadzeniem.

A mała Cyntia? Czy żywi jakieś podejrzenia? Sprawia wrażenie osoby chorej, przemęczonej. Wyraźnie odczuwałem jej skrępowanie. Zapytałem, czy się źle czuje.

- Tak - odpowiedziała po prostu. - Głowa mnie piekielnie boli.

- Zalecam, *mademoiselle*, drugą filiżankę kawy - odezwał się Poirot. - Na pewno dobrze zrobi. Nie znam lepszego środka przeciw migrenie.

Podniósł się zwinnie i sięgnął po filiżankę panny Murdoch.

- Dziękuję za cukier - powiedziała.

- Nie słodzi pani kawy? To oszczędność wojenna?

- Nie. Nigdy nie słodziłam.

- Do licha! - mruknął do siebie Poirot podając Cyntii pełną filiżankę.

Tylko ja dosłyszałem te słowa, a gdy zerknąłem na małego Belga, spostrzegłem, że ma oczy zielone jak kot, a na twarzy wyraz tłumionego wzburzenia. Niechybnie zobaczył lub usłyszał coś, czym przejął się do

głębi. Co to być mogło? Nie poczytuję się za tępaka, lecz muszę przyznać, że nic osobliwego nie zwróciło mojej uwagi.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do jadalni weszła Dorcas.

- Pan Wells chciałby widzieć się z panem - powiedziała pod adresem Johna.

Zapamiętałem nazwisko. Był to notariusz, do którego pani Inglethorp pisała poprzedniego wieczora. John wstał od stołu.

- Poproś pana Wellsa do mojego gabinetu - odrzekł i dodał zwracając się do mnie i mojego przyjaciela: - To notariusz mojej matki - zniżył głos - i miejscowy koroner... Może chcielibyście, panowie, iść ze mną?

Podnieśliśmy się i wraz z Johnem wyszliśmy z jadalni. Wyprzedzał nas nieco, więc skorzystałem z okazji, by zapytać szeptem:

- Więc odbędzie się rozprawa u koronera?

Poirot potwierdził lekkim skinieniem głowy. Był tak pogrążony we własnych myślach, że obudził znów moją ciekawość.

- Co się stało? Nie słuchasz, co do ciebie mówię.

- Masz rację, *mon ami*. Bardzo się niepokoję.

- Dlaczego?

- Ponieważ panna Cytia nie sładzi kawy.

- Co? Chyba kpisz!

- Nic podobnego. Czegoś tutaj nie rozumiem. Mój instynkt okazuje się trafny.

- Jaki znów instynkt?

- Ten, który nakazał mi zbadać filiżanki po kawie! Szaaa! Ani słowa więcej.

W tej chwili weszliśmy do gabinetu. John zamknął drzwi.

Pan Wells - sympatyczny mężczyzna w średnim wieku - miał bystre oczy i wyraz twarzy typowy dla prawnika. John przedstawił nas i wyjaśnił powód naszej obecności.

- Oczywiście - kończył - dochodzenie ma charakter ściśle prywatny. Nie tracimy nadziei, że w ostatecznym rezultacie obejdzie się bez policyjnego śledztwa.

- Zapewne, zapewne - odparł układnie notariusz - rad bym oszczędzić

państwu rozgłosu i kłopotów związanych z rozprawą. Niestety jednak to nieuniknione wobec braku lekarskiego świadectwa zgonu.

- Tak... Rozumiem.

- Bauerstein to tęga głowa. O ile mi wiadomo, autorytet w dziedzinie toksykologii.

- Istotnie - przyznał sucho John i dodał spiesznie: - Czy zostaniemy powołani na świadków... my wszyscy?

- Niewątpliwie pan... no i... ehem... i pan Inglethorp. - Prawnik zrobił krótką pauzę, by podjąć zaraz ze zwykłą swadą: - Wszelkie inne zeznania to formalność, czysta formalność proceduralna, proszę pana.

- Tak... Rozumiem.

Zdziwiłem się nieco, twarz Johna wyraziła ulgę, której przyczyny nie potrafiłem zgłębić.

- Jeżeli nie ma pan zastrzeżeń - ciągnął pan Wells - wyznaczę rozprawę na piątek. Lekarze będą mieli czas na przygotowanie opinii. Sekcja zwłok odbędzie się dziś wieczorem, prawda?

- Tak.

- A więc termin panu odpowiada?

- Najzupełniej.

- Nie muszę zapewniać drogiego pana o moim głębokim współczuciu w tej tragicznej sprawie.

- A czy zechciałby pan pomóc w jej rozwikłaniu? - Poirot odezwał się pierwszy raz od początku rozmowy.

- Ja?

- Tak. Słyszałem, że pani Inglethorp pisała do pana wczoraj wieczorem.

List powinien nadejść poranną pocztą.

- Nadszedł, lecz nie zawiera żadnych wiadomości. Pani Inglethorp prosiła, abym odwiedził ją dziś, gdyż chce zasięgnąć mojej rady w bardzo ważnej sprawie.

- Czy nie wspomniała, o jaką sprawę chodzi?

- Niestety nie.

- Szkoda - powiedział John.

- Tak, wielka szkoda - przyznał posepnie Poirot.

Zapanowało milczenie. Mój przyjaciel zamyślił się głęboko. Na koniec zwrócił się znów do prawnika.

- Proszę pana! Chciałbym panu zadać jedno pytanie, jeżeli oczywiście odpowiedź nie koliduje z obowiązkami zawodowymi. Kto dziedziczy majątek pani Inglethorp w przypadku jej zgonu?

Pan Wells zawahał się na moment.

- Bardzo niedługo zostanie to ujawnione - powiedział. - Jeżeli więc pan Cavendish nie ma nic...

- Nie mam nic przeciwko temu - wtrącił John.

- Zatem nie widzę racji, dla której nie mógłbym odpowiedzieć na pańskie pytanie. Ostatni testament z sierpnia zeszłego roku zawiera szereg drobnych legatów dla służby i innych osób. Po ich uwzględnieniu generalnym spadkobiercą miał zostać pasierb testatorki, pan John Cavendish.

- Czy... - Poirot zwrócił się do Johna: - Zechce pan wybaczyć moje pytanie. Czy nie było to z krzywdą drugiego pasierba, pana Lawrence'a?

- Nie sędzę - odparł prawnik. - Zgodnie z ostatnią wolą ojca panów Cavendishów po śmierci

ich macochy John otrzymała posiadłość Styles Court, natomiast Lawrence pokażą sumę pieniędzy. Pani Inglethorp zapisała własne kapitały panu Johnowi, gdyż zdawała sobie sprawę, że on będzie ponosił koszty utrzymania rezydencji. Osobiście uważam taką decyzję za sprawiedliwą i rozsądną.

- Niewątpliwie - Poirot pokiwał głową. - Ale na zasadzie angielskiego prawa powtórne zamążpójście wdowy unieważniło jej testament, o ile się nie mylę, prawda?

- Właśnie zamierzałem dodać, proszę pana - odparł pan Wells - że wspomniany dokument nie ma obecnie mocy prawnej.

- Aha... - Poirot zastanowił się na moment. - Czy pani Inglethorp

wiedziała o tym?

- Nie wiem. Prawdopodobnie wiedziała.

- Tak - wtrącił nieoczekiwanie John. - Wczoraj była nawet mowa, że małżeństwo unieważnia testament sporządzony wcześniej.

- Jeszcze jedno pytanie - zwrócił się mój przyjaciel do prawnika. - Wspomniał pan o „ostatnim testamencie” zmarłej. Czy były dawniejsze?

- Tak. Pani Inglethorp spisywała ostatnią wolę przeciętnie raz do roku. Lubiła zmieniać decyzję, obdarowując raz tego, raz innego członka rodziny.

- Przypuśćmy, że sporządziła bez pańskiej wiedzy testament na rzecz kogoś nie należącego do rodziny... powiedzmy, panny Howard. Czy zdziwiłoby to pana?

- Nie. Bynajmniej!

- Aha...

Odniosłem wrażenie, że Poirot wyczerpał zasób pytań. Przysunąłem się doń, gdy John i pan Wells jęli omawiać sprawę przejrzenia papierów nieboszczki.

- Sądzisz, że pani Inglethorp sporządziła testament na rzecz panny Howard? - zapytałem nie mogąc ukryć ciekawości.

- Nie.

- Skąd więc twoje pytanie?

- Cicho bądź!

- Zechce nam pan towarzyszyć - zwrócił się John Cavendish do małego Belga. - Mamy zamiar przejrzeć papiery matki. Pan Inglethorp zgodził się powierzyć to zadanie panu Wellsowi i mnie.

- Co znakomicie upraszcza sprawę - podchwycił prawnik. - Z czysto formalnego punktu widzenia niewątpliwie pan Inglethorp byłby upoważniony... - nie dokończył okrągłego zdania.

- Zaczniemy od biurka w buduarze - ciągnął John. - Następnie pójdziemy do sypialni matki. Wszystkie najważniejsze dokumenty przechowywała zawsze w czerwonej teczce. Należy je

przejrzeć dokładnie.

- Słusznie - przyznał prawnik. - Może tam właśnie znajdziemy testament późniejszy niż znajdujący się w moim posiadaniu.

- Jest późniejszy testament - przemówił nagle Poirot.

- Co?

John i Wells spojrzeli nań ze zdziwieniem.

- Albo raczej - ciągnął z niezmaconym spokojem mój przyjaciel - był późniejszy testament.

- Jak to był? Co się z nim stało?

- Został spalony.

- Spalony?

- Tak. Proszę spojrzeć.

Poirot wręczył panu Wellsowi osmalony skrawek papieru, wydobyty z kominka w pokoju nieboszczki, i wyjaśnił pokrótce, gdzie i kiedy go znalazł.

- Może to był jakiś dawniejszy testament?

- Nie sądzę. Otwarcie mówiąc, jestem prawie pewien, że ten dokument

został podpisany wczoraj po południu.

- Co? To niemożliwe! - zawołali jednocześnie koroner i John.

Mój przyjaciel zwrócił się do Johna.

- Dowiodę słuszności moich słów, jeżeli zechce pan posłać po ogrodnika.

- Tak... Naturalnie... Ale nie rozumiem...

- Proszę posłuchać mojej prośby - przerwał Poirot. - Później może pan pytać, ile zechce.

- Dobrze. - John zadzwonił i po chwili w drzwiach stanęła stara pokojowa.

- Dorcas - rzucił John - niech tu zaraz przyjdzie Manning. Mam z nim do pomówienia.

- Dobrze, proszę pana. - Dorcas wyszła z gabinetu.

Czekaliśmy w pełnej napięcia ciszy. Tylko Poirot był kompletnie opanowany. Troskliwie ścierał kurz z gzymsu szafy bibliotecznej.

Wreszcie chrzęst żwiru pod podkutymi butami oznajmił Manninga. John spojrział pytająco na mojego przyjaciela, który skinął głową.

- Wejdźcie, Manning - powiedział John. - Chcę z wami pomówić.

Ogrodnik wszedł przez drzwi tarasowe. Zatrzymał się możliwie najbliżej progu. W rękach gniótł i obracał czapkę. Grzbiet miał kabłąkowaty, chociaż zapewne nie był tak stary, jak to się mogło zdawać. Przenikliwe spojrzenia bystrych oczu przeczyły ciężkiej, nieco zająkliwej mowie.

- Manning - odezwał się znów John. - Ten pan zada wam kilka pytań. Chcę, żebyście na nie odpowiedzieli.

- Tak jest, proszę wielmożnego pana.

Poirot postąpił krok naprzód. Ogrodnik spojrzał nań nie bez lekceważenia.

- Wczoraj po południu sadziliście begonie na klombach przed oknem. Zgadza się?

- Tak, proszę pana. Pracowaliśmy obaj z Williamem.

- Pani Inglethorp podeszła do drzwi balkonowych i zawołała was, Manning, prawda?

- Zawołała, proszę pana.

- Może opowiecie własnymi słowami, co się później działo.

- Co się później działo? Nic wielkiego, proszę pana. Pani kazała Williamowi, żeby wsiadł na rower i pojechał do osady po jakiś tam formularz testamentu, czy jak tam się to nazywa. Nie pamiętam szczegółowo. Pani napisała to na kartce.

- I co?

- Nic, proszę pana. William pojechał i wrócił.

- A później?

- Nic, proszę pana. Wzięliśmy się znów do begonii.

- Czy pani Inglethorp zawołała was drugi raz?

- Zawołała, proszę pana, mnie i Williama.

- Po co?

- Kazała nam podpisać się na samym dole długiego papieru zaraz pod jej własnym podpisem.

- Może widzieliście coś na tym papierze, wyżej nad podpisem pani Inglethorp? - zapytał żywo Poirot.

- Nic, proszę pana. Wszystko było zasłonięte bibułą.

- A wy złożyliście podpisy w miejscu, które wam pani wskazała.

- Właśnie, proszę pana. Najprzód ja podpisałem, a za mną William.

- Co pani Inglethorp zrobiła później z tym papierem?

- Co zrobiła? Złożyła, wsunęła do długiej koperty i schowała do takiej czerwonej teczki, co leżała na biurku.

- O której godzinie pierwszy raz was zawołała?

- Tak koło czwartej, proszę pana.

- Nie wcześniej? Może to była trzecia trzydzieści?

- Nie, proszę pana. Mogło być nawet trochę po czwartej, ale nie wcześniej.

- Dziękuję, Manning - uśmiechnął się Poirot. - To wszystko.

Ogrodnik zerknął na swojego chlebodawcę, a gdy John skinął głową, wycofał się niepewnie

przez oszklone drzwi na taras. Spojrzeli po sobie.

- Na Boga! - powiedział John zdławionym głosem. - Cóż za zbieg okoliczności!

- Zbieg okoliczności? Jaki?

- Że matka sporządziła testament akurat w przeddzień śmierci.

Pan Wells odchrząknął i rzucił chłodno:

- Jest pan zdania, że to był zbieg okoliczności?

- Do czego pan zmierza?

- Sam pan mówił, że pani Inglethorp posprzeczała się z kimś gwałtownie... właśnie wczoraj po południu.

- Do czego pan zmierza?! - prawie krzyknął John; głos mu drżał, twarz pobleadła widocznie.

- W następstwie tej kłótni pani Inglethorp sporządziła nowy testament, nagle i pośpiesznie. Treści jego nie poznamy nigdy. Nie rozmawiała z nikim na ten temat. Dziś rano chciała zasięgnąć mojej rady, lecz nie

zdażyła. Dokument został zniszczony. Tajemnica zejdzie do grobu z nieboszczką. Obawiam się, proszę pana, że nie może być mowy o zbiegu okoliczności, a pan Poirot przyzna niewątpliwie, że znane już fakty dają

niemało do myślenia.

- Dają czy nie dają - podchwycił John - jesteśmy wdzięczni panu Poirot

za wyświecenie sprawy. Gdyby nie on, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o testamencie. Wolno zapytać, *monsieur*, co przede wszystkim naprowadziło pana na ślad?

Poirot uśmiechnął się pogodnie.

- Kilka wyrazów skreślonych na starej kopercie i świeżo zasadzony klomb begonii.

Zapewne John nie szczędziłby dalszych pytań, ale w tej chwili usłyszeliśmy warczenie silnika i spojrzawszy w kierunku drzwi tarasowych, zobaczyliśmy mijający właśnie samochód.

- Evie! Bardzo przepraszam! - zawołał John i spiesznie wyszedł do hallu.

Poirot spojrzał na mnie pytająco.

- Panna Howard - wyjaśniłem. - Cieszę się, że przyjechała. Dobry Bóg

poskąpił jej urody, ale dał serce i rozum.

Poszedłem za Johnem i w hallu zastałem pannę Howard, która pozbywała się licznych szali spowijających jej głowę. Spojrzała na mnie i w tym momencie odczułem nagłą skruchę. Ostrzegła mnie przecież - wyraźnie, szczerze - a ja niestety nie oszacowałem należycie jej złych

przeczuć! Zlekceważyłem przestrogi, rychło o nich zapomniałem. Wstyd mi było teraz, gdy obawy znalazły tragiczne potwierdzenie. Panna Howard znała Alfreda Inglethorpa aż nazbyt dobrze. Wiedziała, czego się można po nim spodziewać. Począłem medytować, czy gdyby została w Styles, dramat miałby taki sam finał, czy też morderca przestraszyłby się jej czujnego wzroku.

Doznałem pewnej ulgi, gdy Ewelina Howard obdarzyła mnie potężnym, prawie bolesnym

uściskiem dłoni, który tak dobrze pamiętałem. Spojrzała mi przy tym w oczy smutno, lecz bez wyrzutu. Niewątpliwie płakała, gdyż powieki miała zaczerwienione, ale jej sposób bycia nie utracił normalnej, dobrodusznej szorstkości.

- Dostałam telegram i zaraz wyjechałam. Właśnie skończyłam nocny dyżur. Wynajęłam samochód. To najszybszy środek lokomocji.

- Jadłaś coś, Evie? - zapytał John.

- Nie.

- Tak też myślałem. Chodź. Jeszcze stół nie sprzątnięty po śniadaniu. Zaraz zaparzy się świeżej herbaty. - John zwrócił się do mnie: - Proszę cię, zajmij się nią, Hastings. Na mnie czeka pan Wells. O, jest i *monsieur* Poirot, który pomaga nam w kłopotach...

Panna Howard podała rękę małemu Belgowi, lecz przez ramię spojrzała podejrzliwie na Johna.

- W jakich znowu kłopotach? - zapytała.

- Prowadzi prywatne śledztwo.

- Po co tu śledztwo? On jeszcze nie w więzieniu?

- Kto?

- Alfred Inglethorp! To proste.

- Kochana Evie, bądź bardziej oględna. Lawrence jest zdania, że matka umarła na atak sercowy.

- Idiota! - obruszyła się panna Howard. - Alfred Inglethorp zamordował biedną Emilię. Zawsze mówiłam, że tak się skończy.

- Nie krzycz tak, moja droga. Wolno nam myśleć, co chcemy, mieć podejrzenia. Ale chwilowo lepiej jak najmniej gadać. Rozprawa u koronera odbędzie się dopiero w piątek.

- Zawracanie głowy! - warknęła panna Howard. - Pogłupieliście wszyscy. Do tej pory łajdak czmychnie z kraju. Jeżeli ma choć trochę oleju

w głowie, nie będzie czekał spokojnie na stryczek.

John Cavendish przyglądał się jej tępo.

- Wiem, w czym sęk - ciągnęła. - Uwierzyłeś lekarzom. Po co? Oni nie wiedzą nic albo w sam raz tyle, żeby narażać ludzi na niebezpieczeństwo. Ja ich znam. Mój rodzony ojciec był lekarzem. Mały Wilkins to skończony osioł. Jak żyję, nie widziałam głupszego. Atak sercowy! Nic innego nie umiał powiedzieć. Każdy rozumny człowiek wiedziałby od razu, że to

kochany mążulek ją otruł. Wciąż powtarzałam, że zamorduje kiedy biedaczkę w łóżku. No i zamordował! A wy wszyscy gadacie o ataku sercowym i rozprawie w piątek. Powinieneś się wstydić, John. Jak Boga kocham!

- Co, u licha, mam robić, Evie? - John Cavendish nie mógł ukryć lekkiego uśmiechu. - Nie żądasz chyba, żebym wziął za kołnierz Alfreda i zawlókł na posterunek policji?

- Coś mógłbyś zrobić - podchwyciła energiczna niewiasta. - Dość, jak ją

otrul. To cwany szubrawiec. Mógł zrobić napar z trutki na muchy. Spytaj kucharki, czy coś

takiego nie zginęło.

W tej chwili pomyślałem, że ulokować pod jednym dachem pannę Howard oraz Alfreda Inglethorpa i utrzymać pokój między nimi to zadanie przekraczające ludzkie możliwości. Nie zazdrościłem Johnowi, a jego mina świadczyła, iż świadom jest tych trudności. Na razie poszukał ratunku w ucieczce i błyskawicznie rozstał się z towarzystwem.

Niebawem Dorcas przyniosła świeżo zaparzoną herbatę. Kiedy wyszła z pokoju, Poirot opuścił zajmowany dotychczas posterunek pod oknem. Usiadł naprzeciw panny Howard.

- Pragnę panią o coś poprosić, *mademoiselle* - odezwał się poważnie.

- Jazda! Śmiało! - rzuciła mierząc małego Belga niezbyt życzliwym wzrokiem.

- Chciałbym zapewnić sobie pani pomoc.

- Zgoda! Chętnie przyczynię się do powieszenia Alfreda Inglethorpa. Szubienica za dobra dla niego. Warto by utopić łajdaka i poćwiartować, jak w dawnych dobrych czasach.

- Widzę, że idziemy ręką w rękę - podjął detektyw. - Ja także chcę zaprowadzić na szubienicę zbrodniarza.

- Alfreda Inglethorpa?

- Jego albo kogoś innego.

- Nie ma mowy o żadnym „kimś innym”. Nikt nie zamordowałby nigdy biednej Emilii, gdyby jego tu nie było. Naturalnie otaczały ją rekiny. To fakt. Ale tamtym chodziło tylko o pieniądze Emilii. Jej życiu nic nie zagrażało. I co dalej? Zjawia się pan Alfred Inglethorp i w ciągu dwu miesięcy - koniec!

- Proszę mi wierzyć, droga pani - podjął dobitnie Poirot. - Jeżeli pan Inglethorp jest mordercą, nie ujdzie kary. Moja w tym głowa. Słowo daję.

- To już lepiej - powiedziała Ewelina Howard nieco łagodniej.

- Muszę jednak poprosić panią o zaufanie. Pani pomoc może stać się nieoceniona. Chce pani wiedzieć, dlaczego tak sądzę? Bo w całym domu pani jedna płakała.

Panna Howard przymrużyła oczy. Ton jej głosu utracił szorstkość.

- Jeżeli chce pan przez to powiedzieć, że byłam przywiązana do biednej Emilii, to dobrze pan trafił. Widzi pan, stara była na swój sposób okropną egoistką. Hojnie dawała, ale zawsze wymagała zapłaty. Nie pozwalała zapomnieć o świadczonych łaskach i dlatego trudno jej było pozyskać ludzkie serca. Nie odczuwała ich braku. Nie rozumiała, w czym sedno sprawy. Przynajmniej mam nadzieję, że nie odczuwała. Ze mną było

inaczej. Od razu oceniłam sytuację właściwie. „Jestem dla ciebie warta tyle a tyle funtów na rok i ani pensa więcej - mówiłam. - Nic nie przyjmę ekstra. Nawet pary rękawiczek, nawet biletu do teatru”. Nie potrafiła tego zrozumieć. Nieraz obrażała się na mnie. Powiadała, że jestem głupio zarozumiała. Nie o to chodziło. Nie umiałam jej wytłumaczyć mojego

stanowiska, ale tak czy inaczej, zachowałam szacunek dla samej siebie. No i dlatego ja jedna w całym domu mogłam sobie pozwolić na przywiązanie do biednej Emilii. Strzegłam jej, broniłam

przed stadem rekinów. Później przyszedł ten załgany łajdak i wszystko diabli wzięli! Na marne poszły lata mojej troski.

- Rozumiem panią - odparł Poirot tonem głębokiego współczucia. - Doskonale rozumiem. Reakcja jest naturalna. Pani zdaniem jesteśmy opieszali, brak nam zapału, ognia. Ale myli się pani, proszę mi wierzyć.

W tym momencie do jadalni zajrzał John i poprosił detektywa i mnie do pokoju sypialnego zmarłej, ponieważ wraz z panem Wellsem zakończyli przegląd biurka w buduarze. Na schodach obejrzał się w kierunku drzwi jadalni i powiedział zniżając głos do poufnego szeptu:

- Wyobrażasz sobie spotkanie tych dwojga? Ja nie.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

- Prosiłem Mary - ciągnął mój gospodarz - żeby trzymała ich możliwie najdalej od siebie.

- Poradzi sobie?

- Diabli wiedzą. Jest jedna pociecha. Inglethorpowi z pewnością nie zależy na spotkaniu z Evie.

- Masz przy sobie klucze, prawda? - zwróciłem się do małego Belga, kiedy stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami.

Poirot wy dobył klucze z kieszeni. John otworzył drzwi i wszyscy weszliśmy do pokoju. Prawnik ruszył prosto w kierunku biurka. Cavendish podążył za nim.

- Matka przechowywała najważniejsze papiery w tej czerwonej teczce - powiedział.

Poirot sięgnął po pęk kluczy.

- Przepraszam. Zamknąłem teczkę dziś rano. To była czysta ostrożność.

- Jest otwarta!

- Niemożliwe!

- Proszę spojrzeć - John uniósł klapę.

- Do licha! Mam w kieszeni oba klucze! - Poirot szybko chwycił teczkę. - A to dopiero! Zamek wyłamany.

- Co?

Mój przyjaciel odłożył teczkę.

- Kto to mógł zrobić? Dlaczego? Kiedy? Drzwi były zamknięte na klucz! - jęliśmy wykrzykiwać bezładnie.

Poirot odpowiedział kategorycznym tonem, jak gdyby mechanicznie:

- Kto? To zasadnicza kwestia. Dlaczego? Bardzo chciałbym wiedzieć. Kiedy? W ciągu ostatniej godziny, bo przedtem ja tutaj byłem. No, a zamknięte drzwi? Ba! To najzwyczajniejszy zamek. Z pewnością pasuje do niego niejeden klucz od innych drzwi w korytarzu.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Gapiliśmy się na siebie bezradnie. Poirot podszedł do kominka. Na pozór spokojny. Z długoletniego nawyku ustawiał symetrycznie drobiazgi zdobiące półkę. Spostrzegłem jednak, że drży mu ręka.

- To musiało być tak - odezwał się na koniec. - W teczce było coś, jakiś dowód, może na pozór błahy, lecz wystarczający, by połączyć osobębrodnika z morderstwem. Ten dowód musiał zniknąć, musiał zostać zniszczony, nim go odkryjemy i rozszyfrujemy. Kwestia życia i śmierci! Dlatego morderca podjął ryzyko, piekielne ryzyko! Przyszedł tutaj. Teczka została zamknięta, więc nie miał wyboru. Musiał wyłamać zamek, zdradzić swoją wizytę. W grę wchodziła niewątpliwie rzecz najwyższej wagi, bo ryzyko było śmiertelne.

- Ale co?

- Nie wiem! - zawołał rozdrażnionym tonem Poirot. - Jakiś dokument, może kartka, którą Dorcas widziała w rękach swojej pani wczoraj po południu. A ja... - wybuchnął rozpaczliwie. - Głupie bydlę! Nic nie przewidziałem. Postąpiłem jak skończony osioł! Jak mogłem zostawić tu teczkę? Powinienem ją zabrać! Ach, dureń! Dureń! Dowód przepadł na zawsze, został zniszczony! Na Boga! Może nie został zniszczony! Trzeba poruszyć niebo i ziemię!

Poirot wypadł z pokoju jak szalenciec, a ja wybiegłem za nim, gdy ochłonałem cokolwiek ze zdumienia. Zanim jednak osiągnąłem podest, mój przyjaciel zniknął mi z pola widzenia. W miejscu gdzie rozwidlały się schody, stała Mary Cavendish. Przez balustradę spoglądała w kierunku hallu, gdzie niewątpliwie przepadł Poirot.

- Co się stało pańskiemu cudakowi? - zapytała. - Minał mnie cwałem, jak rozjuszony buhaj.

- Przejął się czymś okropnie - bąknąłem niepewnie, gdyż nie wiedziałem, jak wiele mój przyjaciel chciałby ujawnić.

Na ustach Mary dostrzegłem nikły uśmiech, więc podjąłem usiłując zmienić temat rozmowy:

- Nie spotkali się dotąd, prawda?

- Kto?

- Inglethorp z panną Howard.

Spojrzała na mnie tak, że się stropiłem.

- Uważa pan ich spotkanie za katastrofę?

- Hm... Czy ja wiem? A pani?

- Nie - uśmiechnęła się znowu. - Chętnie zobaczę takie krótkie spięcie. Oczyszcza atmosferę. Na razie wszyscy myślimy bardzo wiele, a mówimy za mało.

- John jest odmiennego zdania - podjąłem. - Obawia się tego spotkania.

- Ach, John! - rzuciła tak lekceważąco, że aż ja poczułem się dotknięty.

- John to diabelnie przyzwoity facet!

Przez moment obserwowala mnie spod oka. Później powiedziala ku

mojemu niemałemu zdziwieniu:

- Jest pan lojalny wobec przyjaciela. Bardzo to cenie.

- Czy i panią mam prawo uważać za przyjaciela?

- Nie nadaję się do tej roli.

- Dlaczego, proszę pani?

- Bo jednego dnia potrafię być dla ludzi czarująca, a nazajutrz kompletnie o nich zapominam.

Nie wiem, co mnie podkusiło, może to ogólne podenerwowanie. W każdym razie wyrwałem się wysoce nietaktownie.

- Wydaje mi się, że dla doktora Bauersteina jest pani nieodmiennie czarująca!

Zaraz pożałowałem niewczesnych słów. Twarz pani Cavendish zlodowaciała. Odniosłem wrażenie, że opadła nagle stalowa kurtyna i przesłoniła kobietę, którą dopiero co widziałem. Bez słowa odwróciła się i szybko weszła na piętro, a ja zostałem z idiotycznie otwartymi ustami.

Ocucił mnie niebywały harmider na parterze. Poirot krzyczał, przeklinał. Zirytowała mnie myśl, że moja dyplomacja na nic się nie zdała. Mały Belg informował cały dom o przykrym wydarzeniu, co moim zdaniem świadczyło o braku przezorności. Jeszcze raz pożałowałem gorzko, że Poirot tak łatwo traci głowę pod wpływem wzburzenia. Szybko zbiegłem ze schodów, a gdy mój widok uspokoił detektywa, odciągnąłem go na bok.

- Poirot - przemówiłem - czy postępujesz rozsądnie? Po co wtajemniczasz wszystkich domowników w te sprawy? Idziesz tylko na rękę mordercy.

- Tak sądzisz, Hastings?

- Oczywiście.

- A więc bądź moim przewodnikiem, przyjacielu.

- Chętnie. Chociaż, niestety, już trochę za późno.

- Masz słuszność.

Biedak był przybity i strapiony, aż żal mi się go zrobiło. Uważałem jednak, że z przyganą wystąpiłem rozsądnie i w porę.

- Cóż, chodźmy stąd, *mon ami* - odezwał się po chwili Poirot.

- Skończyłeś robotę?

- Chwilowo tak. Pójdiesz ze mną do osady?

- Chętnie.

Detektyw sięgnął po swoją walizeczkę i ruszyliśmy w stronę otwartych drzwi wiodących na taras. W progu spotkaliśmy Cyntię Murdoch, której mój przyjaciel grzecznie ustąpił z drogi.

- Przepraszam na momencik, *mademoiselle* - powiedział.

- Czym mogę służyć? - zapytała.

- Czy preparowała pani kiedy jakieś leki dla pani Inglethorp?

Dziewczyna zarumieniła się lekko i odpowiedziała nie bez skrępowania:

- Nie preparowałam.

- Z wyjątkiem proszków, prawda?

Rumieniec nabrał ciemniejszej barwy.

- Prawda! Raz zrobiłam dla niej proszki nasenne.

- Te? - detektyw pokazał próżne pudełko.

Cynthia twierdząco skinęła głową.

- Wolno zapytać, co zawierały? - podjął mój przyjaciel. - Luminal? Weronal?

- Nie. Sole bromu.

- Dziękuję, *mademoiselle*. I do widzenia.

Oddalając się spiesznie od domu raz po raz spoglądałem spod oka na towarzysza. Dawniej już zaobserwowałem, że oczy mu zieleniały, gdy bywał czymś podniecony. Obecnie połyskiwały niczym szmaragdy.

- Mój drogi - odezwał się wreszcie Poirot. - Mam pewien drobny pomysł... dziwny, może nawet nieprawdopodobny... Ale dobrze pasuje do całości.

Wzruszyłem ramionami, przekonany, że Poirot przywiązuje zbyt wielką wagę do swoich fantastycznych „drobnych pomysłów”. W danym przypadku prawda była jasna i oczywista.

- Wyjaśniła się zagadka bezimiennego pudełka od proszków - podjąłem po krótkiej pauzie. - Prosta historia, jak słusznie napomknąłeś. Dziwne, że nie przyszło mi to na myśl.

Mały Belg nie słuchał. Palcem wskazał Styles Court.

- Tam zrobili jeszcze jedno odkrycie - powiedział. - Wspomniał o nim pan Wells, kiedy szliśmy na piętro.

- Co takiego?

- W biurku w buduarze znaleźli testament pani Inglethorp sporządzony przed jej ślubem. Cały majątek zapisała Alfredowi Inglethorpowi, zapewne już narzeczonemu. Była to nie lada niespodzianka dla Wellsa. Tak samo dla Johna Cavendisha. Zwykły formularz testamentu z podpisami dwu świadków, służących, ale nie Dorcas.

- Czy Inglethorp wiedział o tym testamencie?

- Powiada, że nie wiedział.

- Trudno wierzyć bez zastrzeżeń - zauważyłem sceptycznie. - Okropny zamęt z tyloma testamentami. Powiedz, jak z kilku słów nagryzmołonych na starej kopercie

wywnioskowałeś, że wczoraj po południu pani Inglethorp spisała ostatnią wolę?

Poirot uśmiechnął się pogodnie.

- *Mon ami!* Chyba zdarzało ci się nieraz, że pisząc list miewałeś wątpliwości co do ortografii takiego czy innego słowa?

- Naturalnie. Każdemu się to zdarza.

- Właśnie. W takim przypadku zapewne pisałeś sobie wątpliwe słowo raz i drugi: na bibule, na niepotrzebnej kopercie, na jakiegokolwiek kartce papieru. Tak właśnie postąpiła pani Inglethorp. Spostrzegłeś z pewnością, że „przynależne” napisała przez „rz”, a następnie prawidłowo, przez „ż”. Wreszcie chciała zobaczyć, jak to wygląda w zdaniu: „Jestem przynależna diabłu”. Czego się stąd dowiedziałem? Że ostatniego popołudnia pani Inglethorp pisała wyraz „przynależne”. Połączyłem to z niedawno znalezionym w kominku skrawkiem papieru i wysnułem wniosek, że

sporządzała testament, który prawie na pewno zawierał zwrot „przynależne”. Możliwość taką potwierdziły dalsze spostrzeżenia. W ogólnym zamęcie nie sprzątnięto rano buduaru. Dzięki temu w pobliżu biurka zostały wyraźne brunatne ślady błota lub świeżo poruszonej ziemi. Od kilku dni mieliśmy piękną pogodę, więc zwykle obuwie nie

zostawiłoby takiej pamiątki. Podszedłem do okna i od razu spostrzegłem klomb świeżo obsadzony kwiatami. Kolor ziemi odpowiadał śladom na

podłodze buduaru, a od ciebie dowiedziałem się, że begonie sadzono wczoraj po południu. Co stąd wynika? Ogrodnik albo raczej obydwaj ogrodnicy (bo w pobliżu grządek kwiatowych zostały odciski dwu różnych par butów) byli w buduarze. Po co? Gdyby pani Inglethorp chciała się z nimi rozmówić, najprawdopodobniej załatwiłaby sprawę przez okno i ogrodnicy nie przestąpiliby progu pokoju. Bez wątpienia zatem sporządziła nowy testament i na świadków wezwała tych ludzi. Dalsze wydarzenia potwierdziły moje rozumowanie.

- Genialna robota! - wyraziłem uznanie. - Niestety muszę przyznać, że z grymołów na kopercie wysnułem zupełnie błędne wnioski.

- Puściłeś wodze fantazji - uśmiechnął się mój przyjaciel. - Tak! Wyobraźnia to dobry sługa - ale nie pan. Najprostsze rozwiązanie jest zazwyczaj najbliższe prawdy.

- Jeszcze jedno. Skąd wiedziałeś o zagubieniu kluczyka od teczki?

- Nie wiedziałem. Zgadłem, jak się okazało, trafnie. Pamiętasz? Przy uchu kluczyka był kawałek skręconego drutu. Wskazywało to, że kluczyk mógł zostać zerwany z prymitywnego kółka. Ale gdyby zginał, a następnie się odnalazł, pani Inglethorp dołączyłaby go zaraz do pęczka. Jednakże w pęczku znalazłem kluczyk bez wątpienia zapasowy: nowy, mocno błyszczący. Stąd wydedukowałem, że inna ręka wsunęła zagubiony kluczyk do zamka teczki.

- Rozumiem. Niewątpliwie ręka pana Inglethorpa.

Poirot zerknął na mnie z ukosa.

- Jesteś zupełnie pewien jego winy?

- Naturalnie. Raz po raz potwierdzają to nowe okoliczności.

- Przeciwnie - zaoponował cicho mój przyjaciel. - Kilka przemawia na

jego korzyść.

- Czyżby?

- Tak.

- Ja widzę tylko jeden punkt.

- A mianowicie?

- Że ostatnią noc spędził poza domem.

- Pudło! Wybrałeś fakt moim zdaniem wysoce obciążający.

- Jakim cudem?

- Gdyby Alfred Inglethorp wiedział, że jego żona będzie otruta w nocy, z

pewnością postarałby się być w tym czasie daleko. Pretekst został przygotowany naprędce. To niewątpliwe. Mamy więc dwie możliwości. Albo wiedział, co ma się zdarzyć, albo miał jakieś swoje racje, by nie

nocować w domu.

- Jakie znów racje? - zapytałem podejrzliwie.

- Skąd mógłbym wiedzieć? - Poirot wzruszył ramionami. - Niewątpliwie łajdackie. Jestem przekonany, że to kawał szubrawca, ale szubrawiec i morderca to nie to samo.

Zrobiłem niedowierzającą minę.

- Nie zgadzasz się ze mną, co? - podjął mały Belg. - Nie mówmy o tym. Czas pokaże, który z nas miał słusność. Teraz zajmiemy się innymi aspektami sprawy. Co wnosisz z faktu, że wszystkie drzwi sypialni były

pozamykane od środka?

- Cóż... - zawahałem się

- Ś

ę. - Trzeba rozumować logicznie.

więta racja!

- Drzwi były rzeczywiście zamknięte - podjąłem. - Widzieliśmy to na własne oczy. Mimo to plama ze stearyny na podłodze i zniszczenie testamentu wskazują, że w nocy ktoś wtargnął do sypialni. Przyznasz mi słusność, jak dotąd?

- Naturalnie. Wszystko logiczne i przejrzyste. Jazda dalej!

- Otóż nikt nie mógł wejść przez okno ani żadnym innym sposobem. Krótko mówiąc, pani Inglethorp musiała otworzyć drzwi i wpuścić tego

kogoś. Potwierdza to przypuszczenie, że gościem był Alfred Inglethorp, którego żona bez wahania wpuściła do sypialni.

Poirot pokręcił głową.

- Dlaczego miałyby go wpuścić? Przecież zaryglowała drzwi wiodące do jego pokoju, czego nigdy dawniej nie robiła. Tego dnia posprzeczała się z nim gwałtownie. Nie! To ostatnia osoba, którą by wpuściła!

- W każdym razie przyznajesz, że te nieszczęsne drzwi otworzyła sama.

- Istnieje alternatywa. Kładąc się do łóżka zapomniała o drzwiach. Później obudziła się i zasunęła rygiel, może dopiero po północy.

- Na serio tak sądzisz?

- Nie. Nie twierdzę, że tak było. Ale mogło być. Następna kwestia. Co wnosisz z podsłuchanego przez siebie urywka rozmowy pomiędzy panią Cavendish a jej świekrą?

- Oo! Zapomniałem o tej rozmowie - zastanowiłem się na moment. - Jeszcze jedna zagadka. Trudno sobie wyobrazić, by osoba tak dumna i

powściągliwa jak pani Cavendish wtrącała się uparcie w sprawy bez wątpienia nie swoje.

- Właśnie. Zdumiewająca postawa jak na kobietę tak spokojną i dobrze wychowaną.

- Rzeczywiście sprawa niezrozumiała - przyznałem - ale i bez znaczenia, więc można ją pominąć.

- Co ci zawsze mówiłem?! - wybuchnął mój przyjaciel. - Nie wolno nic pomijać. Jeżeli jeden szczegół nie pasuje do teorii, lepiej odrzucić teorię.

- Przekonamy się - rzuciłem cierpko.

- Przekonamy się. Oczywiście - powiedział Poirot.

W domku, w którym rezydowali uchodźcy, mały Belg zaprowadził mnie na piętro, do swojego pokoju, i poczęstował cienkimi rosyjskimi papierosami, które czasami palił. Ubawiło mnie odkrycie, że słynny detektyw składa zużyte zapałki do małego dzbanuszka z porcelany. Chwilowe napięcie minęło.

Poirot ustawił swoje dwa krzesła przed oknem z widokiem na ulicę osady. Był ciepły, przyjemny wietrzyk. Zapowiadał się upalny dzień.

Nagle spostrzegłem chudego mężczyznę zmierzającego zamaszystym krokiem w naszym kierunku. Uwagę moją zwrócił wyraz jego twarzy - przerażony, pełen wzburzenia.

- Patrz, Poirot - powiedziałem.

Mój przyjaciel wyjrzał przez otwarte okno.

- Oo! Pan Mace z apteki. Widocznie do nas idzie.

Pan Mace zatrzymał się przed domkiem i po krótkim wahaniu mocno zastukał do drzwi.

- Momencik! - krzyknął z okna Poirot. - Już schodzę. Gestem ręki poprosił, abym mu towarzyszył. Następnie zbiegł na parter i otworzył drzwi.

- Ach, panie Poirot - zaczął bez wstępu młody człowiek. - Bardzo mi przykro, że sprawiam kłopot. Ale dowiedziałem się, że dopiero co wrócił

pan z pałacu.

- Rzeczywiście. Dopiero co przyszedliśmy ze Styles Court.

Pan Mace oblizywał spieczone wargi. Mięśnie twarzy drgały mu dziwnie.

- Wszyscy mówią o pani Inglethorp, o jej nagłej śmierci. Powiadają... - zniżył głos do szeptu - że została otruta.

- Tę kwestię mogą rozstrzygnąć jedynie lekarze - odparł detektyw z niezachwianym spokojem.

- Tak... Naturalnie... - młody człowiek zawahał się; później chwycił mojego przyjaciela za ramię i dał folgę gwałtownemu wzburzeniu. - Niech mi pan jedno powie! - zawołał. - To nie była strychnina, prawda?

Nie dosłyszałem odpowiedzi małego Belga - odpowiedzi z pewnością

wymijającej. Pan Mace odszedł, a kiedy drzwi się za nim zamknęły, Poirot spojrzał mi w oczy.

- Tak - odezwał się poważnym tonem - ten będzie miał coś do powiedzenia podczas rozprawy.

Wolno wróciliśmy na piętro, a gdy otwierałem usta, Poirot powstrzymał

mnie gestem ręki.

- Nie teraz, *mon ami*, nie teraz! Muszę się zastanowić. Coś z moją głową nie w porządku, a to niedobrze.

Przez dziesięć minut siedział bez słowa i ruchu. Tylko od czasu do czasu marszczył brwi, a oczy zieleniały mu coraz bardziej. Wreszcie westchnął

głęboko.

- Już dobrze. Przeszła zła chwila. Wszystko ułożyłem, posegregowałem. Nie wolno dopuszczać do zamętu. Przypadek nie jest jeszcze jasny, w żadnym razie. To historia szczególnie zagmatwana. Zbija z tropu nawet mnie... Mnie! Herkulesa Poirot! Ale dwa fakty mają wyjątkową wagę.

- A mianowicie?

- Pierwszy to pogoda w dniu wczorajszym. Sprawa bardzo istotna.

- Przecież był cudowny dzień! - zawołałem. - Poirot! Chyba żartujesz?

- Nic podobnego. Termometr wskazywał trzydzieści stopni w cieniu. Nie zapominaj, przyjacielu. To klucz do zagadki.

- A drugi punkt? - zapytałem.

- Drugi? Pan Inglethorp ubiera się bardzo oryginalnie, ma czarną brodę i nosi okulary.

- Poirot! Trudno uwierzyć, że mówisz serio!

- Absolutnie serio, *mon ami*.

- To dziecinada!

- Nie. Fakty o pierwszorzędnym znaczeniu.

- A jeżeli przysięgli wydadzą werdykt: „Morderstwo z premedytacją dokonane przez Alfreda Inglethorpa!” To co stanie się z twoimi teoriami?

- Moim teoriom nie zaszkodzi omyłka dwunastu durniów. Nie bój się, mój drogi. Prowincjonalna

ława przysięgłych niechętnie bierze na siebie pełną odpowiedzialność. No i pan Inglethorp ma tu pozycję prawie dziedzica. Zresztą ja nie dopuszczę, by zapadł taki werdykt.

- Ty?

- Ja.

Ubawiony i zirytowany po trosze, spojrzałem na niepozornego człeczynę. Zdumiewająca pewność siebie! Zdawać się mogło, że Poirot czyta moje myśli.

- Tak, *mon ami* - powiedział. - Dotrzymam słowa.

Wstał i położył mi dłoń na ramieniu. Zupełnie zmienił mu się wyraz twarzy, łzy napłynęły do oczu.

- W całym tym kołowrotku - podjął - myślę wciąż o pani Inglethorp. Nie żyje biedaczka. Oczywiście nie była osobą lubianą. Ale nam, Belgom, okazała wiele serca. Jesteśmy i zostaniemy jej dłużnikami.

Usiłowałem mu przerwać, lecz ciągnął swoje:

- Jedno ci powiem, Hastings. Nie wybaczyłaby mi nigdy, gdybym pozwolił na aresztowanie Alfreda Inglethorpa, jej małżonka. Gdybym pozwolił na to teraz, kiedy mogę go uratować jednym słowem.



VI.

ROZPRAWA

Do czasu rozprawy u koronera Poirot przejawiał niestrudzonądziałalność. Dwukrotnie konferował poufnie z panem Wellsem. Odbывał

długie spacerunki po okolicy. Czułem lekką urażę, że nie wtajemnicza mnie w swoje sprawy, i nie potrafiłem odgadnąć, do czego zmierza.

Przychodziło mi na myśl, że zbiera może informacje w okolicy farmy Raikesów, więc w środę pod wieczór, kiedy nie zastałem go w domu, wybrałem się na przechadzkę w tamtym kierunku. Daremnie jednak liczyłem na spotkanie, a Raikesom nie chciałem się narzucać. Zrezygnowałem, ale w powrotnej drodze natknąłem się na bardzo starego wieśniaka, który zagadnął mnie z przebiegłym, złośliwym uśmiechem:

- Wielmożny pan z pałacu, hę?

- Tak. Szukam przyjaciela, który poszedł, zdaje się, na spacer w tę stronę.

- Taki mały, hę? Wymachuje rękami, jak gada? Jeden z Belgów, co mieszkają w Styles?

- Zgadza się! - zawołałem żywo. - Był tutaj?

- A był, był, wielmożny panie. I to nieraz. Pański przyjaciel, hę? Niejeden przychodzi tu z pałacu.

Dużo tam panów, dużo - stary uśmiechnął się jeszcze bardziej jadownicie.

- Często bywają w tych stronach, jak wyraziliście się, panowie z pałacu? - zapytałem.

- Przeważnie jeden - wieśniak przymrużył oko. - Ale to sekret, he?

Nawet całkiem hojny pan... Oo!... Dziękuję wielmożnemu panu.

Odszedłem zwawo. Więc Ewelina Howard miała słuszość! Odczułem

obrzydzenie na myśl, że Alfred Inglethorp szastał hojnie pieniędzmi swojej żony. Czy za motyw zbrodni należy uważać ładną twarzyczkę o cygańskim typie urody? A może działały nikczemniejsze pobudki - prosta chęć zysku? Najprawdopodobniej jedno i drugie.

Snułem dalsze rozważania. Szczególnie dziwił mnie obsesyjny opór mojego przyjaciela w jednej kwestii. Parokrotnie Poirot mówił mi, że Dorcas mylnie ustaliła czas sprzeczki, a rozmawiając z nią twierdził, że podniesione głosy musiała słyszeć około pół do piątej, nie o czwartej.

Ale stara służąca była pewna swego. Kłótnia miała miejsce na dobrą godzinę przed podwieczorkiem, a pamiętała dokładnie, że zaniosiła herbatę pani Inglethorp punktualnie o piątej. Powtarzała to nieraz i z przekonaniem.

Rozprawa u koronera odbyła się w piątek, w gospodzie „Pod Herbem Styles” przy głównej ulicy osady. Ani Poirot, ani ja nie mieliśmy zeznawać, więc spokojnie usadowiliśmy się obok siebie.

Formalności wstępne poszły gładko. Przysięgli obejrzeliby zwłoki. John Cavendish stwierdził ich tożsamość. Odpowiadając na dalsze pytania opisał

swoje przebudzenie nad ranem i okoliczności zgonu macochy.

Przyszła kolej na opinie lekarskie. Zapadła grobowa cisza. Wszystkie spojrzenia przywarły do głośniego londyńskiego specjalisty, który, jak wiadomo, był największym autorytetem w zakresie toksykologii.

Doktor Bauerstein przedstawił w zwięzłych słowach wyniki sekcji

zwłok. Zgon nastąpił skutkiem zatrucia strychniną. Badanie treści żołądka wykazało, że denatka przyjęła co najmniej trzy czwarte grama tej trucizny, możliwe jednak, że cały gram lub nieco więcej.

- Czy mogło stać się to przypadkowo? - zapytał koroner.

- Moim zdaniem rzecz wysoce nieprawdopodobna. Strychnina, w przeciwieństwie do wielu innych trucizn, nie ma zastosowania w gospodarstwie. Jej sprzedaż jest ograniczona.

- Czy wyniki obdukcji wskazują, w jaki sposób trucizna została podana?

- Nie wskazują.

- O ile mi wiadomo, pan przybył do Styles Court przed doktorem Wilkinsem?

- Tak. Samochód spotkałem w pobliżu bramy parku i pobiegłem na miejsce wypadku najszybciej, jak to było możliwe.

- Zechce pan opowiedzieć, co nastąpiło później.

- Wszedłem do pokoju sypialnego pani Inglethorp, która w tej chwili

miała właśnie atak bardzo charakterystycznych konwulsji. Zwróciła się do mnie i wyjąkała z trudnością: „Alfred... Alfred...”

- Czy strychnina mogła być podana w kawie, którą pan Inglethorp zaniósł po kolacji do pokoju żony?

- To niewykluczone. Ale strychnina jest trucizną stosunkowo szybko działającą. Objawy występują w ciągu jednej do dwu godzin od chwili jej przyjęcia. Pewne warunki mogą spowodować opóźnienie, lecz w danym przypadku warunki takie najprawdopodobniej nie istniały. Denatka wypłała kawę bezpośrednio po kolacji, około ósmej wieczorem. Objawy wystąpiły dopiero nad ranem. Wynika stąd, że trucizna musiała zostać przyjęta znacznie później.

- Pani Inglethorp miała zwyczaj pić w nocy kakao. Czy strychnina mogła być podana w ten sposób?

- Nie. Osobiście pobrałem próbkę resztek kakao pozostałych w rondelku i poleciłem przeprowadzić analizę. Obecności strychniny nie stwierdzono.

Usłyszałem za sobą dyskretny śmiech przyjaciela.

- Skąd o tym wiedziałeś? - zapytałem.

- Cicho! Słuchaj!

- Ośmielałem się twierdzić - ciągnął londyński specjalista - że inny wynik zdziwiłby mnie poważnie.

- Dlaczego?’

- Strychnina ma smak wyraźnie gorzki. Można go odczuć nawet w roztworze o stosunku jeden do siedemdziesięciu tysięcy. Zneutralizować

gorycz może jedynie substancja o silnym zapachu, w żadnym razie kakao.

Jeden z przysięgłych zapytał, czy to samo da się powiedzieć o kawie.

- Nie. Kawa ma własną gorycz, może więc zneutralizować smak strychniny.

- Reasumując, jest pan zdania, że truciznę podano raczej w kawie, lecz jakieś nie stwierdzone warunki opóźniły działanie strychniny.

- Zapewne. Ale nie można było zbadać zawartości filiżanki, która została starta na proch.

Doktor Wilkins potwierdził w całej pełni zeznania londyńskiego kolegi. Możliwość samobójstwa odrzucił stanowczo. Denatka miała osłabione serce, poza tym jednak była zdrowa, zrównoważona, pogodna z natury. Tego typu ludzie nie odbierają sobie życia.

Kolejny świadek - Lawrence Cavendish - nie wniósł do sprawy nic nowego. Ogólnie biorąc, powtórzył treść zeznań brata. Kiedy miał odejść, zawahał się na moment i powiedział niezdecydowanym tonem:

- Chciałbym przedstawić swoje zdanie, jeżeli można.

- Oczywiście - podchwycił żywo koroner. - Zebraliśmy się tutaj celem odkrycia prawdy, więc witamy życzliwie wszystko, co może się przyczynić do jej wyświecenia.

- Nie wiem, wysoki sędzie, czy się nie mylę, lecz nadal jestem zdania, że śmierć matki mogły wywołać przyczyny naturalne.

- Zechce pan to sprecyzować?

- Przez pewien czas, aż do śmierci, matka przyjmowała środek wzmacniający, który zawiera strychninę.

- Aa... - zdziwił się koroner.

Przysięgli ożywili się.

- Słyszałem o takich przypadkach - ciągnął Lawrence Cavendish - że skutki lekarstwa podawanego przez długi okres kumulowały się i ostatecznie powodowały zgon pacjenta. Nie wolno też wykluczyć

możliwości nieumyślnego przedozowania.

- Dopiero teraz usłyszeliśmy, że denatka przyjmowała strychninę w czasie bezpośrednio poprzedzającym jej zgon. Jesteśmy panu wdzięczni za tę informację.

Doktor Wilkins zbagatelizował jednak ten pogląd.

- To, co pan Cavendish sugeruje - powiedział - jest najzupełniej nieprawdopodobne. Zdanie moje potwierdzi niewątpliwie każdy lekarz. Strychnina jest w pewnym stopniu trucizną, którą organizm kumuluje, ale w takim przypadku nie mogłoby być mowy o gwałtownych objawach i prawie nagłym zgonie. Wystąpiłyby przewlekłe, długotrwałe niedomagania, które z pewnością zwróciłyby moją uwagę. Cała koncepcja jest absurdalna.

- A druga ewentualność? Przypadkowego przedozowania?

- Trzy lub cztery normalne dozy nie byłyby dawką śmiertelną. Pani Inglethorp zamawiała zwykle dużą butelkę mikstury, bo jej dostawcą był aptekarz z Tadminster. Cóż? Musiałaby wypić całą porcję, żeby wprowadzić do organizmu ilość strychniny, jaką wykazała sekcja zwłok.

- Jak stąd wynika, pan doktor jest zdania, że zawierający strychninę lek wzmacniający nie mógł być przyczyną zgonu?

- Oczywiście. To pomysł niedorzeczny.

Ten sam przysięgły, który już raz zabierał głos, wysunął przypuszczenie, że w aptece mogła zajść omyłka.

- Naturalnie. Wszędzie zdarzają się omyłki - przyznał lekarz. Ale

zeznania następnego świadka, Dorcas, wykluczyły nawet tę ewentualność. Pani Inglethorp nie zamawiała ostatnio mikstury wzmacniającej. Przeciwnie: w dniu poprzedzającym śmierć przyjęła ostatnią dozę.

Wobec tego koroner przestał interesować się lekiem i dalej poprowadził

rozprawę. Wysłuchał opowiadania Dorcas, jak to zaalarmowana gwałtownym dzwonkiem z pokoju pani Inglethorp postawiła cały dom na nogi. Następnie przeszedł do kłótni, która miała miejsce dnia poprzedniego. Nie przytaczam zeznań Dorcas w tym względzie, gdyż pokrywały się na ogół z informacjami, jakie uzyskał od niej Poirot.

Z kolei zeznawała Mary Cavendish. Stała bardzo sztywno. Mówiła cichym, lecz stanowczym i bardzo czystym głosem. Na pytanie koronera odpowiedziała, że jej budzik zadzwonił o pół do piątej, jak każdego rana. Kończyła się ubierać, gdy zaniepokoił ją odgłos upadku czegoś ciężkiego.

- To niewątpliwie był stolik nocny przy łóżku denatki - skomentował koroner.

- Otworzyłam drzwi swego pokoju - ciągnęła Mary. - Nasłuchiwałam.

Po chwili dzwonek zaterkotał donośnie. Nadbiegła Dorcas i obudziła mego

męża. Pospieszaliśmy do pokoju pani Inglethorp, lecz drzwi zastaliśmy zamknięte. Później...

- Nie widzę powodu - przerwał koroner - by trudzić panią opisem późniejszych wydarzeń. Przebieg ich znamy dokładnie. Natomiast chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o sprzeczce, która miała miejsce po

południu dnia poprzedniego. Jak wiele pani słyszała?

- Ja?

Głos jej zabrzmiał nutą urazy. Mary uniosła rękę, poprawiła koronkowy kołnierzyk odwracając przy tym głowę.

Chce zyskać na czasie! - przemknęło mi przez myśl pod wpływem nagłego olśnienia.

- Tak - podjął spokojnie koroner. - Wiadomo nam, że w czasie kłótni czytała pani książkę siedząc na ławce w bezpośrednim sąsiedztwie drzwi tarasowych buduaru. Czy było tak istotnie?

Zaskoczony nie znaną mi dotychczas informacją, zerknąłem z ukosa na mojego przyjaciela i odniosłem wrażenie, że i on się zdziwił.

- Było tak istotnie - odpowiedziała Mary po sekundzie ledwie dostrzegalnego wahania.

- I drzwi były otwarte?

Pani Cavendish pobladła trochę.

- Tak.

- A zatem nie mogła pani nie słyszeć głosów dochodzących z buduaru, zwłaszcza że były to głosy podniesione. Niewątpliwie słowa trudniej było rozróżnić z hallu niż z miejsca, w którym pani znajdowała się w tym czasie.

- Zapewne.

- Zechce pani powtórzyć to, co pani słyszała?

- Nie przypominam sobie, żebym cokolwiek słyszała.

- Jak to? Nie słyszała pani głosów?

- Owszem! Głosy słyszałam, słów nie. - Mary zarumieniła się lekko. - Nie mam zwyczaju interesować się poufnymi rozmowami. - Umilkła na moment, nie tracąc pozorów opanowania i

spokoju, jak gdyby próbowała sobie coś przypomnieć. - Tak... Pani Inglethorp mówiła zdaje się... nie usłyszałam szczegółów... o skandalu małżeńskim.

- Tak - przerwał koroner - to pokrywa się z zeznaniami Dorcas. Ale... Proszę mi wybaczyć. Zdawała sobie pani sprawę, że w buduarze toczy się rozmowa poufna, a mimo to została pani na miejscu. Czemu to przypisać?

Dostrzegłem przelotny błysk w piwnych oczach Mary. Odczułem, że chętnie poszarpałaby na sztuki niepokąźnego, zbyt dociekliwego prawnika. Na pozór jednak utrzymywała niezmaconą równowagę.

- Czemu to przypisać? - powtórzyła chłodno. - Na ławce było mi wygodnie. Nie słuchałam poufnej rozmowy. Bez reszty byłam zajęta lekturą.

- Nic więcej nie może pani powiedzieć?

- Nic więcej.

Przesłuchanie dobiegło końca, podejrzewałem jednak, że koroner nie był zadowolony. Z pewnością sądził, że Mary Cavendish mogłaby powiedzieć znacznie więcej, gdyby zechciała.

Powołany kolejno świadek - Amy Hill, urzędniczka z poczty, powiedziała, że po południu siedemnastego lipca William Earl, młodszy ogrodnik ze Styles Court, kupił formularz testamentu.

William Earl i Manning zeznali, że złożyli podpisy na jakimś dokumencie. Manning twierdził, że działo się to o pół do piątej. Jego pomocnik był zdania, że trochę wcześniej.

Cynthia Murdoch niewiele miała do powiedzenia. O tragedii dowiedziała się od pani Cavendish, która ją obudziła.

- Nie słyszała pani upadku stolika nocnego?

- Nie. Spałam mocno.

- Można powiedzieć, snem sprawiedliwego - uśmiechnął się koroner. -

Dziękuję pani. Nie mam więcej pytań. Poproszę pannę Howard.

Panna Howard przedstawiła sądowi list, który pani Inglethorp wysłała do niej siedemnastego lipca wieczorem. Zamieszczam poniżej jego kopię. Do sprawy nie wniósł nic nowego, a Poirot i ja oglądaliśmy go już dawniej.

List podano przysięgłym, którzy przestudiowali go pilnie.

- Ten dowód niewiele nam pomoże - odezwał się koroner. Nie ma w nim słowa o wydarzeniach krytycznego dnia.

- Sprawa jasna jak słońce! - rzuciła zwięźle panna Howard. - Biedna, kochana pani Inglethorp odkryła, że strugano z niej wariata.

- W liście nie wspomina o tym - zaproponował koroner.

- A nie wspomina, bo nigdy nie lubiła przyznać, że nie ma racji. Już ja jąznam. Chciała mojego powrotu, ale wolała nie ustępować. Wybrała okreźną drogę. To bardzo ludzkie. Sama bym tak zrobiła.

Pan Wells uśmiechnął się dyskretnie. Kilku przysięgłych poszło za jego przykładem. Pomyślałem,

że Ewelina Howard to osobistość dobrze znana w okolicy.

- Całe to przedstawienie - ciągnęła energiczna dama mierząc ławę

przysięgłych niechętnym wzrokiem - jest marnowaniem czasu. Gada się, gada, gada, a wszyscy wiemy doskonale...

- Dziękuj ę, panno Howard. Nie mam więcej pytań - przerwał szorstko koroner.

Wydało mi się, że odetchnął z ulgą, gdy groźna Ewelina umilkła.

Wreszcie przyszła kolej na sensację dnia. Pan Wells wezwał następnego świadka. Był to Albert Mace, pomocnik z apteki, ów młody człowiek, który w swoim czasie przybiegł do Poirota blady i roztrzęsiony. Na pytanie koronera odpowiedział, że jest dyplomowanym farmaceutą, a w Styles mieszka od niedawna. Objął posadę w aptece, kiedy jego poprzednika

powołano do wojska. Po formalnościach wstępnych koroner przystąpił do rzeczy.

- Czy w ostatnich dniach sprzedawał pan strychninę osobie nie upoważnionej do zakupu z racji zawodu?

- Tak jest, wysoki sędzie.

- Kiedy?

- W ostatni poniedziałek wieczorem.

- W poniedziałek? Nie wtorek?

- Tak jest, wysoki sędzie. W poniedziałek szesnastego lipca.

- Kto zakupił strychninę?

W sali zapadła cisza. Można by usłyszeć brzęczenie muchy.

- Pan Inglethorp, wysoki sędzie.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się tam, gdzie Alfred Inglethorp siedział obojętnie, sztywno, jakby kij połknął. Drgnął lekko na dźwięk groźnych słów młodego aptekarza. Przez moment miałem wrażenie, że podniesie się

z krzesła. Został jednak na miejscu. Tylko jego twarz przybrała dobrze wystudiowany wyraz zdziwienia.

- Jest pan tego pewien? - zapytał koroner.

- Najzupełniej, wysoki sędzie.

- Czy normalnie sprzedaje pan niebezpieczne trucizny każdemu, kto o nie poprosi?

Nieszczęsny młodzieniec skurczył się pod karcącym wzrokiem pana Wellsa.

- Nie, wysoki sędzie! Skąd znowu! Ale to był przecież pan Inglethorp z pałacu. Myślałem, że można... Mówił, że chce otruć psa.

W skrytości serca współczułem biednemu chłopcu. Chęć przypodobania się „pałacowi” uważałem za objaw wysoce ludzki - zwłaszcza że rezultatem mogło być odbicie poważnego

klienta aptekarzowi z Tadminster.

- O ile mi wiadomo, każdy nabywca trucizny musi podpisać się w specjalnej księdze.

- Tak jest, wysoki sędzie. Pan Inglethorp to zrobił.

- Ma pan przy sobie księgę trucizn?

- Mam, wysoki sędzie.

Księgę pokazano przysięgłym i koroner odprawił nieszczęsnego młodzieńca, udzieliwszy mu krótkiej, ale dobitnej nagany.

Następnie, wśród grobowej ciszy, został wezwany Alfred Inglethorp. W

duchu zadawałem sobie pytanie, czy ten człowiek rozumie, jak bardzo bliski jest stryczka.

Pan Wells przystąpił bez ogródek do sedna sprawy.

- Czy w ubiegły poniedziałek kupował pan strychninę, aby otruć psa?

- Nie kupowałem. W Styles Court nie ma psów, z wyjątkiem podwórzowego owczarka, który jest zupełnie zdrow - odpowiedział Alfred Inglethorp z niezachwianym spokojem.

- Czy zaprzecza pan temu, że w ubiegły poniedziałek Albert Mace sprzedał panu strychninę?

- Stanowczo zaprzeczam.

- I temu pan zaprzecza? - pan Wells podał Inglethorpowi księgę trucizn.

- Tak, wysoki sędzie. To nie mój podpis i nawet niepodobny. Zaraz to udowodnię. - Inglethorp wyjął z kieszeni starą kopertę, podpisał się i podał ją przysięgłym.

Rzeczywiście charakterystyka pisma różniły się wyraźnie.

- Jak w takim razie tłumaczy pan zeznania poprzedniego świadka? - zapytał koroner.

- Najwidoczniej pan Mace się myli - odrzekł niezłomny Alfred Inglethorp.

- Proszę pana - podjął po krótkiej pauzie pan Wells. - Czy może pan powiedzieć, gdzie pan był po południu w poniedziałek szesnastego lipca? Oczywiście to czysta formalność.

- Nie przypominam sobie.

- Niemożliwe! - rzucił koroner. - Proszę się zastanowić.

- Nie przypominam sobie. Mam wrażenie, że poszedłem na spacer.

- W jakim kierunku?

- Doprawdy nie pamiętam.

Pan Wells spoważniał jeszcze bardziej.

- Czy był pan w towarzystwie?

- Nie.

- Wielka szkoda! W takim razie muszę przyjąć, że nie chce pan wyjaśnić, gdzie pan był w

poniedziałek szesnastego lipca po południu, chociaż Albert Mace twierdzi stanowczo, że w tym czasie przyszedł pan do apteki i zakupił strychninę.

- Jeżeli takie sformułowanie odpowiada wysokiemu sądowi, muszę się na nie zgodzić.

- Zalecam rozwałę, panie Inglethorp.

Poirot zaczął kręcić się nerwowo.

- Do licha! - szepnął. - Czy ten dureń chce, by go aresztowano?

Niewątpliwie Inglethorp robił fatalne wrażenie. Jego czczym zaprzeczeniom nie uwierzyłoby nawet dziecko. Jednakże pan Wells przeszedł gładko do kolejnego punktu. Poirot odetchnął z ulgą.

- We wtorek po południu miał pan sprzeczkę z żoną. Czy było tak istotnie?

- Bardzo przepraszam, ale zapewne został pan wprowadzony w błąd. Nie miałem żadnej sprzeczki z moją ukochaną żoną. Plotki nie odpowiadają prawdzie. We wtorek po południu nie było mnie w domu.

- Czy ktoś mógłby to potwierdzić?

- Tylko moje słowo - odparł wyniośle Inglethorp.

- Dwaj świadkowie są skłonni zeznać pod przysięgą, że słyszeli pańskie nieporozumienie z panią Inglethorp.

- Ci świadkowie mylą się niezawodnie.

Nic już nie rozumiałem. Pewność siebie tego człowieka wywierała jednak wrażenie. Spojrzałem na mojego przyjaciela i zdziwiłem się jeszcze bardziej. Był rozpromieniony. Dlaczego? Czyżby uwierzył wreszcie w winę Alfreda Inglethorpa?

- Proszę pana - podjął koroner. - Słyszał pan powtarzane tu niejednokrotnie ostatnie słowa pani Inglethorp. Czy może pan wyjaśnić ich znaczenie?

- Naturalnie.

- Może pan?

- Sprawa wydaje się prosta. W pokoju było prawie ciemno. Doktor Bauerstein jest mniej więcej mojego wzrostu i budowy i podobnie jak ja nosi brodę. Moja biedna żona cierpiała strasznie, była prawie nieprzytomna, więc przy skąpym świetle wzięła doktora Bauersteina za mnie.

- Aha - szepnął Poirot. - To jest myśl!

- Sądzisz, że to prawda? - zapytałem.

- Nie powiedziałem tego. Ale to bardzo prawdopodobny domysł.

- Ostatnie słowa mojej żony - ciągnął Inglethorp - zostały poczytane za oskarżenie. Nic podobnego, wysoki sędzie. To była prośba o ratunek, zwrócona pod moim adresem.

- Mówiono tutaj - zaczął znów pan Wells po krótkim namyśle - że krytycznego wieczora pan sam nalał kawę i zaniósł filiżankę żonie.

- Nalałem kawę. Tak. Ale nie zaniósłem żonie filiżanki. Miałem zamiar

to zrobić, powiedziano mi jednak, że w hallu jest gość, więc poszedłem tam i filiżankę postawiłem na stole. Nie było jej na miejscu, kiedy w kilka

minut później wróciłem do hallu.

Jeżeli nawet zeznanie nie mijало się z prawdą, nie poprawiało sytuacji Inglethorpa. Tak czy inaczej, miał aż nadto czasu, aby wsypać do kawy truciznę.

W tej chwili Poirot dał mi lekką sówkę w bok i wskazał wzrokiem kierunek, gdzie w pobliżu drzwi siedzieli obok siebie dwaj nieznajomi: drobny, śniady mężczyzna o lisim wyrazie twarzy oraz wysoki, tęgi blondyn.

Spojrzałem pytająco na przyjaciela, a on szepnął mi do ucha:

- Wiesz, kto to jest ten mały? Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Inspektor Japp ze Scotland Yardu, sławny Jimmy Japp. Drugi też stamtąd. Sprawa posuwa się błyskawicznie, *mon ami*.

Przyjrzałem się nieznajomym ciekawie. Stanowczo nie wyglądali na policjantów. Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że są tutaj w oficjalnym charakterze.

Z zamyślenia obudziły mnie słowa werdyktu:

- Morderstwo z premedytacją dokonane przez osobę lub osoby nieznane.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>



VII.

POIROT PŁACI DŁUGI

Kiedy wychodziliśmy z gospody „Pod Herbem Styles”, Poirot położył mi dłoń na ramieniu i wolno odprowadził na bok. Zrozumiałem. Czekał na przybyszów ze Scotland Yardu.

Pojawili się niebawem; mój przyjaciel podszedł do nich i zagadnął niższego:

- Zapewne nie przypomina pan mnie sobie, panie inspektorze?

- Pamiętam doskonale. Pan Poirot! - zawołał Japp i zaraz zwrócił się do towarzysza: - Opowiadałem ci o panu Poirot, prawda? Współpracowaliśmy w 1904 roku. Chodziło o tego fałszerza pieniędzy, Abercrombie. Nakryli go w Brukseli. Dobre były czasy, co? - zerknął wymownie na małego Belga. - A pamięta pan „barona” Altarę? To było coś dla pana! Cwaniak kołował policję w połowie europejskich krajów. Przygwoździliśmy go w Antwerpii. Dzięki panu, Poirot!

W trakcie serdecznych wspomnień podszedłem bliżej i Poirot przedstawił mnie inspektorowi Jappowi, a ten z kolei zaprezentował nas obu nadinspektorowi Summerhayowi.

- Nie muszę pytać, co panowie tu robią - powiedział Poirot.

- Nie musi pan - Japp mrugnął znacząco. - Sprawa czysta, że się tak wyrażę.

- Różnimy się w poglądach - odparł poważnie Poirot.

- Jak to? - obruszył się Summerhaye. - Jasna jak słońce. Facet złapany prawie na gorącym uczynku. Dziwi mnie tylko, że mógł być taki głupi.

Tymczasem Japp spoglądał przenikliwie na małego Belga.

- Nie tak ostro, Summerhaye - powiedział. - Pana Poirota znam od dawna i niczyjego zdania nie cenię wyżej. Jak Bóg na niebie, chowa pan

coś w zanadrzu. Prawda, *monsieur*?

- Istotnie - uśmiechnął się Poirot. - Udało mi się sformułować pewne wnioski.

Summerhaye miał nadal sceptyczną minę, lecz Japp nie odrywał wzroku od mojego przyjaciela. Wreszcie odezwał się znowu:

- Jak dotąd oglądaliśmy i oglądamy całą historię tylko od zewnętrznej strony. W podobnych sprawach, kiedy morderstwo staje się niewątpliwe dopiero po rozprawie u koronera, mamy zawsze sytuację niekorzystną. Rzecz najważniejsza to być wcześniej na miejscu zbrodni. Pod tym względem Poirot dostał fory. Nie zdążylibyśmy nawet dzisiaj, gdyby w Styles nie znajdował się pewien obrotny lekarz. Dał nam cynk za pośrednictwem pana Wellsa. Pan, Poirot, był na miejscu od pierwszej chwili. Nic dziwnego, że zdołał pan wyciągnąć już pewne wnioski. Z przebiegu rozprawy wynika niezbicie, że Inglethorp otruł żonę. Każdemu, kto napomknałby o innym

rozwiązaniu, roześmiałbym się w nos.

Każdemu, ale nie panu. Zdziwił mnie, przyznaj ę, werdykt. Myślałem, że to będzie od razu morderstwo z premedytacją dokonane przez niego. I tak by chyba werdykt brzmiał, gdyby nie koroner. Miałem wrażenie, że hamuje zapędy przysięgłych.

- Mimo to pewnie ma pan w kieszeni nakaz aresztowania Inglethorpa? -

bąknął mój przyjaciel.

Wyrazistą twarz Jappa przesłoniła nieprzenikniona sztywność urzędowego chłodu.

- Może mam, może nie mam - padła odpowiedź.

- Bardzo mi zależy, proszę panów, żeby ten człowiek nie został aresztowany - podjął Poirot z namysłem.

- Dobrze sobie! - obruszył się znów Summerhaye.

Japp spojrzał na małego Belga, zrobił komicznie zakłopotaną minę.

- Nie mógłby pan puścić więcej farby, Poirot? Od początku był pan na miejscu. Widzi pan, Scotland Yard nie lubi się mylić.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł z godnością mój przyjaciel. - Cóż, możecie wykorzystać nakaz i aresztować Inglethorpa. Ale nie przyniesie wam to chwały. Sprawa upadnie, rozumie pan. O tak! - znacząco pstryknął palcami.

Japp spoważniał, Summerhaye burknął coś z powątpiewaniem. Natomiast ja oniemiałem z wrażenia. Mogłem jedynie podejrzewać, że Poirot oszalał.

Japp sięgnął po chusteczkę. Otarł zroszone potem czoło.

- Widzi pan, Poirot - podjął. - Osobiście wierzę panu na słowo. Ale moi zwierzchnicy mogliby zapytać, co mi, u licha, strzeliło do głowy. Nie zechciałby pan zdradzić się z czymś więcej?

- To się da zrobić - odrzekł mały Belg po krótkim namyśle. - Nie mam ochoty, przyznaję. Lubię mieć wolne ręce, pracować w cieniu. Ale ma pan

słuszność. Nikt nie przyjmie za dobrą monetę słowa belgijskiego policjanta, którego wielkie dni minęły! A Inglethorp nie może być aresztowany. Postanowiłem nie dopuścić do tego. Świadkiem tu obecny Hastings. Czy zaraz wybierają się panowie do Styles Court?

- Za pół godziny. Najprzód chcemy porozmawiać z koronerem i lekarzem.

- Niech będzie. Wpadnijcie do mnie po drodze. Ostatni dom w osadzie. W Styles Court pan Inglethorp przedstawi, a jeżeli nie zechce, co uważam za bardzo prawdopodobne, ja przedstawię dowody, w których obliczu nie da się spreparować oskarżenia przeciwko niemu. Zgoda?

- Zgoda! - odparł inspektor. - Dziękuję panu, Poirot, w imieniu Scotland Yardu. Chociaż... - zastanowił się. - Do diaska! Na razie nie widzę żadnej luki w przewodzie dowodowym. Nie

wyobrażam jej sobie. Ha! Pan był zawsze cudotwórcą. Więc za pół godzinki, Poirot.

Detektywi odeszli spiesznie. Summerhaye miał na twarzy uśmiech niedowierzania.

- I co, mój drogi? - zawołał Poirot nie dopuszczając mnie do głosu. - Jak ci się to podoba? *Mon Dieu!* W czasie rozprawy przeżyłem niejedną gorącą chwilę. Nie mogłem przeczuć, że facet tak się zatnie, że nie powie nic. Co

za kretańska polityka!

- Nie taka znów kretańska. Jak inaczej mógł się bronić, jeżeli zarzuty przeciwko niemu są prawdziwe? Tylko milczeniem.

- Jak mógł się bronić? Na tysiąc bardziej pomysłowych sposobów. Przypuśćmy, że ja popełniłem to morderstwo. Z pewnością wykombinowałbym siedem rozmaitych historyjek, stokroć bardziej przekonujących niż tępe zaprzeczenia.

Nie byłem w stanie pohamować śmiechu.

- Mój drogi! Ty potrafiłbyś wykombinować siedemdziesiąt takich historyjek. Ale mówmy poważnie. Wbrew wszystkiemu, co powiedziałaś detektywom, teraz chyba wierzysz w winę Alfreda Inglethorpa?

- Dlaczego mówisz „teraz”? Nic się przecież nie zmieniło.

- Z zeznań wynikły poszlaki absolutnie niezbite.

- Właśnie! Znadto niezbite.

Minęliśmy furtkę domku zamieszkanego przez Belgów.

- Właśnie... Znadto niezbite - ciszej, jak gdyby do siebie powtórzył Poirot na dobrze znanych schodach. - Rzeczywiste poszlaki bywają zawsze mętne, niedostateczne. Trzeba je sondować, przesiewać. A tutaj wszystko gra. Mój drogi! Poszlaki majstrowano chytrze... tak chytrze, że robota minęła się z celem.

- Jak to rozumiesz?

- Widzisz, *mon ami*, trudno obronić się przeciwko podejrzeniom nieuchwytnym i mglistym. Tym razem jednak zbrodniarz zacisnął się tak

mocno, że jedno cięcie łatwo wyzwoli Inglethorpa.

Umilkliśmy obydwaj.

- Słuchaj, Hastings - podjął po chwili Poirot. - Przyjmijmy następujący punkt widzenia: zakładam, że ten człowiek postanowił otruć żonę. Dotychczas zawdzięczał wszystko swojemu sprytowi. Stąd wniosek, że stanowczo nie może być skończonym głupcem. Musi mieć trochę oleju w głowie. Więc jak sobie wyobrażasz: że śmiało wchodzi do miejscowej apteki i pod własnym nazwiskiem kupuje strychninę? Że opowiada przy tym o otruciu psa, co przy konfrontacji zeznań musi okazać się kłamstwem? Nie podaje trucizny przy pierwszej sposobności. Nic podobnego! Czeką do następnego dnia i po południu urządza awanturę z żoną. O kłótni wiedzą wszyscy domownicy, więc naturalnym rzeczą

porządkiem skierują swoje podejrzenia przeciwko niemu. Nie myśli o obronie, nie stara się o alibi, jakkolwiek wie, że pomocnik aptekarski złoży obciążające zeznania. Mój drogi! Nie

wymagaj ode mnie wiary w tak bezbrzeżną głupotę! Tylko szaleniectwo w samobójczych zamiarach mógłby zachować się w podobny sposób.

- Mimo wszystko nie rozumiem dotąd...

- Ja także nie rozumiem! - przerwał mi mały Belg. - Ja! Herkules Poirot!

- Jeżeli sądzisz, że Inglethorp jest niewinny, jak wytłumaczysz fakt, że kupił strychninę?

- Nad wyraz prosto. Wcale jej nie kupił.

- Przecież Mace stwierdził jego tożsamość.

- Bardzo przepraszam. Mace widział mężczyznę z czarną brodą, taką jak

broda Alfreda Inglethorpa, w okularach, takich jak okulary Alfreda Inglethorpa, i ubranego w podobnie zwracający uwagę sposób jak Alfred Inglethorp. Żadnym cudem nie mógł rozpoznać osoby, którą zapewne widywał tylko z daleka. Pamiętaj, że Mace, jak sam powiedział, mieszka w Styles od dwóch tygodni, a dostawcą pani Inglethorp był od dawna Coot, aptekarz z Tadminster.

- Więc jesteś zdania...

- Mój drogi, przypominasz sobie dwa ważne punkty, o których wspomniałem w swoim czasie? Chwilowo zostawimy pierwszy w spokoju. Jaki był drugi?

- Fakt, że Alfred Inglethorp ubiera się dziwnie, ma czarną brodę i nosi okulary.

- Nie inaczej! Załóżmy, że ktoś chce się podszyć pod Johna albo Lawrence'a Cavendisha. Czy łatwo mu to przyjdzie?

- Nie... - odpowiedziałem po namyśle. - Oczywiście zawodowy aktor...

- A czemu przyjdzie mu to niełatwo? - przerwał Poirot. - Powiem ci, przyjacielu. Bo nie noszą zarostu. Ucharakteryzowanie się na jednego z nich wymagałoby genialnych zdolności aktorskich i bez wątpienia jakiego takiego podobieństwa. Całkiem inaczej przedstawia się sprawa w przypadku Alfreda Inglethorpa. Dziwny ubiór, broda, okulary

przesłaniające oczy. Oto podstawowe cechy jego powierzchowności! Do czego przede wszystkim zmierza zbrodniarz? Chce odwrócić od siebie podejrzania. Jak to uczynić? Najłatwiej obciążając kogoś innego. W danym przypadku kozioł ofiarny sam narzucał się w sposób oczywisty. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy łatwo uwierzą w winę Alfreda Inglethorpa, że podejrzania zwrócą się przeciwko niemu. Jak je utwierdzić? Preparujmy konkretny dowód, taki na przykład, jak zakup strychniny. Przy charakterystycznym wyglądzie Alfreda Inglethorpa nie nastęczy to większych trudności. Pamiętaj, *mon ami*, Mace nigdy nie rozmawiał z Inglethorpem. Skąd mogło mu przyjść na myśl, że ktoś przebrany za Inglethorpa, z jego brodą i w jego okularach, nie był mimo wszystko Alfredem Inglethorpem?

Dar wymowy przyjaciela prawie mnie przekonał.

- Mogło tak być - bąknąłem. - Dlaczego jednak ten człowiek nie chciał powiedzieć, gdzie obracał się w poniedziałek o szóstej wieczorem?

- Właśnie. Dlaczego? Aresztowanie zapewne rozwiązałoby mu język. Ale teraz nie chcę na to

pozwolić. Wolę go przekonać, w jak groźnym znalazł się położeniu. Niewątpliwie jest łajdakiem. Jeżeli nawet nie otrul

żony, ma jakieś niezależne od morderstwa nikczemne powody, by nie ujawniać swoich spraw.

- Co to być może? - szepnąłem niepewnie.

Chwilowo byłem skłonny podzielać zapatrywania przyjaciela, chociaż w istocie rzeczy sądziłem, że najprostsze metody dedukcji są najwłaściwsze.

- Nie domyślasz się? - zapytał Poirot z uśmiechem.

- Nie. A ty?

- W swoim czasie miałem pewien drobny pomysł, jak się okazało, trafny.

- I nic mi nie mówiłeś? - podchwyciłem tonem wyrzutu.

- Bardzo przepraszam, *mon ami*, ale nie darzyłeś mnie zaufaniem.

Powiedz! - ożywił się znacznie. - Rozumiesz teraz, że nie należy go aresztować?

- Zapewne - przyznałem bez przekonania, bo w gruncie rzeczy nie obchodził mnie los Alfreda Inglethorpa i byłem zdania, że warto by mu napędzić stracha.

Poirot, który przez cały czas obserwował mnie bacznie, westchnął głęboko.

- Mniejsza z tym, *mon ami* - zmienił temat. - Niezależnie od pana Inglethorpa, co sądzisz o rozprawie?

- Wygląda mniej więcej tak, jak przewidywałem.

- Nic szczególnego nie zwróciło twojej uwagi?

Bezwiednie przyszła mi na myśl Mary Cavendish, więc zagrałem na zwłokę.

- Co mianowicie?

- Co? Bodaj Lawrence Cavendish i jego zeznania.

- Aa... Lawrence! - podchwyciłem z uczuciem ulgi. - Wcale mnie nie zaskoczył. Zawsze był nerwowy, nieobliczalny.

- Nie wydało ci się dziwne jego twierdzenie, że pani Inglethorp mogła otruć się przypadkowo środkiem wzmacniającym, który stale przyjmowała?

- Nie powiem. Lekarz wyjaśnił, że to niemożliwe. Ale laik łatwo mógł wpaść na taki pomysł.

- Pan Lawrence nie jest laikiem. Sam mi mówiłeś, że studiował czy nawet ukończył medycynę.

- Tak - przyznałem zbity z tropu. - Nie wziąłem tego pod uwagę. Istotnie, dziwna sprawa.

- Od samego początku jego zachowanie jest dziwne. Spośród domowników tylko on jeden powinien rozpoznać objawy zatrucia strychniną i tylko on obstawał uparcie przy koncepcji

naturalnej śmierci. Gdyby to pan John... Ha! Prosta sprawa! Brak mu wiedzy fachowej i z natury jest pozbawiony wyobraźni. Ale pan Lawrence?... Nie, mój drogi! Albo dziś... Wystąpił z hipotezą, którą musiał uważać za niedorzeczną. Jest nad czym pomyśleć, *mon ami* - zakończył Poirot, ja zaś przyznałem mu

słuszność.

- Albo pani Cavendish - podjął. - Druga osoba, która nie chciała powiedzieć wszystkiego, co jej było wiadome. Co sądzisz o jej zachowaniu?

- Czy ja wiem? Trudno przypuścić, by osłaniała Alfreda Inglethorpa. Na to jednak zakrawa.

- Szczególna historia... Jedno jest pewne: z „poufnej rozmowy” słyszała znacznie więcej, niż zgodziła się powiedzieć.

- Cóż, to chyba ostatnia osoba, którą można by podejrzewać o świadome podsłuchiwanie.

- Z pewnością. Ale jej zeznanie o czymś mnie przekonało. Ja się myliłem, nie Dorcas. Kłótnia istotnie miała miejsce wcześniej, około

czwartej, jak ona twierdziła.

Ze zdziwieniem spojrzałem na małego Belga. W żaden sposób nie mogłem uchwycić drogi jego rozumowania.

- Tak, tak... - podjął. - Wiele zastanawiających szczegółów wyszło dziś na jaw. Weźmy doktora Bauersteina. Dlaczego nie spał i był kompletnie ubrany o piątej nad ranem? Jestem zdumiony, że nikt się tym nie zainteresował.

- O ile mi wiadomo, doktor Bauerstein cierpi na bezsenność - powiedziałem bez przekonania.

- To bardzo dobre i bardzo złe wyjaśnienie. Pokrywa wszystko, ale niczego nie tłumaczy. Warto mieć na oku uczonego doktora Bauersteina.

- Nie dostrzegłeś innych niedociągnięć rozprawy? - zapytałem nie bez zjadliwej ironii.

- *Mon ami* - odrzekł z powagą. - Jeżeli ludzie nie mówią prawdy, miej się na baczności pod każdym względem. Podczas dzisiejszej rozprawy tylko jedna osoba, najwyżej dwie zeznawały szczerze, bez wykrętów i osłonek.

- Co ty pleciesz, Poirot! Nie chodzi o Lawrence'a ani o panią Cavendish. Ale przecież John i panna Howard. Ci nie taili niczego.

- Obydwoje, mój drogi? Jedno z pewnością... lecz obydwójce?

Zdziwiłem się niemile. Panna Howard nie powiedziała nic ważnego, lecz zeznawała tak śmiało i po prostu, że kwestionowania jej słów nie brałem pod uwagę. Mimo to jednak ufałem bystrości sądów Poirota, z wyjątkiem wypadków kiedy, jak to określiłem, był „diabelnie uparty”.

- Naprawdę tak sądzisz? Panna Howard wydawała mi się zawsze osobą uczciwą, czasami aż krępująco uczciwą - powiedziałem.

Poirot spojrzał na mnie z uśmiechem, którego sensu nie potrafiłem zgłębić. Odniosłem wrażenie,

że chciał mi odpowiedzieć, lecz

zrezygnował.

- Podobnie Cyntia Murdoch nie ma w sobie cienia obłudy - dorzuciłem.

- Zgoda. Ale to dziwne, że nie słyszała upadku stolika nocnego. Spała w sąsiednim pokoju. Pani Cavendish twierdzi, że zaniepokoił ją hałas, chociaż była w przeciwległym skrzydle domu.

- Cóż, to młoda dziewczyna. Ma twardy sen.

- Rzeczywiście. Musi być rekordowym śpiochem!

Nie podobał mi się ton Poirota, ale w tej chwili rozległo się potężne kołatanie do drzwi. Wyjrzelśmy oknem i zobaczyliśmy oczekujących przed domem detektywów.

Poirot sięgnął po kapelusz, energicznie podkręcił wąsa, strzepnął z rękawa urojony pyłek i przepuściwszy mnie przodem, zszedł po schodach. Następnie ruszyliśmy we czwórkę do Styles Court.

Pojawienie się przedstawicieli Scotland Yardu wywarło tam wstrząsające wrażenie. Szczególnie zdenerwowany był John, chociaż po werdykcie ławy przysięgłych musiał zdawać sobie sprawę, że taka wizyta stanowi tylko kwestię czasu. Ale ingerencja policji uprzytomniła mu bolesną prawdę dobitniej niż cokolwiek innego.

Po drodze mój przyjaciel szeptem konferował z Jappem. Inspektor

poprosił, aby wszyscy domownicy, oprócz służby, zebrali się w salonie. Wiedziałem, co to znaczy. Herkules Poirot chciał dowieść słuszności swoich przechwałek.

Nie byłem dobrej myśli. Mały Belg miał zapewne powody, by wierzyć w niewinność Inglethorpa. Jednakże człowiek pokroju Summerhaya nie mógł

obejść się bez konkretnych dowodów, a osobiście wątpiłem, czy takie dowody istnieją.

Niebawem zebraliśmy się wszyscy w salonie. Japp zamknął drzwi. Poirot - jak zawsze uprzejmy - rozstawił krzesła. Detektywi stali się ośrodkiem zainteresowania, bo jak mi się wydaje, dopiero teraz domownicy uświadomili sobie, że cała historia nie jest koszmarnym snem, lecz rzeczywistością. Czytywaliśmy o takich sprawach - dziś mieliśmy zostać aktorami dramatu. Jutro codzienna prasa w całej Anglii zamieści soczyste nagłówki:

ZAGADKOWA TRAGEDIA W ESSEX

OTRUCIE BOGATEJ STARSZEJ DAMY

Na szpalty trafią fotografie Styles, migawkowe zdjęcia „krewnych wychodzących z rozprawy”... Miejscowy fotograf nie próżnował! O podobnych wydarzeniach czyta się setki razy. Z reguły jednak przytrafiają się one innym - nie nam. Obecnie morderstwo popełniono w naszym domu.

Przed sobą mieliśmy „przedstawicieli władz prowadzących śledztwo”. Dobrze znane, gładkie frazesy wirowały w moich myślach do czasu, gdy Poirot zagaił zebranie. Wszyscy byli, zdaje się, zaskoczeni, że to on, a nie jeden z policyjnych detektywów pierwszy przejawiał inicjatywę.

- *Mesdames* i *messieurs* - rozpoczął kłaniając się, niby ważna osobistość,

która ma wygłosić odczyt - prosiłem państwa o pofatygowanie się tutaj w konkretnym celu,

związany z osobą pana Alfreda Inglethorpa.

Wdowiec siedział sam. Mam wrażenie, że wszyscy odsuwali się od niego podświadomie. Na dźwięk swojego nazwiska drgnął.

- Proszę pana - Poirot zwrócił się wprost do niego - ponury cień padł na ten dom, cień morderstwa.

- Moja nieszczęśliwa żona - westchnął Inglethorp. - Biedna Emilia. To straszne!

- Zapewne nie zdaje pan sobie sprawy, jak straszne może to być dla pana - podjął z naciskiem mój przyjaciel, a gdy spostrzegł, że Inglethorp zdaje się nie rozumieć, dodał: - Stoi pan wobec groźnego niebezpieczeństwa.

Dwaj detektywi zdradzili pewne zaniepokojenie. Wydawało mi się, że na usta Summerhaye'a ciśnie się formuła urzędowego ostrzeżenia: „Wszystko, co powie pan od tej chwili, może być wykorzystane przeciwko panu”.

- Czy teraz pan zrozumiał? - podjął Poirot spokojnym tonem.

- Nie. Do czego pan zmierza?

- Do tego, że jest pan podejrzany o otrucie żony.

Wszyscy zmartwieliśmy, gdy padło tak jasno sformułowane zdanie.

- Wielki Boże! - zawołał Inglethorp zrywając się z krzesła. - Co za pomysł! Ja miałbym otruć moją najdroższą Emilię?!

- Sądzę - ciągnął Poirot mierząc wdowca przenikliwym wzrokiem - że

nie uświadamia pan sobie, jak bardzo niekorzystne wrażenie wywarły

pańskie zeznania podczas rozprawy. Panie Inglethorp, czy po wszystkim, co usłyszał pan ode mnie, nadal odmawia pan odpowiedzi na pytanie: „Gdzie pan był w poniedziałek o szóstej po południu?”

Alfred Inglethorp jęknął głucho, opadł na krzesło, ukrył twarz w dłoniach. Poirot podszedł do niego.

- Niech pan odpowie! - rzucił rozkazująco.

Inglethorp wyprostował się, jak gdyby z wysiłkiem. Pokręcił głową wolno, bezradnie.

- Nie odpowie pan?

- Nie. Nie wierzę, by ktokolwiek śmiał oskarżyć mnie o taką potworność.

- Trudno! - zaczął znów Poirot, jak gdyby powziął ważką decyzję. - W takim razie ja pana wyręczę.

- Pan?! - Alfred Inglethorp zerwał się znowu. - Jakim cudem? Nie wie pan przecież...

Poirot zwrócił się do nas:

- *Mesdames* i *messieurs*. Słuchajcie. Ja, Herkules Poirot, twierdzę

stanowczo, że ktoś, kto w ubiegły poniedziałek około szóstej po południu wszedł do apteki w

Styles i kupił strychninę, nie był Alfredem Inglethorpem. W tym czasie pan Inglethorp odprowadzał panią Raikes z sąsiedniej farmy do domu. Mogę przedstawić pięciu świadków, którzy zeznają pod przysięgą, że widzieli ich razem o szóstej albo krótko po szóstej. Jak państwu wiadomo, farma Raikesów leży co najmniej o dwie i pół mili od osady Styles. Kwestia alibi nie nastrocza wątpliwości.



VIII.

NOWE PODEJRZENIA

Przez chwilę panowała grobowa cisza. Wreszcie głos zabrał Japp, jak mi się wydało, najmniej z nas zaskoczony.

- Słowo daj ę! - zawołał. - Dobra robota. Chyba nie myli się pan, Poirot?

Świadkowie w porządku?

- Oto lista. Nazwiska i adresy. Naturalnie musi pan ich przesłuchać. Ale są w porządku, gwarantuję!

- Nie wątpię - inspektor zniżył głos - i gorąco panu dziękuję. Aresztowanie byłoby kardynalnym błędem. Proszę pana - zwrócił się do Inglethorpa - dlaczego nie chciał pan odpowiadać w czasie rozprawy?

- Dlaczego? - podchwycił Poirot. - Krążyły pewne plotki...

- Złośliwe, z palca wyssane plotki! - dodał żywo Inlethorp.

- Więc pan Inglethorp - ciągnął spokojnie mój przyjaciel - nie życzył sobie, by właśnie teraz wybuchnął skandal. Czy mam rację? - zwrócił się do wdowca.

- Najzupełniejszą - padła odpowiedź. - Cóż dziwnego, że pragnąłem uniknąć oszczerstwa. Przecież nie pogrzebano jeszcze zwłok biednej Emilii.

- Mówiąc między nami, proszę pana - wtrącił Japp - wolałbym nie wiem jakie plotki od aresztowania pod zarzutem morderstwa. Zaryzykuję twierdzenie, że pańska zmarła małżonka przyznałaby mi słuszność. Proszę mi wierzyć. Gdyby nie pan Poirot, zostałby pan aresztowany jak dwa a dwa cztery!

- Rozumiem, panie inspektorze - bąknął Inglethorp - postąpiłem bardzo niemądrze. Ale nie wyobraża pan sobie, jak perfidnie mnie szkalowano. - Z tymi słowami spojrzął wymownie w kierunku Eweliny Howard.

- Teraz, proszę pana - powiedział żywo Japp zwracając się do Johna - chcielibyśmy zobaczyć sypialny pokój nieboszczki, i następnie pogadać ze służbą. Proszę się nie trudzić. Pan Poirot pokaże nam drogę.

Kiedy wszyscy wyszli z salonu, mały Belg obejrzał się i dał mi ręką znak, abym towarzyszył mu na piętro. W pół drogi ujął mnie pod ramię i odprowadził na bok.

- Prędko - szepnął. - Idź do drugiego skrzydła. Stań przy drzwiach wahadłowych, po tej stronie. Czekaj, póki nie przyjdę.

Odwrócił się na pięcie, by pospieszyć za detektywami. Zastosowałem się do polecenia i na posterunku przy drzwiach wahadłowych medytowałem długo, co mój przyjaciel mógł mieć na myśli. Dlaczego wystawił wartę właśnie tutaj? Spoglądałem przed siebie, w głąb korytarza. Nagle uprzytomniłem sobie, że to lewe skrzydło mieści wszystkie sypialnie z wyjątkiem pokoi państwa Inglethorp i Cynthii Murdoch. A może w tym właśnie sęk? Może miałem obserwować, kto tu przyjdzie albo kto stąd

wyjdzie? Sumiennie trwałem na posterunku. Czas mijał. Nikt nie nadchodził. Nic się nie działo.

Wreszcie, po upływie co najmniej dwudziestu minut, nadciągnął Poirot.

- Nie ruszałeś się? - zapytał.

- Nie. Tkwiałem na miejscu jak skała. Nic się nie stało.

- Aha... - Nie mogłem zorientować się, czy mój przyjaciel jest kontent, czy zawiedziony. - Nic nie widziałeś?

- Nic.

- A może słyszałeś co, *mon ami*? Na przykład łoskot, hę?

- Nie, Poirot.

- Czy być może? Spisałem się jak skończony niedorajda. Ledwie ruszyłem lewą ręką... - dobrze znałem gestykulację mojego przyjaciela - i bęc! Wywrócił się nocny stolik!

Był tak po dziecinnemu przybity i zawstydzony, że jałem go pocieszać.

- Nie przejmuj się, stary. W salonie przeszedłeś samego siebie. To był triumf! Wszyscy osłupieli! Ale za romansiem Inglethorpa z tą Raikes musi kryć się coś więcej. Inaczej facet nie milczałby tak zawzięcie. Co myślisz teraz robić? Gdzie są ci panowie ze Scotland Yardu?

- Przesłuchują służbę. Pokazałem im wszystkie swoje zdobycze i muszę przyznać, zawiodłem się na Jappie. Brak mu metody.

- Oo! - zawołałem spojrzawszy w kierunku okna. - Idzie doktor Bauerstein. Chyba masz słuszość, stary. On i mnie się nie podoba.

- Spryciarz! - szepnął Poirot jak gdyby do siebie.

- Diabelny spryciarz! - przyznałem. - Nie lubię go. Prawdziwą przyjemność miałem we wtorek wieczorem. Trzymam zakład, że nie widziałeś nigdy czegoś podobnego. - Nie bez złośliwej uciechy opisałem przygodę londyńskiego specjalisty. - Wyobrażasz sobie? Istny strach na wróble! Od stóp do głów umazany błotem.

- Ty go widziałeś?

- Naturalnie. Wzbraniał się. Nie chciał wejść do salonu... To było zaraz po kolacji. Ale Inglethorp nalegał, więc...

- Co? - przerwał Poirot chwytając mnie za ramię. - Bauerstein był tutaj we wtorek wieczorem? Był i ty mi o tym nie powiedziałeś? Dlaczego, Hastings? Dlaczego?

Wydawało mi się, że mój przyjaciel oszalał.

- Ależ Poirot - odparłem. - Nie miałem pojęcia, że jego wizyta może cię zainteresować. Skąd mogłem wiedzieć, że przywiązujesz wagę...

- Wagę! - wybuchnął. - Właśnie! Pierwszorzędną wagę! Doktor Bauerstein był tutaj we wtorek wieczorem, niedługo przed morderstwem! Hastings! Czy ty nic nie rozumiesz? To zmienia wszystko! Absolutnie wszystko!

Nigdy nie widziałem małego Belga w stanie takiego wzburzenia. Odruchowo ustawiał symetrycznie dwa lichtarze. Raz po raz mamrotał do siebie:

- To zmienia wszystko... Absolutnie wszystko...

Nagle jak gdyby powziął stanowczą decyzję.

- *Allons!* - powiedział. - Trzeba działać szybko. Gdzie jest pan

Cavendish?

John był w palarni, więc mój przyjaciel pospieszył tam niezwłocznie.

- Proszę pana - zaczął z miejsca. - Mam pilną sprawę do załatwienia w Tadminster. Wpadłem na nowy ślad. Mogę skorzystać z pańskiego samochodu?

- Oczywiście. Zaraz?

- Jeżeli to możliwe.

John zadzwonił i polecił szoferowi zajechać. Nim upłynęło dziesięć minut, mknęliśmy szosą w kierunku Tadminster.

- Nie zechciałbyś teraz wytłumaczyć mi, o co właściwie chodzi? - odezwałem się skromnie.

- Niejedno, *mon ami*, sam potrafisz wywnioskować. Rozumiesz oczywiście, że po wyeliminowaniu pana Inglethorpa sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Stoimy wobec zupełnie świeżego problemu. Znamy osobę, która z pewnością nie kupiła strychniny. Rozprawiliśmy się z ukartowanymi poszlakami. Chcemy trafić na prawdziwe. Ustaliłem, że w poniedziałek wieczorem rolę pana Inglethorpa mógł odegrać każdy z domowników oprócz pani Cavendish, która o tej porze grała z tobą w tenisa. Jedziemy dalej. Pan Inglethorp powiedział, że filiżankę z kawą zostawił w hallu. Podczas rozprawy nikt nie zainteresował się tym szczególnie; obecnie jednak fakt nabrał całkiem odmiennej wymowy. Musimy stwierdzić, kto ostatecznie zaniósł kawę do pokoju pani Inglethorp, a także kto przechodził przez hali, kiedy filiżanka tam stała. Zgodnie z twoją relacją wolno nam wykluczyć zaledwie dwie osoby: panią Cavendish i pannę Cyntię.

- Tak! Naturalnie - przyznałem skwapliwie z uczuciem znacznej ulgi; Mary Cavendish nie powinna trafić na listę podejrzanych.

- Odkryłem karty wcześniej, niż miałem ochotę. Stwierdziłem alibi Alfreda Inglethorpa - ciągnął mały Belg. - Póki stwarzałem pozory, że właśnie jego tropię, prawdziwy zbrodniarz miał się mniej na baczności. Teraz będzie w dwójnasób ostrożny. Właśnie! W dwójnasób ostrożny...

Słuchaj, Hastings - spojrział na mnie bystro. - Ty nie podejrzewasz nikogo?

Stropiłem się nieco. Otwarcie mówiąc, od rana nawiedzał mnie parokrotnie fantastyczny, niedorzeczny pomysł. Odrzucałem go, lecz wracał uparcie.

- Trudno mówić o podejrzeniach - bąknąłem. - To takie głupstwo...

- Śmiało! - zachęcił mnie przyjaciel. - Nie bój się. Mów otwarcie. Nie lekceważmy instynktownych przeczuć.

- Niech będzie - ustąpiłem niechętnie. - Wiem, że to nonsens, ale odniosłem wrażenie, że panna Howard nie powiedziała wszystkiego, co mogła wiedzieć.

- Panna Howard?

- Tak. Będziesz się ze mnie śmiał...

- Ja? Dlaczego?

- Nie mogę przemóc wrażenia - podjąłem niepewnie - że pannę Howard skreśliliśmy automatycznie z listy podejrzanych tylko dlatego, że nie było jej na miejscu. Ostatecznie była o piętnaście mil stąd; pół godziny drogi

samochodem. Skąd wiemy, czy krytycznej nocy nie przyjechała do Styles?

- Wiemy, przyjacielu. Jednym z moich pierwszych posunięć był telefon do szpitala, w którym panna Howard pracuje.

- I co?

- Miała dyżur we wtorek po południu. Pod wieczór nadszedł niespodziewanie transport rannych, więc ochotniczo zgłosiła się na nocny dyżur. Jej propozycja została skwapliwie przyjęta. To rozstrzyga kwestię.

- Aha... - bąknąłem nieco zbity z tropu. - Widzisz, Poirot, moje podejrzenia zbudziła jej gwałtowna nienawiść do Alfreda Inglethorpa. Czuję, że panna Howard gotowa zrobić wszystko, byle mu zaszkodzić. Chodziło mi po głowie, że to ona zniszczyła testament. Mogła się omylić, wziąć najnowszy dokument za dawniejszy, ten na korzyść Inglethorpa. Tak go zawzięcie atakuje.

- Widzisz w tym coś nienaturalnego?

- Chyba tak... Panna Howard jest zbyt zawzięta. To zakrawa na manię prześladowczą.

- Nie, nie! - żywo zaprzeczył Poirot. - Jesteś na fałszywym tropie. Panna Howard nie zdradza żadnych cech degeneracji czy skłonności do zaburzeń umysłowych. To samo zdrowie. Idealny obraz zrównoważenia i angielskiego braku wyobraźni.

- A przecież jej nienawiść do Inglethorpa zakrawa na psychozę. Miałem pomysł... zapewne idiotyczny pomysł, że ona chciała otruć Inglethorpa, a przez pomyłkę ofiarą padła pani Inglethorp. Ale nie mam pojęcia, jak

mogłoby dojść do czegoś takiego... Nie! To bzdura!

- Pod jednym względem masz rację. W takich przypadkach wszyscy są z reguły podejrzani, póki nie uda się oczyścić kogoś w sposób logiczny i zadowalający. Otóż, co wyklucza prawdopodobieństwo, by panna Howard chciała rozmyślnie otruć panią Inglethorp?

- Była do niej bardzo przywiązana - powiedziałem.

- Zawracanie głowy! - obruszył się mój przyjaciel. - Rozumujesz jak dziecko. Gdyby panna Howard potrafiła zamordować starą, równie dobrze potrafiłaby udawać przywiązanie. Trzeba podejść do zagadnienia od innej strony. Masz rację. Nienawiść tej kobiety do Alfreda Inglethorpa jest za

gwałtowna, by wyglądała naturalnie, ale wysnuwasz błędne wnioski. Moje są inne, jak mi się zdaje trafne. Na razie jednak wolę o nich nie mówić -

urwał, by podjąć zaraz: - Jedno wskazuje, że panna Howard nie jest sprawczynią zbrodni.

- Co mianowicie?

- Fakt, że śmierć pani Inglethorp w żaden żywy sposób nie mogła przynieść jej korzyści. Nie wierzę w morderstwo bez motywu.

- Czy pani Inglethorp nie mogła sporządzić testamentu na jej korzyść? - zasugerowałem po chwili zastanowienia.

Poirot zaprzeczył ruchem głowy.

- Przecież sam mówiłeś w swoim czasie, że tak być mogło - zaproponowałem.

- Celowo, mój drogi - uśmiechnął się Poirot. - Nie chciałem wymienić osoby, którą istotnie miałem na myśli. Panna Howard zajmowała zbliżoną

pozycję, więc posłużyłem się jej nazwiskiem.

- Ostatecznie jednak pani Inglethorp mogła tak postąpić. Jej testament podpisany krótko przed śmiercią...

- Nie, mój przyjacielu - uciał krótko Poirot. - W kwestii testamentu mam pewne pomysły. Mogę ci powiedzieć tylko tyle: panna Howard nie była spadkobierczynią.

Przyjąłem to za dobrą monetę, jakkolwiek nie miałem pojęcia, dlaczego Poirot jest tak pewien swego.

- W takim razie - westchnąłem - skreślimy pannę Howard z listy podejrzanych. Trochę z twojej winy wziąłem ją pod uwagę. Zaniepokoiło mnie to, co powiedziałeś o jej zeznaniach w czasie rozprawy.

Mój przyjaciel zrobił zdziwioną minę.

- Co powiedziałem o jej zeznaniach w czasie rozprawy?

- Nie pamiętasz? Jak mówiłem, że ona i John Cavendish znajdują się poza podejrzeniami.

- Aa... O to chodzi!

Miałem wrażenie, że Poirot zmieszał się trochę, szybko jednak odzyskał równowagę.

- Słuchaj, Hastings - podjął. - Wolno cię prosić o pewną przysługę?

- Oczywiście. Co mam zrobić?

- Kiedy znajdziesz się sam na sam z Lawrence'em Cavendishem, powiedz mu tak: „Mam dla ciebie kilka słów od Poirota. Prosił, żeby ci powtórzyć: »Możesz spać spokojnie, jeżeli znajdziesz brakującą filiżankę po kawie«”. Tylko tyle. Ani słowa mniej lub więcej.

- „Możesz spać spokojnie, jeżeli znajdziesz brakującą filiżankę po kawie”. Dobrze zapamiętałem?

- Idealnie.

- A co to znaczy?

- Zgadnij. Znasz fakty. Powiedz mu to, a sam zobaczysz, jak zareaguje.

- Dobrze... Całkiem zagadkowa historia.

W Tadminster Poirot kazał stanąć przed „pracownią analityczną”. Szybko wyskoczył z samochodu i zniknął w drzwiach domu. Po kilku minutach wrócił.

- No, sprawa załatwiona - oznajmił.

- Co tam robiłeś? - zapytałem ciekawie.

- Dałem coś do analizy.

- Co?

- Próbkę kakao, pobraną z rondelka w sypialnym pokoju pani Inglethorp.

- Jak to? Kakao badał już doktor Bauerstein. Sam śmiałeś się w kułak z pomysłu, że tam mogła być strychnina.

- Wiem, że doktor Bauerstein badał już kakao - odparł spokojnie mały Belg.

- No więc?

- Przyszło mi na myśl, że warto zrobić drugą analizę. To wszystko.

Nie zdołałem wydobyć zeń słowa więcej.

Cała historia bardzo mnie dziwiła. Nie widziałem w niej ładu ani składu.

Jednakże wierę w Poirota, zachwianą na czas pewien, odzyskałem w pełni,

gdy jego przekonanie o niewinności Inglethorpa znalazło triumfalne potwierdzenie.

Pogrzeb odbył się następnego dnia, a w poniedziałek, kiedy zszedłem na

śniadanie, John Cavendish odprowadził mnie na bok i powiedział, że Alfred Inglethorp zaraz się

wyprowadza. Postanowił wynająć pokój w gospodzie „Pod Herbem Styles” i zostać tam do czasu uregulowania swoich spraw.

- Jak Boga kocham, Hastings - ciągnął mój gospodarz - nie mogę się doczekać, kiedy nie będzie już w domu tego faceta. Przykro było dawniej, kiedy myśleliśmy wszyscy, że on to zrobił. Ale teraz jest jeszcze gorzej, bo wyrzucamy sobie, że tak boczyliśmy się na niego. Szczerze mówiąc, potraktowaliśmy go obrzydliwie. Chociaż pozory bardzo go obciążały. Trudno nas winić, że wyciągnęliśmy logiczne wnioski. Myliliśmy się i

teraz należałoby dać mu jakąś satysfakcję. Ale to diablo ciężka sprawa. Nie nabraliśmy do niego sympatii. Cholernie niezręczna sytuacja! Rozumiesz?

Wdzięczny mu jestem za taktowną wyprowadzkę. Dobrze, że matka nie mogła zapisać temu łajdaczyńce Styles Court. Mdło mi się robi na myśl, że panoszyłby się w naszym domu. Pieniądze matki niech sobie bierze.

- A ciebie stać na utrzymanie posiadłości? - zapytałem.

- Naturalnie. Trzeba będzie zapłacić podatek spadkowy, rzecz oczywista.

Ale połowa pieniędzy po ojcu przypadnie mi razem ze Styles Court. No i Lawrence zostanie chwilowo u nas, więc jego udział także wchodzi w grę. Z początku będzie ciężko, bo jak ci mówiłem, jestem w tarapatach finansowych. No, ale teraz wierzyciele zaczekają. Przestaną dusić. niadanie, miłsze niż kiedykolwiek po tragicznej nocy, upłynęło w radosnym ożywieniu z racji rychłego odjazdu Inglethorpa. Cyntia kipiała znów młodością. Wyglądała ładnie i zdrowo. Miałem wrażenie, że reszta towarzystwa odzyskała dyskretny humor i pogodniej spoglądała w nową, obiecującą przyszłość. Tylko Lawrence był niezwykle zaszępiiony i nerwowy.

Naturalnie gazety zajęły się zagadkową tragedią: efektowne nagłówki, spreparowane biografie rodziny i domowników, zwykle w takich przypadkach zapowiedzi, że „policja jest na tropie” i tak dalej. Niczego nam nie oszczędzono. Morderstwo zyskało rangę sensacji. Działania wojenne wlokły się chwilowo ospale, więc prasa pochwyciła łakomie zbrodnię w wyższych sferach towarzyskich. „Tajemnicza historia w Styles” stała się tematem dnia.

Rodzina Cavendishów odczuwała to boleśnie. Reporterzy oblegali dom.

Wzbraniano im wstępu, lecz myszkowali po osadzie Styles i terenach przylegających do parku, gdzie czyhali z aparatami fotograficznymi na mniej ostrożnych domowników. Wszyscy znajdowaliśmy się w pewnym sensie „na świeczniku”. Detektywi ze Scotland Yardu przychodzili i odchodzili. Zadawali niezliczone pytania. Obserwowali wszystko sokolim okiem i trzymali język za zębami. Nikt z nas nie wiedział, ku czemu zmierzają. Czy są na jakimś tropie, czy też morderstwo przejdzie do kategorii zbrodni nie wykrytych.

Po śniadaniu Dorcas przysunęła się do mnie i zapytała z tajemniczą

miną, czy mógłbym zamienić z nią kilka słów.

- Naturalnie. O co chodzi, Dorcas?

- Jest taka sprawa, proszę pana... Może pan będzie widział się dziś z tym panem Belgiem?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Pamięta pan, jak się dopytywał, czy nasza pani albo jakaś inna osoba nie ma czegoś zielonego z ubrania.

- Pamiętam. Oczywiście! Znalazła Dorcas coś takiego? - zainteresowałem się żywo.

- Nie, proszę pana. Ale przypomniałam sobie o takim kufrze, który panicze (dla Dorcas John i Lawrence pozostali paniczami) nazywali „przebieralnią”. Stoi na poddaszu od frontu. Ogromny kufer pełen starych łąchów, różnych kostiumów, Bóg wie czego. Przyszło mi na myśl, że tam

może być coś z zielonego materiału. Jeżeli więc powie pan temu panu Belgowi...

- Powiem, Dorcas - obiecałem.

- Bardzo dziękuję. To przyjemny pan, proszę pana. Całkiem inny od detektywów z Londynu, co tu węższą tylko wszędzie i dokuczają ludziom pytaniami. Ja tam nie jestem za cudzoziemcami, ale z tego, co piszą gazety, widać, że Belgowie to nie są zwyczajni cudzoziemcy, a ten pan Belg

wyraża się zawsze bardzo grzecznie.

Kochana, stara Dorcas! Wydała mi się doskonałym wzorem staroświeckiej, oddanej służącej - gatunku ginącego szybko i bezpowrotnie.

Postanowiłem iść zaraz do osady, by złożyć wizytę przyjacielowi. Jednakże spotkaliśmy się w pół drogi, więc powtórzyłem mu słowa starej

służącej.

- Dzielna Dorcas! - zawołał. - Zajrzyjmy do tej skrzyni, chociaż... Mniejsza o to. I tak trzeba skrzynię zobaczyć.

Do domu weszliśmy przez oszklone drzwi tarasowe. W hallu nie było nikogo, więc bez przeszkód pośpieszyliśmy na poddasze.

Był tam istotnie kufer - piękny, staroświecki okaz, nabijany mosiężnymi ćwiekami - wypełniony po brzegi najrozmaitszymi łąchami. Bez ceremonii Poirot wyrzucił wszystko na podłogę i począł szperać w stosie. Znalazł

parę ubiorów z zielonych tkanin różnych odcieni, lecz krzywił się nad nimi i kręcił głową. Nie zdradzał żywszego zainteresowania, jak gdyby nie liczył na pomyślny wynik poszukiwań. Nagle wydał stłumiony okrzyk.

- Co się stało? - zapytałem.

- Spójrz!

Na dnie próżnego niemal już kufra spoczywała imponująca czarna broda.

- No, no... - Poirot obracał zdobycz w rękach, przyglądał się jej bacznie. - Nowa. Zupełnie nowa.

Po chwili namysłu odłożył brodę na dawne miejsce, wrzucił do kufra resztę zawartości i szybko zbiegł na parter. Razem poszliśmy do pokoju kredensowego, gdzie Dorcas pracowicie czyściła srebra stołowe.

Mój przyjaciel powitał ją z istic galicką uprzejmością i zaraz przystąpił do rzeczy.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Przetrzęsaliśmy skrzynię, Dorcas. Dziękuję. Bardzo jestem pani

wdzięczny za cenną informację. Piękna kolekcja strojów na bal kostiumowy. Często używa się tych rzeczy?

- Teraz nieczęsto, proszę pana. Chociaż czasami miewamy taki „wieczór kostiumowy”, jak wyrażają się panicze. Bardzo to śmiesznie wygląda! Zwłaszcza z panicza Lawrence’a straszny komik. Nigdy nie zapomnę wieczoru, kiedy zszedł na dół jako... powiedział, zdaje się, „car perski”... To taki jakby wschodni król, proszę pana. W rękę trzymał wielki nóż z papieru. Powiedział do mnie: „Uważaj, Dorcas. Musisz być dla mnie bardzo grzeczna. To mój ulubiony, specjalnie naostrzony jatagan. Jedno machnięcie i ciach! Głowa leci z karku”. A panna Cytia przebrała się wtedy za francuskiego rzeźmieszka. Mówiła chyba, że taki nazywa się apasz. Było na co popatrzeć! Trudno uwierzyć, że ładna, dobrze wychowana panienka potrafi zrobić z siebie takiego zbója. Nikt by jej nigdy nie poznał.

- Zabawa musiała być pierwsza klasa - podchwycił Poirot. - Pan Lawrence miał pewno długą czarną brodę, kiedy wystąpił w roli szacha perskiego.

- A miał brodę, proszę pana, miał. Nawet pożyczył ode mnie dwa pasma czarnej wełny, żeby ją zmajstrować. Z daleka wyglądała całkiem jak prawdziwa. Ale nie wiedziałam, że w tamtej skrzyni jest sztuczna broda. Widać ktoś ją niedawno włożył. Zawsze była tam ruda peruka. To wiem. Ale nic więcej z włosów. Państwo używali przeważnie palonego korka,

choć okropnie trudno zmyć takie coś później. Panna Cytia przebrała się raz za Murzynkę, no i narobiła sobie kłopotu!

- Aha. Dorcas nie wiedziała o czarnej brodzie - powiedział tonem zastanowienia Poirot, gdy wróciliśmy do hallu.

- Myślisz, że to ta broda? - szepnąłem z przejęciem.

- Tak! Czy zwróciłeś uwagę, że jest przystrzyżona?

- Nie.

- Szkoda. Ma kształt identyczny jak broda Alfreda Inglethorpa. Znalazłem także kilka odciętych luźnych włosów. To poważne odkrycie, Hastings.

- Ciekawe, kto ją schował w tamtym kufrze.

- Ktoś obdarzony bystrą inteligencją - odparł cierpko Poirot. - Wybrał jedyne w domu miejsce, w którym sztuczna broda nikogo nie zdziwi. Tak! To ktoś z głową na karku. Cóż, musimy być tak sprytni, żeby ten ktoś wcale nas o spryt nie podejrzewał.

Bez wahania przyznałem rację małemu Belgowi.

- A ty, *mon ami*, będziesz wielką pomocą dla mnie.

Ucieszył mnie ten komplement, bo obawiałem się chwilami, że Poirot mnie nie docenia.

- Tak, tak - ciągnął. - Będziesz niezastąpiony.

Mocno mi to pochwiliło, ale następne zdanie przyniosło zawód.

- Muszę mieć w tym domu sojusznika.

- Masz mnie! - podchwyciłem żywo.

- Tak. Ale ty sam nie wystarczysz.

Poczułem się dotknięty i dałem temu wyraz, więc mały Belg pospieszył z wyjaśnieniami.

- Niewłaściwie mnie zrozumiałeś. Wszyscy wiedzą, że pracujesz ze mną.

Szukam kogoś w żaden sposób nie związanego z nami. Rozumiesz?

- Aa... Rozumiem. Co powiedziałbyś na Johna?

- Nie sędzę...

- Masz rację. Facet nie grzeszy bystrością.

- Spójrz! - zawołał nagle Poirot. - Idzie panna Howard. To osoba w sam raz dla nas. Ale mam u niej czarną kreskę od czasu, kiedy oczyściłem Inglethorpa. Ha! Spróbujemy mimo wszystko.

Ledwie skinieniem głowy panna Howard odpowiedziała mojemu przyjacielowi na prośbę o chwilę rozmowy.

Poszliśmy wszyscy do małego saloniku. Poirot starannie zamknął drzwi.

- Słucham, panie Poirot? - rzuciła niecierpliwie Ewelina. - O co chodzi!? Prędko. Jestem zajęta.

- Przypomina sobie pani, *mademoiselle*, że już raz prosiłem panią o pomoc.

- Tak. Przypominam sobie. Odpowiedziałam, że z przyjemnością

pomogę zaprowadzić na szubienicę Alfreda Inglethorpa.

- Aha... - Poirot spojrział bystro na energiczną damę. - Postawię jedno pytanie. Tylko proszę odpowiedzieć mi prawdę.

- Ja nigdy nie łżę - obruszyła się panna Howard.

- Czy pani nadal wierzy, że panią Inglethorp otrul jej mążonek?

- A jak się panu zdaje? Pańskie naciągane argumenty nie wpłynęły na mnie w najmniejszym stopniu. Co z tego, że nie on kupił strychninę? Mógł

posłużyć się trutką na muchy, jak mówiłam na początku.

- To byłby arszenik, nie strychnina - zaproponował łagodnie mój przyjaciel.

- Co za różnica? Arszenik załatwiłby biedną Emilię nie gorzej niż strychnina. Jeżeli jestem pewna, że on to zrobił, to nie dbam, w jaki sposób.

- Właśnie. Jeżeli jest pani pewna, że on to zrobił - podjął spokojnie Poirot - inaczej sformułuję pytanie. Czy w głębi serca wierzyła pani kiedykolwiek, że panią Inglethorp otrul jej mążonek?

- Dobrze sobie! - wybuchnęła. - Przecież od początku mówię, że to szubrawiec. Ile razy powtarzałam, że zamorduje ją, jak będzie spała? Nienawidziłam go zawsze jak zarazy.

- Właśnie. To by pasowało do mojego drobnego pomysłu.

- Jakiego znów pomysłu?

- Proszę pani, czy pamięta pani rozmowę, która miała miejsce w dniu przyjazdu mojego przyjaciela? Powtórzył mi ją Hastings. Jedno pani zdanie wywarło na mnie silne wrażenie. Twierdziła pani wtedy, że gdyby zamordowano kogoś, kogo pani kocha, odkryłaby pani zbrodniarza instynktownie, chociaż nie istniałyby żadne dowody.

- Tak. Pamiętam. I nie zmieniłam zdania. Pan pewno myśli, że to nonsens?

- Nic podobnego.

- Ale nie zwraca pan uwagi na mój instynkt, który wskazuje Alfreda Inglethorpa.

- Nie zwracam uwagi, bo pani instynkt nie wskazuje Alfreda Inglethorpa.

- Co takiego?

- Wiem, co mówię. Pani chce wierzyć, że to on popełnił zbrodnię. Sądzi pani, że jest do zbrodni zdolny. Ale instynktownie wyczuwa pani, że to nie on. I jeszcze jedno... Czy mam mówić dalej?

Panna Howard wpatrywała się w małego Belga jak urzeczona. Na jego pytanie odpowiedziała lekkim skinieniem głowy.

- Czy mam powiedzieć, skąd wzięła się pani nienawiść do Alfreda Inglethorpa? Stąd, że stara się pani uwierzyć w to, w co pragnęłaby pani wierzyć. Stąd, że daremnie próbuje pani zagłuszyć instynkt podszeptujący inne nazwisko...

- Nie! Nie! - krzyknęła Ewelina zasłaniając twarz dłońmi. - Proszę nie opowiadać takich rzeczy. Nieprawda! Nieprawda! Nie wiem, dlaczego przychodzi mi na myśl ta okropność!

- A więc mam rację?

- Tak... Ach, tak. Jak pan odgadł? To chyba czary, jasnowidzenie? Ale to niemożliwe! Zbyt straszne, potworne. Mordercą musi być Alfred Inglethorp. Musi!

Poirot poważnie kiwał głową.

- Proszę nie pytać więcej - ciągnęła panna Howard. - Nic nie powiem. Nie przyznam się! Nawet przed samą sobą. Chyba oszalałam, żeby coś podobnego pomyśleć.

Mój przyjaciel sprawiał wrażenie zadowolonego.

- O nic więcej nie zapytam - powiedział. - Przekonałem się, że jest istotnie tak, jak sądziłem. To na razie wystarczy. Ale... Widzi pani, ja też miewam Instynkty. Pracujemy zgodnie, zmierzamy do wspólnego celu.

- Niech pan nie prosi mnie o pomoc. Palcem nie ruszę, aby... aby... - zająknęła się bezradnie.

- Będzie mi pani pomocna, nawet wbrew woli. O nic nie proszę. I tak widzę w pani sojuszniczkę. Nic pani nie poradzi. Liczę tylko na jedno.

- Na co?

- Że pani będzie czuwać.

Kobieta pochyliła głowę.

- Tak. Nic nie poradzę. Wciąż czuwam, patrzę. Szukam dowodu, że się mylę.

- Jeżeli mylimy się istotnie, tym lepiej - podchwycił Poirot. - Nikt nie ucieszy się bardziej ode mnie. Jeżeli jednak mamy rację? Jeżeli mamy rację, po czyjej stronie pani stanie?

- Nie wiem... Nie wiem!

- Śmiało!

- Sprawę można by zatuszować.

- Można by, lecz nie wolno.

- Ale sama Emilia... - panna Howard nie dokończyła zdania.

- Proszę pani - podjął z powagą mój przyjaciel. - To stanowisko

niegodne pani.

Panna Howard opuściła rękę.

- Tak - powiedziała zupełnie spokojnym tonem. - Nie rozmawiał pan z Ewelina Howard - dumnie podniosła głowę. - Oto prawdziwa Ewelina Howard! Ta opowie się po stronie sprawiedliwości w każdym przypadku i bez względu na cenę! - Z tymi słowami wyszła z pokoju stanowczym krokiem.

- Nieoceniony sprzymierzeniec - powiedział mój przyjaciel spoglądając za nią. - Panna Howard, Hastings, posiada mózg i serce.

Milczałem.

- Instykt - podjął Poirot jak gdyby do siebie - to cudowne zjawisko. Nie można go wytłumaczyć i niepodobna lekceważyć.

- Obydwoje z panną Howard rozumiecie, jak mi się zdaje, o czym była mowa - rzuciłem cierpko. - Może nie zdajesz sobie sprawy, że ja nadal błędzę w kompletnym mroku.

- Czyżby, *mon ami*?

- Tak. Oświeć mnie, jeśli łaska.

Przez chwilę Poirot przyglądał mi się bacznie. Później, ku mojemu zdumieniu, energicznie pokręcił głową.

- Nie, *mon ami*!

- Dlaczego?

- Dwoje wystarczy, by utrzymać tajemnicę.

- Ale jak możesz taić wobec mnie fakty? To nielojalne.

- Faktów nie taję. Masz przystęp do wszystkich, którymi dysponuję. Wolno ci samodzielnie wysnuwać wnioski. Tym razem w grę wchodzi raczej koncepcje. Nawiasem mówiąc równie interesujące dla mnie jak fakty. - Poirot zmierzył mnie znów wzrokiem. Jeszcze raz pokręcił głową. - Widzisz, mój drogi - odparł z nutą smutku - ty nie masz instynktu.

- Zwykle mówiłeś o inteligencji - zaproponowałem.

- Często występuje razem - padła niejasna odpowiedź. Zlekceważyłem

słowa przyjaciela, gdyż wydały mi się całkowicie niepojęte. Ale w duchu postanowiłem, że

jeżeli dokonam jakichś ważnych odkryć (na co poważnie liczyłem), zachowam je dla siebie i dopiero na finiszu olśnie zarozumialca wnioskami.

Bywają chwile, kiedy człowiek musi umacniać wiarę we własne siły.



IX.

DOKTOR BAUERSTEIN

Dotychczas nie miałem okazji powtórzyć Lawrence'owi słów mojego przyjaciela. Ale kiedy zły i pełen urazy wyszedłem z domu, zobaczyłem właśnie młodszego Cavendisha. Na placu krokietowym postukiwał bez celu w dwie bardzo stare kule jeszcze starszym młotkiem.

Nadarzyła się świetna sposobność. Nie chciałem zwlekać, by Poirot mnie nie uprzedził. Co prawda, nie rozumiałem sensu zagadkowego zdania, liczyłem jednak, że odpowiedź Lawrence'a naprowadzi mnie na jakiś ślad. Podeszedłem do niego żywo.

- Szukałem cię właśnie - rozpocząłem niezgodnie z prawdą.

- Czyżby?

- Aha. Chodzi o to, że mam dla ciebie wiadomość od Poirota.

- Od Poirota?

- Tak. Prosił, żeby ci to powiedzieć, jak będziemy sam na sam -

zniżyłem głos w sposób znaczący i bystro spojrzałem Lawrence'owi w oczy; podobno zawsze miałem pewne zdolności w kierunku, jak to się mówi, stwarzania atmosfery.

- No i co? - zapytał, jego śniada twarz absolutnie nie zmieniła wyrazu; czy nie domyślał się, o co może chodzić?

- Poirot prosił, żeby ci powiedzieć - podjąłem niemal szeptem - że możesz spać spokojnie, jeżeli znajdziesz brakującą filiżankę po kawie.

- Cóż to, u diabła, znaczy? - spojrzał na mnie z nie udawanym zdumieniem.

- Nie rozumiesz?

- Ani trochę. A ty?

Bezradnie rozłożyłem ręce.

- O jaką filiżankę chodzi?

- Nie mam pojęcia.

- O filiżankach może coś wiedzieć Dorcas lub któraś z dziewczyn. To

ich sprawa, nie moja. O filiżankach do kawy wiem tylko tyle, że mamy jeden nigdy nie używany komplet. Istne чудо! Stary Worcester. Ty nie znasz się na porcelanie, prawda, Hastings?

- Nie znam się - przyznałem.

- Wiele tracisz. To rozkosz wziąć do ręki piękną starą sztukę lub bodaj na nią spojrzeć.

- Co odpowiedzieć mojemu przyjacielowi?

- Że nie rozumiem, czego chce.

- Dobrze.

Zawróciłem w kierunku domu, ale Lawrence krzyknął za mną:

- Co to była za wiadomość, Hastings? Mógłbyś powtórzyć?!

- Możesz spać spokojnie, jeżeli znajdziesz brakującą filiżankę po kawie.

Naprawdę nie rozumiesz?

- Nie... - odpowiedział z wahaniem. - Zupełnie nie rozumiem, ale... Ale to wielka szkoda.

W domu odezwał się gong, razem weszliśmy do hallu. Poirot - zaproszony na lunch przez Johna - siedział już godnie za stołem. Na mocy milczącego porozumienia tragedia stała się tematem tabu. Rozmawialiśmy o wojnie i o różnych innych sprawach. Kiedy jednak Dorcas podała sery i herbatniki i wyszła z jadalni, Poirot zwrócił się do pani Cavendish:

- Stokrotnie przepraszam, *madame*, że wracam do bolesnych wspomnień, ale mam drobny pomysł („drobne pomysły” małego Belga stały się przysłowiowe). Pragnąłbym zadać parę pytań.

- Mnie? Bardzo proszę.

- Nad wyraz pani uprzejma, *madame*. Twierdzi pani, że drzwi prowadzące z pokoju panny Cyntii do sypialni pani Inglethorp były zaryglowane. Czy to się zgadza?

- Oczywiście! - zdziwiła się Mary. - Mówiłam przecież podczas rozprawy.

- Były zaryglowane?

- Tak.

- Innymi słowy - podjął Poirot - jest pani pewna, że drzwi były zaryglowane, nie zamknięte na klucz?

- Aha. Rozumiem, o co panu chodzi. Powiedziałam, że były zaryglowane, mając na myśli, że nie mogłam ich otworzyć. Później stwierdziliśmy, że wszystkie drzwi wiodące do pokoju pani Inglethorp były zaryglowane od środka.

- Ale jak pani uważa - te drzwi mogły być równie dobrze zamknięte na klucz?

- Tak.

- Po wejściu do sypialni nie zwróciła pani uwagi, czy drzwi do pokoju panny Cyntii były zaryglowane?

- Chyba... zdaje mi się, że tak.

- Ale nie widziała pani?

- Nie... Chyba nie widziałam.

- Ja widziałem - wtrącił nagle Lawrence. - Przypadkiem spojrzałem w tamtą stronę. Drzwi były

zaryglowane.

- To rozstrzyga wątpliwości - powiedział Poirot żalnym tonem.

Nie mogłem pohamować złośliwej uciechy na myśl, że chociaż jeden jego „drobny pomysł” okazał się pudłem.

Po lunchu Poirot poprosił, abym towarzyszył mu w drodze do osady. Przystałem, lecz nader sztywno.

- Urażony jesteś, prawda? - zagadnął mnie w drodze przez park.

- Bynajmniej - odparłem lodowato.

- To dobrze. Uwolniłeś mnie od wielkiego zmartwienia.

Spodziewałem się odmiennej reakcji. Sądziłem, że mały Belg zwróci uwagę na chłód mojego zachowania. Ale życzliwa nuta jego słów łagodziła moje urazy. Lody topniały.

- Powtórzyłem Lawrence'owi twoje słowa.

- I co on na to? Zbaraniał, prawda?

- Tak. Nie miał pojęcia, o co ci może chodzić. To pewne.

Liczyłem na to, że Poirot będzie zawiedziony, więc bardzo się zdziwiłem, gdy powiedział, że oczekiwał czegoś podobnego i gorąco mi dziękuje. Ambicja powstrzymała mnie od dalszych pytań.

- Panny Cyntii nie było na lunchu - zmienił temat mój przyjaciel. - Dlaczego?

- Dziś wróciła do pracy. Jest teraz w szpitalu - odpowiedziałem.

- To sympatyczna, dzielna młoda osóbką. No i bardzo ładna. Przypomina mi obrazy, które widywałem we Włoszech. Chętnie obejrzałbym jej aptekę. Jak myślisz? Zechce mi ją pokazać?

- Będzie zachwycona.

- Co dzień tam jeździ?

- Środy ma wolne, a w soboty wraca na lunch.

- Aha. Postaram się zapamiętać. Kobiety ciężko teraz pracują, a nasza miła Cyntia... Ta ma dobrze w głowie!

- Tak. O ile mi wiadomo, musiała zdać trudny egzamin.

- Ma się rozumieć. Przecież to bardzo odpowiedzialna praca. W aptece jest dużo groźnych, gwałtownie działających trucizn.

- Tak. Nawet nam je pokazywała. Trucizny przechowuje w małej, zamkniętej szafce. Bardzo na nie uważa. Wychodząc z pokoju zabiera zawsze klucz.

- Zrozumiałe. Ta szafka znajduje się blisko okna?

- Nie. Pod przeciwległą ścianą. Dlaczego o to pytasz?

Poirot wzruszył ramionami.

- Tak sobie. Coś mi przyszło do głowy. Wstąpisz do mnie?

Staliśmy już przed domkiem zamieszkanym przez uchodźców.

- Dziękuj ę. Chyba czas na mnie. Chciałbym wrócić okrężną drogą przez las.

Lasy okalające Styles są urocze. Po spacerze przez skąpane w

słonecznym żarze parkowe trawniki rozkosznie było błąkać się bez celu cienistymi przesiekami.

W bezwietrznym powietrzu świergot ptactwa jak gdyby przycichł, zmartwiał. Miąłem sporą polanę i ostatecznie ułożyłem się na murawie pod wspnianym starym bukiem. Żywiłem dobre, łagodne uczucia wobec całej ludzkości. Nawet Poirotowi wybaczyłem niedorzeczną

tajemniczość. Nie miałem pretensji do świata. Zacząłem ziewać.

Następnie pomyślałem o morderstwie. Wydało mi się odległe, nierealne.

Znowu ziewnąłem.

A może tej zbrodni wcale nie popełniono? Naturalnie! To był koszmarny sen! W rzeczywistości

Lawrence zabił młotkiem krokietowym Alfreda Inglethorpa. Ale dlaczego John tak się tym przejął? Dlaczego wrzeszczy: „Powtarzam! Nie życzę sobie tego!”

Ocknąłem się raptownie i od razu stwierdziłem, że jestem w wyjątkowo

niezręcznej sytuacji. O dziesięć kroków ode mnie stali naprzeciw siebie John i Mary i najwyraźniej się sprzeczali. Nie zdawali sobie sprawy z mojej obecności, bo John rzucił ponownie zdanie, które wyrwało mnie ze

snu.

- Powtarzam, Mary! Nie życzę sobie tego!

- Jakie ty masz prawo ganić moje postępowanie? - dobiegł mnie oziębły, spokojny głos Mary.

- Narażasz się na plotki. Matkę pochowano w sobotę, a ty odbywasz już spacer z tym facetem.

- Aa... Chodzi ci tylko o plotki miejscowych kumoszek!

- Nie! Mam dosyć tego gościa. Po co ci jakiś cudzoziemiec?

- Kropla cudzoziemskiej krwi nieźle robi. Zapobiega angielskiej tępocie.

Spojrzałem na Mary. Płomień w jej oczach przeczył lodowatemu głosowi. Wcale się nie zdziwiłem, że twarz Johna spurpurowiała.

- Mary!

- Co? - zapytała nie zmieniając tonu.

- Czy mam rozumieć, że chcesz widywać się z Bauersteinem wbrew moim wyraźnym życzeniom?

- Jeżeli zechc

- Ż

ę, tak.

yczysz sobie wojny?

- Nie. Ale uważam, że ty nie masz prawa dobierać mi przyjaciół. Czy sam nie utrzymujesz kontaktów, które mnie mogłyby się nie podobać?

John cofnął się o krok. Poblądł wyraźnie.

- O czym ty mówisz? - bąknął niepewnie.

- A widzisz! - podjęła spokojnie pani Cavendish. - Teraz zrozumiałeś, że nie przysługuje ci wobec mnie prawo krytyki.

John spojrzał błagalnie na żonę. Na jego twarzy odmalował się smutek.

- Prawo... Czy mnie nie przysługuje prawo?... - wyciągnął do niej rękę. - Mary!

Przez moment miałem wrażenie, że pani Cavendish łagodnieje. Później odwróciła się szybko.

- Żadne prawo!

Postąpiła kilka kroków, lecz John dogonił ją, chwycił za rękę.

- Mary! Ty kochasz tego... tego Bauersteina?

Zawahała się znowu. Jej twarz przybrała wyraz stary jak świat, a przecież zawsze nowy. Był to uśmiech egipskiego sfinksa.

Cofnęła się i odchodząc szybko rzuciła przez ramię:

- Być może.

John został na polanie jak skamieniały.

Ostentacyjnie porzuciłem kryjówkę, deptając po drodze suche gałązki. John odwrócił się żywo, ale na szczęście przyjął widocznie, że dopiero co nadszedłem.

- O, Hastings! - ucieszył się. - Odprowadziłeś tego cudaka do domu? Pocieszny facet! Czy rzeczywiście taki cwaniak?

- W swoim czasie uchodził za jednego z najlepszych detektywów.

- Ha! Coś w tym musi być. Parszywy ten świat, co?

- Tak sądzisz?

- Pewnie! Choćby ta cała piekielna historia. Po domu wałęsają się faceci ze Scotland Yardu. Nie wiadomo nigdy, skąd nagle wyskoczą. Sążniste

nagłówki w prasie całego kraju, niech licho porwie przeklętych pismaków! Dziś rano cała banda stała przed bramą. Gapili się, nicponie, cholera wie na

co, jak w bezpłatnym gabinecie figur woskowych. Ładna historia!

- Uszy do góry, John! - spróbowałem dodać mu ducha. - Wszystko się kiedyś kończy.

- Ale może trwać wystarczająco długo, żeby nas wykończyć: na zawsze.

- Gadanie! Zanadto się przejmujesz.

- Jak tu się nie przejmować? Na każdym kroku gapią się na nas ci przekłęci idioci z rozdziawionymi gębami. Ale nie to najgorsze!

- A co?

John zniżył głos.

- Nie rozumiesz, Hastings? Wciąż prześladowuje mnie jak koszmar pytanie: Kto zabił? Czasami prawie wierzę, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Bo widzisz... Widzisz, Hastings... Kto mógł zabić? Inglethorp nie wchodzi w rachubę. Więc kto? Nikt mi do głowy nie przychodzi... To znaczy nikt prócz kogoś z nas.

Istotnie. To był koszmar. Zabił ktoś z nas. Nie ma innego rozwiązania, chyba że...

Nagle pojaśniało mi w głowie! Zagadkowe poczynania Poirota, jego tajemnicze miny, aluzje. Robiło się coraz widniej. Oczywiście! Wszystko do siebie pasuje! Czemu nie wpadłem wcześniej na taki pomysł? Ach, głupiec, głupiec ze mnie. Co za ulga dla wszystkich!

- Nie, John - powiedziałem. - Nikt z nas nie jest mordercą. To wykluczone.

- Wykluczone! - powtórzył. - Wiem. Ale kto w takim razie?

- Nie domyślasz się?

- Nie.

Rozejrzałem się przezornie i zniżyłem głos.

- Doktor Bauerstein - szepnąłem.

- Niepodobna!

- Dlaczego?

- Jaka, u Boga Ojca, korzyść mogłaby mu przynieść śmierć matki?

- Nie mam pojęcia - wyznałem. - Ale powiem ci coś lepszego. Poirot tak sądzi.

- Poirot? Naprawdę? Skąd wiesz?

Powiedziałem Johnowi o wrażeniu, jakie wywarła na moim przyjacielu wiadomość, że Bauerstein był w Styles Court krytycznego wieczora, i

dodałem od siebie:

- Poirot powtórzył dwa razy: „To zmienia wszystko”. Dużo myślałem na ten temat. Słuchaj, Inglethorp twierdzi, że filiżankę z kawą postawił na stole w hallu. Właśnie wtedy zjawił się Bauerstein. Inglethorp prowadził go przez hali do salonu. Facet mógł niepostrzeżenie wrzucić strychninę do kawy. Jak sądzisz?

- Hm... - zastanowił się Cavendish. - Piekierne ryzyko!

- Tak. Ale rzecz możliwa.

- Jeszcze jedno. Skąd Bauerstein mógł wiedzieć, że kawa jest przeznaczona dla matki? Nie, mój drogi. To się nie trzyma kupy.

Nagle przypomniało mi się coś innego.

- Masz rację. Nie tak było. Słuchaj... - i opowiedziałem o próbce kakao

zawiezionej do pracowni analitycznej w Tadminster.

John zareagował identycznie jak ja w swoim czasie.

- Po co? Przecież Bauerstein badał kakao.

- W tym sęk! Rozumiesz? Bauerstein badał kakao. Jeżeli jest mordercą, cóż prostszego niż zamienić próbkę i do analizy oddać czyste kakao? Oczywiście, nie wykryto by w takim razie strychniny. No i nikt nie mógłby podejrzewać Bauersteina. Nikt nie wpadłby na pomysł powtórnej analizy. Nikt z wyjątkiem Poirota!

- Czy ja wiem? A co z goryczą, której kakao nie może przecież zneutralizować?

- Na ten temat wypowiedział się tylko Bauerstein. Są jeszcze inne możliwości. To przecież wielki autorytet w zakresie toksykologii...

- W zakresie czego? - przerwał John.

- Toksykologii, nauki o działaniu trucizn - wyjaśniłem. - Widzisz, John, taki specjalista mógłby znaleźć sposób na pozbanienie strychniny charakterystycznego smaku. Albo nie użył strychniny, tylko jakiejś mało znanej trucizny, która działa podobnie.

- Może masz rację... Ale zastanów się: jak mógł to zrobić? Przecież kakao nie było na parterze.

- Właśnie! Nie było - przyznałem opornie.

W tej chwili przeraziła mnie potworna myśl. Modliłem się o to, by nie wpadł na nią Cavendish. Zerknąłem nań spod oka. Miał zatroskany, ale spokojny wyraz twarzy. Doznałem niewysłowionej ulgi, bo ta straszliwa

myśl wyrażała się w słowach: doktor Bauerstein mógł mieć współniczkę!

Nie! Kobieta o urodzie Mary Cavendish nie mogła być morderczynią. Chociaż... Chociaż w historii znane są przykłady bardzo pięknych trucicielek.

Przypomniałem sobie rozmowę przy podwieczorku w dniu mojego przyjazdu do Styles Court. Przypomniałem sobie dziwny błysk w oczach Mary, kiedy mówiła, że trucizna jest bronią kobiet. Przypomniałem sobie jej zdenerwowanie wieczorem krytycznego wtorku. Może pani Inglethorp odkryła, co łączy Mary z Bauersteinem i zagroziła, że powie Johnowi? Może zbrodnia miała zapobiec kompromitacji?

Albo zagadkowa rozmowa między Poirotem a panną Howard. Czy taki miała sens? Czy w tę potworną prawdę wzbraniała się uwierzyć Ewelina?

Niestety! Pasują do siebie wszystkie fragmenty.

Cóż dziwnego, że panna Howard napomknęła o zatuszowaniu sprawy. Teraz dopiero zrozumiałem jej nie dokończone zdanie: „Ale sama Emilia...”. W głębi serca przyznawałem jej rację. Pani Inglethorp nie mogła chcieć takiej hańby dla nazwiska Cavendishów. Wolałaby z pewnością, by zbrodnia uszła bezkarnie.

- Jeszcze jedno, mój drogi - podjął John tak spokojnie, że odczułem wyrzuty sumienia - podważa twoją hipotezę.

- Co takiego? - zapytałem kontent, że nie zainteresowała go szerzej kwestia, jakim sposobem trucizna mogła trafić do kakao.

- Fakt, że Bauerstein zażądał sekcji zwłok. Nie musiał. Wilkins chętnie przypisałby zgon chorobie serca.

- Tak. Ale co tu wiadomo? Może Bauerstein chciał zabezpieczyć się na wszelki wypadek. Mogły wyniknąć plotki. Minister spraw wewnętrznych mógł nakazać ekshumację. Sytuacja znanego specjalisty byłaby wtedy bardzo niewyraźna. Nikt by nie uwierzył, że on właśnie mógł potraktować serio koncepcję choroby serca.

- Tak... To prawdopodobne - John zamyślił się na chwilę. - Ale niech pękne, jeżeli wiem, jakie mógł mieć motywy!

Przeraziłem się znowu.

- Widzisz - podchwyciłem spiesznie. - To pewno trop całkiem mylny. No i pamiętaj, to historia ściśle poufna.

- Oczywiście. Możesz mi nie przypominać. Rozmawiając po drodze, zdążyliśmy już minąć boczną furtkę parkanu. Dobiegły nas głosy, bo herbatę podano pod starym platanem, jak w dzień mojego przyjazdu.

Cynthia wróciła już ze szpitala, więc usiadłem obok niej i oznajmiłem zaraz, że Poirot chciałby zwiedzić jej aptekę.

- Naturalnie! - zawołała. - Chętnie mu wszystko pokażę. Najlepiej niech wpadnie którego dnia na herbatę. Muszę ustalić z nim termin. Bardzo go lubię. Strasznie zabawny, mały cudak! Raz kazał mi odpiąć broszkę i zaraz przypiąć. Powiedział, że jest umieszczona asymetrycznie.

- To jego mania - roześmiałem się wesoło.

- Pewno, że mania.

Umilkliśmy na chwilę. Później dziewczyna zerknęła w stronę Mary Cavendish i znizywszy głos powiedziała:

- Proszę pana.

- Słucham?

- Po podwieczorku chciałabym z panem pomówić.

Jej spojrzenie ku Mary dało mi do myślenia. Uprzytomniłem sobie, że te dwie kobiety za sobą nie przepadają. Po raz pierwszy zastanowiłem się nad przyszłością panny Murdoch. Pani Inglethorp nie zabezpieczyła jej w żaden sposób, sądziłem jednak, że John i Mary zaofiarują swój dom dziewczynie - przynajmniej do końca wojny. Wiedziałem, że Cavendish bardzo ją lubi i niechętnie zgodziłby się na rozstanie.

Tymczasem wrócił John, który przed chwilą poszedł do domu. Jego spokojna zazwyczaj twarz zdradzała znaczne wzburzenie.

- Niech diabli wezmą detektywów! - zawołał. - Co oni wyrabiają. Byli we wszystkich pokojach, wyrócili wszystko do góry nogami. Coś okropnego! Widocznie skorzystali z naszej nieobecności.

Już ja pogadam z Jappem, jak go spotkam!

- Łobuzy! - warknęła panna Howard.

- Muszą udawać, że mają coś do roboty - dodał Lawrence.

Mary Cavendish nie zabrała głosu.

Po herbacie zaproponowałem Cyntii spacer i ramię w ramię ruszyliśmy wolno w stronę lasu.

- Słucham panią - powiedziałem, gdy liście zasłoniły nas przed ciekawymi oczyma.

Cyntia zerwała kapelusz z głowy, usiadła na murawie. Promienie słońca zabłyśły złotem na jej rudawych włosach.

- Proszę pana - zaczęła - pan był od początku bardzo dobry i wie pan tak dużo.

W tej chwili uprzytomniłem sobie, że mała Cyntia jest urocza, nieporównanie miłsza od pani Cavendish, która nie mówi nigdy podobnie przyjemnych słów.

- Słucham panią - powtórzyłem zachęcająco, gdy dziewczyna zawahała się po udanym wstępie.

- Chciałabym poprosić pana o radę. Można?

- Naturalnie.

- Ciocia Emilia mówiła nieraz, że mnie zabezpieczy. Widocznie

zapomniała albo nie wyobrażała sobie, że niedługo umrze. Tak czy inaczej, zostałam bez żadnego zabezpieczenia. No i nie mam pojęcia, co robić. Jak pan sądzi? Czy zaraz powinnam się stąd wynieść?

- Z pewnością nie! Rodzina Cavendish nie chciałaby rozstać się z panią.

Dziewczyna umilkła. Zaczęła gładzić trawę szczupłą dłonią.

- Mary chciałaby - podjęła wreszcie. - Nie znosi mnie.

- Nie znosi pani? - zawołałem zdziwiony.

- Tak. Nie wiem dlaczego. W każdym razie nie może na mnie patrzeć. On także.

- Na pewno myli się pani - zaproponowałem gorąco. - Przeciwnie, John bardzo panią lubi!

- Ach, John!... Miałam na myśli Lawrence'a. Naturalnie nie dbam o niego. Może mnie nie cierpieć. Ale to przykro, jak nikt człowieka nie kocha.

- Także pomysł, panno Cyntio! - zawołałem. - Wszyscy za panią

przepadają... Na przykład John albo panna Howard...

Dziewczyna smutno pochyliła głowę.

- Tak. Wiem... John mnie lubi, a poczciwa Evie burczy wciąż, ile nie skrzywdziłaby muchy. Za to Lawrence unika mnie, jak może, a Mary ledwie zdobywa się na jaką taką uprzejmość. Mary chce, żeby Evie tu została, prosi ją o to i prosi, a mnie jak gdyby nie widziała, więc... więc... Nie wiem,

co robić... - i biedna Cyntia rozplakała się nieoczekiwanie.

Nie mam pojęcia, co mnie wzięło. Może uroda dziewczyny, w której rudawych włosach słońce zapalało złociste iskry. Może uczucie ulgi na myśl, że mam przy sobie kogoś absolutnie wolnego od podejrzeń o zbrodnię. Może zwyczajna litość dla młodości i sieroctwa. Tak czy inaczej, ująłem jej drobną rączkę i powiedziałem nieporadnie:

- Bądź moją żoną, Cyntio.

Mimo woli trafiłem na najwłaściwszy środek przeciwko łzom. Dziewczyna wyprostowała się energicznie i rzuciła szorstko:

- Czy pan oszalał?

Poczułem lekką urazę.

- Nie oszalałem. Mam zaszczyt prosić panią o rękę.

Ku mojemu zdumieniu wybuchnęła śmiechem i nazwała mnie „kochanym głuptaskiem”.

- Strasznie pan dobry - dodała. - Ale sam pan wie doskonale, że pan mnie nie chce za żonę.

- Właśnie, że chcę. Mam...

- Mniejsza o to, co pan ma - przerwała. - Ale nie chce pan tego małżeństwa... No i ja nie chcę.

- Aa... To rozstrzyga kwestię - powiedziałem sucho. - Nie widzę jednak powodu do śmiechu. W oświadczeniach nie ma nic komicznego.

- Istotnie. Następnym razem ktoś inny przyjmie pańskie oświadczenia. Do widzenia i dziękuję. Dodał mi pan ducha.

Roześmiała się raz jeszcze i z tym śmiechem zniknęła za drzewami, a ja osądziłem, że scena była wysoce niesmaczna.

Nagle przyszło mi do głowy, że warto by iść do osady i porozmawiać z Bauersteinem. Ktoś winien mieć go na oku. A jednocześnie moja wizyta rozproszy zapewne obawy doktora, że może być podejrzany. Przecież sam Poirot ocenia wysoko moje zdolności dyplomatyczne. Zgodnie z tym planem poszedłem do małego domku, w którego oknie wisiała stale kartka z napisem: „Pokoje do wynajęcia”. Wiedziałem, że Bauerstein tam rezyduje. Drzwi otworzyła kobieta w podeszłym wieku.

- Dzień dobry - powitałem ją. - Doktor Bauerstein w domu?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- To nic pan nie słyszał?

- O czym?

- Właśnie o nim.

- A co się stało?

- Załatwiony!

- Jak to? Nie żyje?

- Żyje. Ale wzięła go policja.

- Policja... - dech mi zaparło. - Doktor Bauerstein aresztowany?

- Tak. No i...

Nie słuchałem dalej. Co tchu ruszyłem na poszukiwanie Poirota.



X.

ARESZTOWANIE

Zmartwiłem się bardzo, bo nie zastałem w domu przyjaciela. Stary Belg,

który otworzył drzwi, powiedział, że *monsieur* Poirot wyjechał - zdaje się do Londynu.

Zdębiałem. Co, u licha, mógł robić w Londynie? Czy zdecydował się nagle, czy też miał plan gotowy, kiedy widziałem go przed kilkoma godzinami?

W fatalnym humorze wróciłem do Styles Court. Nie miałem pojęcia, co robić. Zapewne przewidywał to aresztowanie. Najprawdopodobniej przyczynił się do niego w znacznej mierze. Nie byłem w stanie rozstrzygnąć wątpliwości i nie wiedziałem zupełnie, jak się zachować.

Rozgłosić w domu wiadomość czy ją przemilczeć? Nie przyznawałem się do tego przed samym sobą, ale dręczyły mnie myśli na temat Mary. Chyba będzie to dla niej okropny cios. Chwilowo odsunąłem wszelkie podejrzenia przeciwko niej. Nie musiała być zamieszana w zbrodnię. Inaczej doszłyby mnie z pewnością jakieś słuchy w tym względzie.

Oczywiście niepodobna było zataić na czas dłuższy aresztowania doktora Bauersteina. Wiadomość roztrąbi jutrzejsza prasa. Ale ja nie chciałem być jej zwiastunem i żałowałem, że nie jestem w stanie porozumieć się z przyjacielem, zasięgnąć jego rady. Co go napadło? Dlaczego wybrał się do Londynu tak nieoczekiwanie?

Wbrew woli moja opinia o jego sprycie rosła. Nigdy na myśl by mi nie przyszło podejrzewać doktora, gdyby Poirot nie naprowadził mnie na ten ślad. Bez wątpienia cudak ma głowę na karku!

Po namyśle zdecydowałem, że dopuszczę do sekretu Johna. Niech on postanowi, czy należy sprawę rozgłosić.

Cavendish gwizdnął przeciągle usłyszawszy nowinę.

- Do licha! Miałeś nosa! A mnie nie mogło się to pomieścić w głowie.

- Istotnie, trudno uwierzyć, póki człowiek nie oswoi się z taką koncepcją. Teraz rozumiesz, jak pasują do siebie wszystkie szczegóły. Ale co robić? I tak jutro będzie głośno o aresztowaniu.

John zamyślił się głęboko.

- Trudna rada - odparł po chwili. - Na razie nic nie powiemy. Po co? Jak sam mówiłeś, sprawa sama wyjdzie na jaw.

Następnego rana wstałem wcześniej i skwapliwie sięgnąłem po gazety.

Ale ku swemu zdziwieniu nie znalazłem w żadnej ani słowa o

aresztowaniu. Zwykła czeza gadanina o „Zagadkowym otruciu w Styles” - nic więcej. Niepojęta historia! Podejrzywałem, że z takich lub innych racji Japp wolał nie dopuścić do opublikowania nowiny. Zaniepokoiło mnie to trochę; należało się liczyć z dalszymi aresztowaniami.

Po śniadaniu zamierzałem wybrać się do wioski, by sprawdzić, czy

Poirot wrócił. Zanim jednak zdążyłem ruszyć do domu, dobrze znajoma

postać przesłoniła drzwi wiodące na taras i dobrze znajomy głos

przemówił:

- *Bonjour, mon ami.*

- Poirot! - zawołałem z uczuciem niewysłowionej ulgi i chwyciwszy

przyjaciela za obie ręce wciągnąłem do pokoju. - Jak żyję, nie ucieszył mnie tak niczyj widok! Słuchaj! Nie pisałem słowa nikomu. Wie tylko John. Chyba dobrze zrobiłem, co?

- Mój drogi, nie mam pojęcia, o czym mówisz - odrzekł Poirot.

- Jak to? O aresztowaniu doktora Bauersteina - obruszyłem się.

- Bauerstein aresztowany?

- Nie wiedziałeś?

- Nigdy bym nie pomyślał - zastanowił się na moment. - Ale ostatecznie nic dziwnego. Znajdujemy się ledwie o cztery mile od wybrzeża.

- Od wybrzeża? - powtórzyłem zaskoczony. - A cóż to ma do rzeczy?

Poirot wzruszył ramionami.

- Sprawa oczywista.

Nie dla mnie. Może jestem szczególnie tępy, ale nie pojmuję, co bliskość

wybrzeża może mieć wspólnego z otruciem pani Inglethorp.

- Absolutnie nic - uśmiechnął się mały Belg. - Ale mówimy o aresztowaniu doktora Bauersteina.

- Przecież aresztowano go pod zarzutem morderstwa pani...

- Co takiego? - zawołał mój przyjaciel. - Aresztowano Bauersteina pod zarzutem morderstwa pani Inglethorp?

- Tak.

- Niepodobna! To byłaby czysta farsa. Kto ci to mówił, *mon ami*?

- Właściwie nikt - przyznałem. - Ale wiem, że Bauerstein został aresztowany.

- Nie przeczę. Pod zarzutem szpiegostwa.

- Szpiegostwa? - zdumiałem się raz jeszcze.

- Nie inaczej.

- Nie otrucia pani Inglethorp?

- Nie. Chyba że nasz przyjaciel Japp zgubił piątą klepkę - odrzekł spokojnie mały Belg.

- Ale... Ale wydawało mi się, że i ty go podejrzewasz.

Poirot odpowiedział tylko spojrzeniem wyrażającym najgłębsze politowanie i zdziwienie, że mogłem go posądzać o równie niedorzeczne myśli.

- Twierdzisz zatem - podjąłem - że Bauerstein był szpiegiem?

Poirot twierdząco skinął głową.

- Nie przychodziło ci to na myśl? - zapytał.

- Nigdy.

- Nie zastanawiałeś się, dlaczego słynny londyński specjalista osiadł w prowincjonalnej dziurze i ma zwyczaj odbywać długie przechadzki po nocy?

- Nie - przyznałem. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Oczywiście to Niemiec z pochodzenia - podjął mój przyjaciel. -

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Jednakże w Anglii praktykował tak długo, że wszyscy mieli go za Anglika. Obywatelstwo uzyskał jakieś piętnaście lat temu. Nie lada spryciarz!

- I łajdak! - dorzuciłem z obrzydzeniem.

- Nie. Po prostu patriota. Pomyśl, o jaką grał stawkę.

Nie byłem w stanie podzielić filozoficznego stanowiska przyjaciela.

- Z takim typem pani Cavendish odbywała dalekie spacerunki po okolicy! - zawołałem oburzony.

- Właśnie. Była mu bardzo przydatna. Plotka łączyła ich nazwiska, więc nikt nie zwracał uwagi na inne dziwactwa doktora.

- Sądzisz, że on naprawdę nie interesował się Mary? - zapytałem żywo, może nieco zbyt żywo.

- Tego oczywiście nie wiem. Ale mogę podzielić się z tobą swoimi domysłami.

- Słucham.

- Jestem zdania, że w gruncie rzeczy doktor Bauerstein był absolutnie obojętny pani Cavendish.

- Rzeczywiście tak sądzisz? - nie potrafiłem ukryć zadowolenia.

- Jestem głęboko przekonany. Powiem ci nawet dlaczego.

- Powiedz!

- Ona kocha innego, *mon ami*.

- Aha...

Co Poirot miał na myśli? Odczułem falę miłego ciepła. Nie jestem zarozumiały na punkcie powodzenia u kobiet, ale począłem przypominać sobie rozmaite fakty, drobne na pozór, lecz mimo wszystko świadczące...

Przyjemne myśli przerwała mi panna Howard, która wtargnęła raptownie do pokoju. Szybkim spojrzeniem upewniła się, że nie ma w pobliżu niepowołanych osób. Później wręczyła mojemu przyjacielowi arkusz papieru pakowego.

- Na szafie - rzuciła zwięźle, zagadkowe słowa i wyszła równie nagle, jak się zjawiła.

Z okrzykiem zadowolenia Poirot rozwinął arkusz, następnie rozpostarł na stole.

- Spójrz no, Hastings - powiedział. - Jaki to inicjał? J czy L?

Spory arkusz był zmięty i zakurzony, jak gdyby leżał gdzieś od dawna. Mojego przyjaciela interesował przede wszystkim adres. U góry był nadruk braci Parkson, znanych dostawców kostiumów i rekwizytów teatralnych. Niżej znajdował się adres: „Wielmożny Pan (niewyraźny inicjał) Cavendish, Styles Court, Styles, Essex”. Uważnie przyjrzałem się nalepce.

- To może być T lub L. W żadnym razie nie J - powiedziałem.

- Słusznie. Mnie też tak się zdawało - Poirot starannie złożył papier. - To

L, z pewnością.

- Skąd się wziął ten papier? - zapytałem z zainteresowaniem. - Chyba to ważny dowód?

- Średnio. W każdym razie potwierdza moją linię rozumowania. Wywnioskowałem, że coś takiego musi istnieć, więc poprosiłem pannę Howard, by szukała. No i masz. Udało się!

- Co znaczyły zagadkowe słowa: „Na szafie”? - zapytałem.

- Że papier znalazła na szafie - wyjaśnił mały Belg.

- Dziwne miejsce do chowania starego papieru pakowego.

- Nic podobnego. Ja sam trzymam zawsze na szafie takie papiery i tekturowe pudełka. Oczywiście poukładane w porządku.

- Poirot - podjąłem gorąco. - Czy rozwikłałeś tę zbrodnię?

- W pewnym sensie tak. Wiem już, zdaje się, jak ją popełniono.

- Oo!

- Na nieszczęście nie mam żadnych dowodów oprócz własnych

przypuszczeń, chyba że... - urwał nagle, chwycił mnie za ramię i z niebywałym pośpiechem powlókł do hallu.

Był tak podniecony, że po drodze wykrzykiwał na cały głos po francusku:

- *Mademoiselle Dorcas! Mademoiselle Dorcas! Un moment, s'il vous plait!*

Przerażona hałasem stara służąca wybiegła z pokoju kredensowego.

- Kochana Dorcas - zaczął - mam pomysł, taki drobny pomysł. To będzie cudowne, jeżeli okaże się trafny! Proszę powiedzieć, Dorcas, czy w poniedziałek, nie we wtorek, w poniedziałek przed dniem tragedii popsuł się dzwonek w pokoju pani Inglethorp?

Dorcas zrobiła zdziwioną minę.

- Tak, proszę pana. Rzeczywiście. Skąd pan wie? Widocznie mysz albo jakieś inne stworzenie przegryzło drut. We wtorek rano przyszedł człowiek i szkodę naprawił.

Poirot wydał znów radosny okrzyk i wrócił do małego saloniku.

- A widzisz, widzisz! - wołał. - Nie warto szukać rzeczowych dowodów. Własny rozum powinien wystarczyć. Ale człowiek nie wierzy w siebie, jest słaby. Cieszy się, kiedy znajdzie potwierdzenie swoich domysłów. Ach, *mon ami!* Czuję się jak odrodzony. Tańczę! Skaczę!

Istotnie, w radosnych podskokach wybiegł na trawnik przez drzwi wiodące na taras i począł tańczyć na trawniku przed domem.

- Co pański znakomity przyjaciel wyrabia? - usłyszałem za plecami miły głos.

Odwróciłem się i zobaczyłem uśmiechniętą Mary. Odpowiedziałem uśmiechem.

- Co się stało? - zapytała.

- Nie mam pojęcia. Poirot dowiedział się od Dorcas czegoś o dzwonku i tak się uradował, że...

Sama pani widzi!

Mary roześmiała się głośno.

- Zabawna historia! O, teraz mknij w stronę bramy. Czy wróci tu jeszcze dzisiaj?

- Nie wiem. Przestałem głowić się nad jego przyszłymi zamiarami.

- Czy to wariat, proszę pana?

- Uczciwie mówiąc, nie wiem. Czasami tak mi się zdaje, ale z najgorszych jego bredni wynika nagle, że w tym szaleństwie jest metoda.

- Rozumiem.

Mary śmiała się, ale była dziwnie nieswoja, poważna, może nawet

2 Panno Dorcas! Panno Dorcas! Poproszę panią na moment! (franc.)

smutna. Przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby ją wybadać w sprawie Cyntii. Zacząłem według mnie nad wyraz taktownie, lecz osadziła mnie z miejsca.

- Nie wątpię, proszę pana - powiedziała - że jest pan doskonałym adwokatem. Ale w danym przypadku niepotrzebnie marnuje pan talent. Cyntii nie grozi z mojej strony nic złego.

Zacząłem bąkać coś, że nie myślałem, że ona myśli... I tym razem ucięła stanowczo, poruszając temat tak nieoczekiwany, że odsunęła na plan bardzo daleki pannę Murdoch oraz jej sprawy.

- Jak pan sądzi? - zapytała. - Czy moje małżeństwo z Johnem jest szczęśliwe?

Zaskoczony, wyjąkałem, że sąd w tej kwestii nie do mnie należy.

- Zapewne - przyznała. - Ale tak czy inaczej, niech pan wie, że nie jesteśmy szczęśliwi.

Nie powiedziałem nic, bo zdawałem sobie sprawę, że to nie koniec.

Pani Cavendish zaczęła mówić cicho, spacerując tam i z powrotem po pokoju. Głowę miała pochyloną, jej smukła sylwetka poruszała się wdzięcznie. Nagle zatrzymała się, spojrzała mi prosto w oczy.

- Pan nic o mnie nie wie - rzuciła. - Skąd pochodzę? Co robiłam przed ślubem? Absolutnie nic! Teraz powiem. Będzie pan moim powiernikiem. Sądzę, że jest pan życzliwy... Tak! Jestem tego pewna.

Byłem zachwycony mniej, niż należałoby oczekiwać. Pamiętałem, że Cyntia rozpoczęła zwierzenia w sposób bardzo podobny. Ponadto spowiednik winien być starszy. To rola niestosowna dla zupełnie młodego

mężczyzny.

- Mój ojciec był Anglikiem - zaczęła Mary - matka Rosjanką...

- Aha! - przerwałem. - Teraz rozumiem.

- Co pan rozumie?

- Jakaś obcą, niezwykłą atmosferę, którą pani stwarza wokół siebie.

- Mniejsza o to. Moja matka była podobno bardzo piękna. Nie wiem. Nigdy jej nie widziałam. Umarła, kiedy byłam niemowlęciem. Umarła tragicznie: omyłkowo przyjęła za dużą dawkę jakiegoś środka nasennego. Ojciec załamał się kompletnie. Później wstąpił do służby konsularnej. Ja towarzyszyłam mu wszędzie. Do dwudziestego trzeciego roku życia poznałam prawie cały świat. Uwielbiałam to cudowne życie.

Uśmiechnęła się, wyprostowała. Odniosłem wrażenie, że przeżywa w wyobraźni wspomnienia dawnych szczęśliwych lat.

- Później ojciec zmarł, pozostawił mnie w trudnych warunkach finansowych. Musiałam zamieszkać u starych ciotek w Yorkshire - wzdrygnęła się z obrzydzeniem. - Rozumie pan? To równało się śmierci dla dziewczyny wychowanej tak jak ja. Byłam bliska obłędu wśród tej ciasnoty pojęć, zabójczej nudy. - Umilkła na moment, by podjąć zupełnie innym tonem: - Wtedy poznałam Johna Cavendisha.

- Rozumiem...

- Naturalnie z punktu widzenia ciotek to była świetna partia. Ale, mówię uczciwie, nie względy materialne wpłynęły na moją decyzję. W małżeństwie widziałam przede wszystkim ucieczkę od morderczej

monotonii.

Milczałem nadal. Mary zaczęła znów po chwili.

- Proszę mnie źle nie rozumieć. Postąpiłam najzupełniej rzetelnie. Powiedziałam Johnowi prawdę: że lubię go i spodziewam się polubić jeszcze bardziej, lecz w żadnym sensie nie jestem zakochana. Uznał, że to mu wystarczy, więc pobraliśmy się wkrótce.

Umilkła na dobrą chwilę, zmarszczyła czoło. Zapewne odświeżała w pamięci tamte dni.

- Sądzę... Nie! Wiem na pewno, że z początku bardzo mu na mnie zależało. Ale jesteśmy chyba źle dobraną parą. Nasze drogi rozeszły się wkrótce. Mało to dla mnie pochlebne, ale wyznaję otwarcie, że znudziłam się mężowi bardzo prędko.

Widocznie zrobiłem gest przeczenia, bo Mary powtórzyła głośniej:

- Tak! Znudziłam się mężowi bardzo prędko. Nie o to zresztą chodzi teraz... Teraz, kiedy przyszło do rozstania.

- Co pani ma na myśli?

- To - odpowiedziała żywo - że nie chcę zostać w Styles.

- Nie myślicie tu mieszkać: pani i John?

- Ja nie. John robi, co uzna za stosowne.

- Chce go pani opuścić?

- Tak.

- Ale dlaczego?

- Może... - zamyśliła się na moment. - Może pragnę wolności?

Nagle olśnił mnie obraz rozległych przestrzeni, dziewiczych lasów, pustkowi nie tkniętych stopą

człowieka. Pojąłem, co może oznaczać wolność dla niepohamowanej, pełnej sił żywotnych, nie ujarzmionej przez cywilizację natury - dla takiej kobiety jak Mary Cavendish, łaknącej swobody niby płochliwy ptak z gór.

- Nie wie pan - wybuchnęła gwałtownie - nie wyobraża pan sobie, jak straszliwym więzieniem jest dla mnie to nienawistne miejsce!

- Owszem... - bąknąłem. - Rozumiem. Lepiej jednak nie decydować pochopnie...

- Pochopnie! - ton jej głosu zdawał się szydzić z mojej ostrożności.

W tym momencie powiedziałem:

- Wie pani, że doktor Bauerstein został aresztowany? - i pożałowałem zaraz, że w porę nie ugryzłem się w język.

Maska chłodu powlokła twarz Mary, przesłaniając wszelki inny wyraz.

- John był na tyle łaskaw, że dziś rano podzielił się ze mną nowiną.

- I co pani myśli? - zapytałem niepewnie.

- O czym?

- O aresztowaniu.

- A cóż miałabym myśleć? Widać Bauerstein był niemieckim szpiegiem. Ogrodnik mówił Johnowi coś w tym sensie.

Jej głos i oczy były kompletnie pozbawione wyrazu. Obchodził ją tamten facet czy nie? Odstąpiła kilka kroków i dotknęła jednego z wazonów.

- Kwiaty zupełnie zwiędły - powiedziała. - Trzeba je zmienić. Zechce pan mnie przepuścić? Dziękuję, panie Hastings.

Pożegnała mnie sztywnym skinieniem głowy i wyszła szybko na taras.

Nie! Z pewnością nie kochała doktora Bauersteina. Żadna kobieta nie potrafiłaby odegrać takiej roli z tak lodowatą obojętnością.

Następnego rana nie zjawił się Poirot. Nie było także widać przedstawicieli Scotland Yardu.

Jednakże w porze lunchu otrzymaliśmy nowy dowód lub raczej potwierdzenie braku dowodu. Na próżno usiłowaliśmy wytropić czwarty list napisany przez panią Inglethorp w przeddzień śmierci. Nasze starania nie prowadziły nigdzie, więc zaniechaliśmy ich, nie tracąc nadziei, że w swoim czasie sprawa wyświetli się sama. Tak też się stało. Południowa poczta przyniosła list od znanego domu wydawniczego we Francji: potwierdzenie czeku pani Inglethorp oraz wiadomość, że firma nie dysponuje pewnym zbiorem rosyjskich pieśni ludowych. W ten sposób rozwiały się ostatnie nadzieje na rozwikłanie tajemnicy dzięki korespondencji pani Inglethorp.

Przed podwieczorkiem wybrałem się do osady, aby dać znać Poirotowi o nowym zawodzie. Ale ku wielkiemu mojemu zmartwieniu nie zastałem go w domu.

- Znowu pojechał do Londynu?

- Nie, proszę pana. Spieszył się na pociąg do Tadminster. Mówił, że chce zwiedzić aptekę

jakiejś panienki - poinformował mnie stary Belg.

- A to osioł! - zawołałem. - Mówiłem przecież, że ona na środy wolne. Zechce mu pan powtórzyć, żeby wpadł do nas jutro rano.

- Na pewno powtórzę, proszę pana.

Ale nazajutrz Poirot nie dał znaku życia. Zaczynało mnie to drażnić. Byłem zdania, że po macoszemu traktuje całą sprawę.

Po lunchu Lawrence odprowadził mnie na stronę i zapytał, czy wybieram się do przyjaciela.

- Nie. Może przyjść sam, jeżeli ma interes.

- Aha...

Odniosłem wrażenie, że Lawrence jest szczególnie zdenerwowany i przygnębiony.

- Co się stało? - podjąłem. - Pójdę do niego, jeżeli to coś ważnego.

- Niespecjalnie - bąknął. - Ale widzisz... Mógłbyś mu może powiedzieć, że znalazłem brakującą filiżankę po kawie...

Prawie zapomniałem o niezrozumiałym poleceniu małego Belga, obecnie jednak moje zaciekawienie odżyło.

Wiedziałem, że Lawrence nie powie więcej, zrzuciłem zatem pychę z serca i raz jeszcze pospieszyłem do domku belgijskich uchodźców.

Powitał mnie tam gościnny uśmiech. *Monsieur* Poirot jest w domu.

Skorzystałem z zaproszenia i szybko wspiałem się na schody.

Poirot siedział przy stole. Głowę podpierał rękami. Na mój widok zerwał się żywo.

- Co się stało? - zapytałem z niepokojem. - Chory jesteś?

- Nie. Skąd znowu. Widzisz, muszę powziąć decyzję w bardzo ważnej sprawie.

- Ująć albo nie ująć zbrodniarza? - zapytałem żartobliwie.

Zdziwiła mnie powaga, z jaką odpowiedział:

- Mówić albo nie mówić, oto jest pytanie, jak powiedział wasz wielki Szekspir.

Nie trudziłem się prostowaniem cytatu.

- Nie dowcipkuj, Poirot - rzuciłem.

- Nie dowcipkuję, *mon ami*. Chodzi o kwestię najwyższej wagi.

- Jaką?

- O szczęście kobiety - odparł tonem bardzo serio. Nie wiedziałem doprawdy, co odpowiedzieć.

- Nadszedł właściwy moment - ciągnął mój przyjaciel jak gdyby w

zamyśleniu - a ja nie wiem, jak postąpić. Bo, widzisz, gram o wielką stawkę. Tylko Herkules Poirot - dumnie uderzył się w piersi - może pokusić się o coś podobnego. Nikt więcej!

Milczałem przez chwilę, żeby nie popsuć efektu. Później zdałem relację z rozmowy z Lawrence'em.

- Aa! Więc znalazł filizankę! - zawołał mały Belg. - Doskonale. Ten twój ponury Lawrence jest bystrzejszy, niżby się zdawało.

Nie miałem wysokiego mniemania o bystrości Lawrence'a, lecz nie oponowałem i zacząłem łagodnie strofować Poirota za nieporozumienie w kwestii wolnych dni Cyntii.

- Racja, mój drogi, racja! Głowę mam jak sito. Ale tamta druga panienska była nad wyraz uprzejma. Ubolewała nad moim zawodem i chętnie pokazała mi aptekę.

- To dobrze. Cyntia zaprosi cię na herbatę przy innej sposobności.

Po krótkiej pauzie wspomniałem o otrzymanym dzisiaj liście.

- Szkoda - westchnął Poirot. - Bardzo na ten list liczyłem. Ale nie miałem racji. Nie. Całą historię trzeba rozwikłać tu - uderzył się w czoło. - Tu! Niech pracują szare komórki. To ich zadanie. Czy znasz się na odciskach palców, *mon ami*? - zapytał nagle.

- Słabo - odpowiedziałem zaskoczony. - Słyszałem, że nie istnieją dwa identyczne wzory. Dalej nie sięga moja wiedza.

- Rozumiem.

Mały Belg otworzył kluczem szufladę, dobył z niej jakieś zdjęcia i położył na stole.

- Odciski palców są porządnie ponumerowane - podjął. - Widzisz? Jeden, dwa, trzy. Zechcesz je opisać?

Z uwagą obejrzałem fotografie.

- Są znacznie powiększone. To widzę. Powiedziałbym, że numer pierwszy to odcisk męskiego palca, wskazującego lub kciuka. Numer drugi jest mniejszy, zupełnie inny. To zapewne ślad damskiego paluszka. Numer trzy... - zawahałem się - zdjęcie zamazane, ale... O, tu! Wyraźny odcisk podobny do numeru pierwszego.

- Właśnie. Pokrywa linie?

- Tak.

- Jesteś pewien, że odpowiada ściśle numerowi pierwszemu?

- Tak. Jest identyczny.

Poirot uśmiechnął się, ostrożnie wyjął z moich rąk zdjęcia i zamknął je

w szufladzie.

- Spodziewam się - burknąłem - że nic mi nie wytłumaczysz, jak zwykle.

- Dlaczego? Numerem pierwszym oznaczyłem odciski palców pana Lawrence'a. Numer drugi należy do panny Cyntii. Ale nie o nią chodzi. Bardziej skomplikowana sprawa jest z numerem trzecim.

- Aha... - wtrąciłem.

- Obraz, jak zauważyłeś trafnie, jest znacznie powiększony. Spostrzegłeś niewątpliwie jak gdyby mgłę na całym zdjęciu. Nie chcę cię nudzić specjalistycznym opisem. Nie będę mówił o proszku i całej tej technice. To zabiegi dobrze znane policji. Wystarczy dodać, że dzięki nim można otrzymać w niedługim czasie zdjęcie odcisków palca zostawionych na dowolnym przedmiocie. Odcisk palca widziałeś. Muszę tylko wspomnieć, o jaki przedmiot chodzi.

- Prędeż! Umieram z ciekawości!

- Więc słuchaj. Fotografia oznaczona numerem trzecim przedstawia, w znacznym powiększeniu, powierzchnię maleńkiego słoiczka z górnej półki schowka z truciznami w aptece Szpitala Czerwonego Krzyża w Tadminster.

- Na Boga! - zawołałem. - I to jest odcisk palców Lawrence'a

Cavendisha? Przecież nie zbliżył się do szafki z truciznami, kiedy odwiedziliśmy Cyntię.

- Ależ zbliżył się. Na pewno.

- Niepodobna. Przez cały czas byliśmy razem.

- Nie przez cały czas, *mon ami*, bo nie musielibyście wołać pana Lawrence'a i prosić, aby przyszedł na balkon.

- Istotnie... Zapomniałem. Ale to trwało chwilkę.

- Wystarczająco długą chwilkę.

- Żeby co? - zapytałem zdziwiony.

- Żeby ktoś, kto studiował niegdyś medycynę, zdążył zaspokoić zupełnie zrozumiąłą ciekawość - Poirot uśmiechnął się zagadkowo.

Miał zadowoloną minę. Wstał, począł nucić z cicha. Obserwowałem go podejrzliwie.

- Poirot - odezwałem się wreszcie - co zawiera ten maleńki słoiczek?

Mały Belg wyjrzał przez okno.

- Chlorowodorek strychniny - odpowiedział przez ramię i nucił w dalszym ciągu.

- Do licha! - powiedziałem stosunkowo spokojnie. Nie zdziwiłem się. Oczekiwałem czegoś podobnego.

- Chlorowodorek strychniny w czystym stanie jest używany bardzo rzadko. Tylko do pigułek. W innych przypadkach stosuje się recepturowy roztwór. Rozumiesz teraz, czemu odciski palców pozostały nie naruszone.

- Jakim cudem zrobiłeś to zdjęcie?

- Upuściłem kapelusz z balkonu. O tej porze odwiedzający nie mają wstępu do ogrodu szpitalnego. Byłem niepocieszony. Stokrotnie przepraszałem. Ale koleżanka panny Cyntii musiała zejść po zgubę.

- Wiedziałeś, czego szukasz?

- Nic podobnego. Z twojego opowiadania wywnioskowałem, że

monsieur Lawrence mógł zajrzeć do szafki z truciznami. Możliwość taką chciałem potwierdzić albo wyeliminować.

- Poirot! - podjąłem. - Nie zmylą mnie twoje żarty. To bardzo ważne odkrycie.

- Czy ja wiem? Jedno mnie zastanawia. Myślę, że ciebie również.

- Co mianowicie?

- Widzisz, w tej całej historii mamy trochę za dużo strychniny. Trzeci raz się na nią natykamy. Była w środku wzmacniającym pani Inglethorp.

Młody Mace sprzedał ją beztrąsko w aptece. A teraz znów strychnina w rękach jednego z domowników. To wprowadza zamęt, a ja zamętu bardzo nie lubię.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, jeden z belgijskich uchodźców uchylił drzwi i wsunął głowę do pokoju.

- Na dole jest jakaś pani do pana Hastingsa - oznajmił.

- Pani? Do mnie?

Zerwałem się zdziwiony. Poirot pospieszył za mną. W sieni czekała Mary Cavendish.

- Wracam od jednej chorej staruszki - powiedziała. - Wiem od Lawrence'a, że pan poszedł do pana Poirota, więc przyszło mi do głowy, by po pana wstąpić.

- Jakże mi przykro, *madame!* - rzucił szarmancko Poirot. - Myślałem, że zechciała pani zaszczyścić odwiedzinami papę Poirota.

- Jeżeli pan mnie zaprosi, chętnie skorzystam innym razem - obiecała z miłym uśmiechem.

- Doskonale, *madame*. I proszę pamiętać, jeżeli będzie pani potrzebny powiernik, papa Poirot gotów służyć w każdej chwili.

Mary spojrzała nań pytająco, jak gdyby szukała głębszego sensu uprzejmych słów. Później odwróciła się szybko w stronę drzwi.

- Dotrzyma nam pan towarzystwa, *monsieur* Poirot? - zapytała.

- Z prawdziwą przyjemnością, *madame*.

Przez całą drogę Mary mówiła dużo, nerwowo i ku mojemu zdziwieniu - jak gdyby unikała wzroku małego Belga.

Tymczasem zmieniła się pogoda. Dał silny wiatr, chłodny niczym w jesieni. Mary wzdrygnęła się, zapięła czarny sportowy żakiet. Szum smaganych wichurą gałęzi przypominał westchnienia olbrzyma.

Opoślad domu zorientowaliśmy się łatwo, że musiało zajść coś niedobrego.

Dorcias wybiegła nam na spotkanie. Płakała, załamywała ręce. Reszta służby, zgromadzona na dalszym planie, wydała mi się zbiorowiskiem

samych oczu i uszu.

- Ach, prosz

- Ś

ę pani! Pani złota! Nie wiem, jak powiedzieć...

miało, Dorcas! - rzuciłem rozkazującym tonem. - Słuchamy.

- To ci podli detektywi. Wzięli go. Zaaresztowali pana Cavendisha.

- Lawrence aresztowany? - z trudnością dobyteм głosu.

Dorcas wytrzeszczyła oczy.

- Nie, proszę pana. Pan John.

Mary krzyknęła rozdzierająco, ciężko wsparła się na moim ramieniu.

Odwrociłem się, by ją podtrzymać, i w oczach Poirota dostrzegłem wyraz cichego triumfu.



XI.

PROCES JOHNA CAVENDISHA

Rozprawa przeciwko Johnowi pod zarzutem morderstwa macochy odbyła się w dwa miesiące później.

O poprzedzających ją tygodniach niewiele mam do powiedzenia. W każdym razie Mary Cavendish budziła w tym okresie podziw i współczucie. Bez wahania stanęła po stronie męża, z pogardą odrzuciła

myśl o jego winie, walczyła na wszelkie możliwe sposoby.

Kiedy poruszyłem ten temat w rozmowie, Poirot zrobił minę bardzo serio.

- Tak - przyznał - pani Cavendish należy do kobiet, które całą swą wartość objawiają w trudnych warunkach. Wtedy widać naprawdę ich dobroć i odwagę. Duma i zazdrość pani...

- Zazdrość? - przerwałem zdziwiony.

- Tak. Nie zorientowałeś się, *mon ami*, że to osoba wyjątkowo

zazdrosna? A więc duma i zazdrość pani Cavendish poszły w ką. Teraz myśli tylko o mężu i zagrażającym mu straszliwym losie.

Mówił z uczuciem, więc spoglądając nań bystro przypomniałem sobie ów dzień, gdy rozważałem, czy mówić, czy też nie mówić, i jego wzmiankę o „szczęściu kobiety”. W gruncie rzeczy byłem zadowolony, że pozbawiono go inicjatywy.

- Nawet dzisiaj - podjąłem - trudno mi uwierzyć w winę Johna. Widzisz, do ostatniej chwili podejrzewałem Lawrence'a.

- Wiem - uśmiechnął się Poirot.

- Ale żeby to miał być John... Mój stary przyjaciel John!

- Każdy morderca jest zapewne czymś starym przyjacielem - wtrącił filozoficznie mały Belg. - Nie wolno mieszać uczuć z rozsądkiem.

- Myślę, że powinieneś dać mi jakoś do zrozumienia, co się święci - podjąłem.

- Może milczałem dlatego, że to twój stary przyjaciel...

Zasępiłem się trochę, wspominając, jak szczerze rozmawiałem z Johnem o podejrzaniach Poirota wobec doktora Bauersteina. Nawiasem mówiąc, Bauerstein został oczyszczony z zarzutu szpiegostwa. Jego spryt uniemożliwił formalne oskarżenie, ale tak czy inaczej, doktor miał podcięte skrzydła na przyszłość.

Zapytałem przyjaciela, czy jego zdaniem Johna czeka wyrok skazujący. Zdziwiłem się bardzo, gdy odpowiedział, że nie przewiduje takiego finału.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa John będzie niewinny.

- Ależ mój drogi... - zacząłem.

- Sto razy ci mówiłem - przerwał mały Belg - że brak mi dowodów. Inna sprawa wiedzieć, że ktoś popełnił zbrodnię, inna dowieść mu tego. A tutaj mamy przerażająco mało dowodów. W tym sęk. Ja, Herkules Poirot, wiem,

ale brak mi ostatniego ogniwa w łańcuchu. Jeżeli go nie znajdę... -

bezzradnie rozłożył ręce.

- Kiedy zacząłeś podejrzewać Johna? - zapytałem po niedługiej pauzie.

- A ty go wcale nie podejrzewałeś?

- Absolutnie.

- Nawet gdy podsłuchałeś urywek rozmowy między panią Inglethorp a jej synową? Nawet po mętnych zeznaniach pani Cavendish podczas rozprawy u koronera?

- Nie.

- Nie potrafiłeś dodać dwu do dwóch? Nie przyszło ci na myśl, że jeżeli Inglethorp nie sprzeczał się z żoną, co gorąco podtrzymuje, musiał to być John albo Lawrence? W przypadku tego ostatniego nikt nie zdołałby uzasadnić postępowania Mary. Ale jeżeli chodziło o Johna, wszystko

tłumaczy się samo.

- Aha! Więc John sprzeczał się z macochą! - zawołałem pod wpływem nagłego olśnienia.

- Oczywiście.

- I ty wiedziałaś o tym od początku?

- Ma się rozumieć. Inaczej niepodobna wyjaśnić zachowania pani Cavendish.

- Mimo to jednak twierdzisz, że on może zostać uniewinniony?

Poirot wzruszył ramionami.

- Naturalnie. Podczas rozprawy w sądzie policyjnym oskarżenie odsłoni wiele. Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa adwokaci doradzą Johnowi, by zastrzegł sobie prawo obrony w procesie głównym. Wszystko wyjdzie na jaw dopiero wtedy. Aha... Muszę ci powiedzieć, *mon ami*, że ja nie mogę wystąpić w pierwszej fazie.

- Jak to?

- Nie mogę. Formalnie nie mam z tym nic wspólnego. Pozostanę za sceną, póki nie znajdę ostatniego ogniwa w łańcuchu. Pani Cavendish musi być przekonana, że pracuję na rzecz jej męża, nie przeciwko niemu.

- To gra niezwykle uczciwa - obruszyłem się gwałtownie.

- Nic podobnego. Mamy do czynienia z człowiekiem pozbawionym wszelkich skrupułów i przebiegłym w najwyższym stopniu. Musimy zastosować wszelkie środki, bo inaczej się nam wymknie. Rozumiesz teraz powód, dla którego chcę pozostawać na dalszym planie? Wszystkie odkrycia zrobił Japp. Jemu przypadnie w udziale cały zaszczyt. Jeżeli ja będę musiał zeznawać - Poirot uśmiechnął się pogodnie - wystąpię jako świadek obrony.

Uszom nie chciałem wierzyć. Zrobiłem taką zdziwioną minę, że mój przyjaciel podjął:

- Wszystko w porządku, *mon ami*. Tak się dziwnie składa, że mogę obalić jeden zarzut oskarżenia.

- Który?

- Kwestię zniszczenia testamentu. Tego John Cavendish nie zrobił.

Herkules Poirot okazał się dobrym prorokiem. Nie zamierzam opisywać rozprawy w sądzie policyjnym, gdyż musiałbym powtarzać te same

szczegóły. W każdym razie John zastrzegł sobie prawo obrony w procesie głównym.

Wrzesień zastał nas wszystkich w Londynie. Mary wynajęła dom w okolicy Kensingtonu. Poirot stał się jak gdyby członkiem rodziny. Ja otrzymałem przydział w Ministerstwie Wojny, więc mogłem widywać osoby zainteresowane nader często.

Wraz z upływem tygodni pogarszał się stan nerwów małego Belga. Wciąż brakowało mu

ostatniego ogniwa, o którym tyle mówił. Osobiście cieszyłem się z tej racji, bo jak wyglądałoby szczęście Mary, gdyby jej mąż nie został uniewinniony.

Piętnastego września John Cavendish zasiadł na ławie oskarżonych pod zarzutem: „Morderstwo z premedytacją na osobie Emilii Inglethorp”. Na początku rozprawy nie przyznał się do winy.

Obrony podjął się słynny radca dworu, sir Ernest Heavywether.

Oskarżenie reprezentował pan Philips.

Rozpoczynając powiedział, że morderstwo było najstaranniej obmyślane i dokonane z zimną krwią. W grę wchodzi przecież podstępne otrucie życzliwej i ufnej kobiety przez pasierba, dla którego była więcej niż matką. Od dzieciństwa utrzymywała oskarżonego, który następnie wraz z żoną żył dostatnio w Styles Court na koszt hojnej dobrodziejki.

- Powołani świadkowie stwierdzą, że ów truciciel - marnotrawca i rozpustnik - popadł w trudności materialne i co gorsza utrzymywał występne stosunki z niejaką panią Raikes, żoną okolicznego farmera. Wiadomość o tym związku dotarła do ofiary, która w przeddzień zgonu zgromiła pasierba. Wynikła między nimi gwałtowna sprzeczka, którą przypadkowo podsłuchano. Poprzedniego dnia oskarżony zakupił strychninę w miejscowej aptece, a chcąc rzucić podejrzenie na niewinnego człowieka, dokonał sprawunku ucharakteryzowany na męża pani Inglethorp, do którego żywił liczne urazy. Na szczęście pan Inglethorp mógł przedstawić alibi nie do obalenia.

- Po południu siedemnastego lipca - ciągnął rzecznik oskarżenia - już po kłótni z pasierbem, pani Inglethorp sporządziła testament. Szczątki tego dokumentu odnaleziono nazajutrz w kominku w pokoju zmarłej, istnieją jednak dowody, że głównym spadkobiercą uczyniła swojego małżonka.

Pani Inglethorp sporządziła już testament identycznej treści przed zawarciem związku małżeńskiego, ale - tu pan Philips wymownie uniósł palec wskazujący - oskarżony nie był tego świadom. Niepodobna wyjaśnić, co skłoniło ją do ponownego wyrażenia ostatniej woli, skoro taki dokument

istniał. Osoba w podeszłym wieku mogła o dawnym testamencie zapomnieć albo mniemać, że unieważnił go fakt zawarcia związku

małżeńskiego. Drugi domysł wydaje się bardziej prawdopodobny, gdyż w przeddzień prowadzono w Styles Court rozmowę na zbliżony temat. Ogólnie biorąc, kobietom obca jest wiedza prawnicza. Ale to nie wszystko. Mniej więcej przed rokiem pani Inglethorp sporządziła testament na korzyść oskarżonego. Powołani przeze mnie świadkowie stwierdzą, że to on ostatecznie podał macosze kawę krytycznego wieczora. Nieco później przyszedł do sypialni macochy i wówczas niewątpliwie znalazł

sposobność, aby nowy testament zniszczyć i jak mu się wydawało, przywrócić moc prawną dawniejszemu. Aresztowanie nastąpiło w rezultacie ważnego odkrycia. Inspektor Japp, niezwykle uzdolniony oficer

policii, znalazł w pokoju oskarżonego fiolkę po strychninie, taką dokładnie, jaką rzekomy pan Inglethorp zakupił dwa dni wcześniej w lokalnej aptece. Do ławy przysięgłych należy osądzenie, czy te obciążające fakty świadczą niezbicie o winie Johna Cavendisha.

Pan Philips zakończył przemówienie subtelną aluzją, że werdykt nie powinien nastroczać wątpliwości, co uczyniwszy usiadł i otarł zroszone potem czoło.

Pierwsi świadkowie zeznawali w takim mniej więcej porządku jak podczas rozprawy u koronera. Rozpoczęli lekarze.

Sir Ernest Heavywether, znany w całej Anglii z bezlitosnego nękania świadków, ograniczył się do dwu pytań.

- Strychnina należy do trucizn szybko działających. Czy tak, panie doktorze Bauerstein?

- Tak.

- I nie potrafi pan wyjaśnić powodów opóźnienia skutków?

- Nie potrafię.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Młody Mace poznał fiolkę, którą podał mu oskarżyciel. Ją właśnie sprzedał w miejscowej aptece „panu Inglethorpowi”. Na dalsze pytania odpowiedział, że pana Inglethorpa znał tylko z widzenia i nigdy z nim nie rozmawiał. Obrona nie miała pytań.

Alfred Inglethorp oświadczył stanowczo, że nie zakupił strychniny ani też nie sprzeczał się z żoną. Kilku dalszych świadków potwierdziło prawdziwość jego słów. Po ogrodnikach, którzy mówili o podpisaniu testamentu, na trybunie stanęła Dorcas.

Wierna swoim „paniczom” twierdziła, wbrew wszystkim i wszystkiemu, że nie poznała głosu Johna Cavendisha, a pani Inglethorp mogła kłócić się w buduarze jedynie ze swoim mężem. Podsądny uśmiechnął się z ławy oskarżonych, bo dobrze zdawał sobie sprawę, jak bezcelowa jest ofiara zacnej Dorcas. Obrona nie zamierzała kwestionować sprzeczek Johna z macochą, a oskarżyciel nie mógł wymagać, by pani Cavendish zeznawała przeciwko mężowi.

Po wielu pytaniach w innych kwestiach pan Philips powiedział:

- Czy świadek przypomina sobie, że w czerwcu nadeszła pod adresem pana Lawrence’a Cavendisha paczka nadana przez firmę Parkson?

- Nie przypominam sobie. Możliwe. Ale pana Lawrence’a nie było w czerwcu przez jakiś czas w domu.

- A co stałoby się z paczką, gdyby nadeszła podczas jego nieobecności?

- Albo by się ją preadresowało, albo zaniósł do pokoju pana Lawrence’a.

- Kto by to zrobił? Pani?

- Nie, proszę pana. Ja zostawiłabym paczkę na stole w hallu. Poczta zajmowała się panna Howard.

Kolejny świadek - Ewelina Howard - odpowiedziała na szereg pytań.

Wreszcie pan Philips podjął kwestię paczki.

- Nie przypominam sobie - odrzekła. - Tyle paczek przychodzi. Trudno akurat jedną zapamiętać.

- Nie wie pani, czy tę paczkę przesłano do Walii, czy odniesiono do pokoju pana Cavendisha?

- Myślę, że paczki nigdzie nie przesłano. O tym pamiętałabym chyba.

- Przypuśćmy, że taka paczka nadeszła, a następnie zniknęła z hallu. Czy jej brak zwróciłby pani uwagę?

- Nie sędzę. Myślałabym, że ktoś się paczką zajął.

- O ile mi wiadomo, panno Howard, pani znalazła ten arkusz papieru pakowego - oskarżyciel pokazał zakurzony arkusz, który w swoim czasie oglądaliśmy z Poirotem w małym saloniku w Styles Court.

- Tak.

- Czy go pani szukała?

- Tak.

- Dlaczego?

- Prosił mnie o to belgijski detektyw, który zajmował się sprawą.

- Gdzie pani znalazła, papier?

- Na szafie, proszę pana.

- Na szafie oskarżonego?

- Czy ja... Tak... Tak mi się zdaje.

- Sama pani znalazła papier?

- Tak.

- Więc musi pani pamiętać gdzie.

- Znalazłam go na szafie oskarżonego.

- Dziękuję.

Pracownik firmy Parkson stwierdził, że dwudziestego dziewiątego

czerwca nadana została pod adresem pana L. Cavendisha paczka

zawierająca czarną brodę. Do listownego zamówienia był dołączony czek pocztowy. List nie został zachowany, ale transakcja figuruje w księgach. Paczka była adresowana do pana L. Cavendisha w Styles Court.

Sir Ernest Heavywether powstał zamaszyście.

- Skąd nadeszło zamówienie?

- Ze Styles Court.

- Adres nadawcy odpowiadał zatem adresowi, pod który paczka została następnie wysłana?

- Tak.

- I list stamtąd nadszedł?

- Tak.

- Skąd pan wie? - Heavywether rzucił się na świadka niczym drapieżny

ptak.

- Ja... ee... Nie rozumiem pytania.

- Skąd pan wie, że list nadszedł ze Styles? Widział pan stempel pocztowy?

- Nie widziałem, ale...

- Aha! Nie widział pan stempla pocztowego! Mimo to twierdzi pan lekkomyślnie, że list nadszedł ze Styles. Czy na kopercie mógł być każdy

inny stempel pocztowy?

- Ee... Chyba tak...

- Innymi słowy, list mógł być nadany gdziekolwiek, choć napisano go na papierze z nadrukiem Styles Court? Na przykład ad w Walii? Czy tak?

wiadek przyznał słuszność obrońcy, ten zaś oznajmił, że nie ma więcej pytań, i usiadł zadowolony z siebie.

Elżbieta Wells, pokojówka ze Styles Court, zeznała, że kiedy położyła się do łóżka, przypomniała sobie, że zaryglowała frontowe drzwi, chociaż pan Inglethorp mówił, żeby zamknąć je tylko na zatrask. Wobec tego wstała i zeszła na parter. Wracając usłyszała szmer w prawym skrzydle,

więc spojrzała w głąb korytarza i zobaczyła, że pan John Cavendish stuka do drzwi sypialni pani Inglethorp.

Sir Ernest Heavywether krótko rozprawił się ze świadkiem. Pod ciosami jego pytań dziewczyna zmieszała się, zaczęła sobie przeczyć. I tym razem obrońca usiadł z pogodnym uśmiechem na twarzy.

Pokojówka Annie stwierdziła, że widziała, jak oskarżony niósł filiżankę kawy do buduaru pani Inglethorp. Mówiła też o stearynowej plamie na podłodze. Po jej zeznaniach przewód dowodowy zawieszono do dnia następnego.

W drodze do domu Mary Cavendish skarżyła się gorzko na rzecznika oskarżenia.

- Okropny człowiek! W jaką sieć uwikłał mojego biedaka. Jak nagiął rozmaite drobne fakty tak, by odpowiadały jego celom.

- Jutro odmieni się wszystko - powiedziałem krzepiącym tonem.

- Zapewne... - przyznała bezwiednie i dodała zniżonym głosem: - Proszę pana, chyba pan nie sądzi... Nie! To nie mógł być Lawrence! Wykluczone!

Czułem się niepewnie, kiedy więc zostałem w cztery oczy z Poirotem, zapytałem, ku czemu, jego zdaniem, zmierza sir Ernest Heavywether.

- O, to sprytna sztuka! - orzekł z uznaniem mój przyjaciel.

- Jak sądzisz? Czy on myśli, że to Lawrence?

- Wcale się nad tym nie zastanawia! Ku czemu zmierza? Chce wytworzyć w głowach przysięgłych taki zamęt, żeby podzieliły się opinie na temat, który to z braci. Chce wykazać, że

przeciwko Lawrence'owi i Johnowi jest akurat tyle samo poszlak i, słowo daję, nie wykluczam wcale, że postawi na swoim.

Inspektor Japp, pierwszy świadek po wznowieniu rozprawy, zeznawał zwięźle i przejrzysto. Zrelacjonował uprzednie wydarzenia, a następnie ciągnął:

- Zgodnie z uzyskanymi informacjami udaliśmy się z nadinspektorem Summerhaye'em do pokoju oskarżonego i korzystając z jego chwilowej nieobecności przeprowadziliśmy rewizję. W jednej z szuflad komody znaleźliśmy pod stosem podkoszulków te okulary, (dowód rzeczowy został okazany przysięgłym), okulary w złotej oprawie, bardzo podobne do noszonych przez pana Inglethorpa, oraz fiolkę.

Małeńki szklany słoiczek - rozpoznany już przez pomocnika aptekarskiego - zawierał biały proszek o charakterze krystalicznym i był opatrzony etykietą z napisem: *Strichninum hydrochloricum. Trucizna.*

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Zupełnie świeżym dowodem rzeczowym, zdobytym przez detektywów

już po rozprawie w sądzie policyjnym, był podłużny arkusik prawie nie używanej bibuły. Znaleźli go w książeczce czekowej denatki. Posługując

się lustrem można było na nim odczytać urywek zdania: „...kim, co przynależŚ ne zapisuję na własność ukochanemu mężowi Alfredo...”.

wiadczyło to niezbitcie, że ostatni testament pani Inglethorp ustanawiał generalnym spadkobiercą jej małżonka. Następnie Japp okazał sądowi nadpalony skrawek formularza oraz znaną na poddaszu czarną brodę. Na tym zakończył zeznania. Ale sir Ernest Heavywether nie zrezygnował z pytań.

- Którego dnia odbyła się rewizja w pokoju oskarżonego?

- We wtorek, dwudziestego czwartego lipca.

- Dokładnie w tydzień po morderstwie?

- Tak.

- Dwa okazane dowody znaleźli panowie w szufladzie komody. Czy szuflada była zamknięta na klucz?

- Nie.

- Czy nie wydaje się panu dziwne, że ktoś, kto popełnił zbrodnię, przechowuje jej dowody w otwartej szufladzie, do której każdy może znaleźć dostęp?

- Zapewne, ale...

- Tu nie ma żadnych „ale”! Czy morderca miałby dość dużo czasu, by dowody zbrodni ukryć albo zniszczyć? Tak lub nie!

- Tak.

- Czy podkoszulki, pod którymi spoczywały omawiane dowody, były grube czy cienkie?

- Dosyć grube.

- Innymi słowy, zimowe. A więc można się było spodziewać, że oskarżony przez długi czas nie zajrzy do szuflady.

- Na to by wyglądało.

- Zechce pan odpowiadać wyraźnie. Czy można się było spodziewać, że w czasie upalnego lata oskarżony zajrzy do szuflady zawierającej ciepłe podkoszulki? Tak lub nie?

- Nie.

- A zatem czy istnieje możliwość, że osoba trzecia podrzuciła tam omawiane przedmioty, a oskarżony nie wiedział o ich obecności?

- To mało prawdopodobne.

- Ale możliwe?

- Tak.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Nastąpiły zeznania innych świadków: odnośnie trudności finansowych, w jakich oskarżony znajdował się pod koniec lipca, odnośnie jego stosunków z panią Raikes. Biedna Mary! To musiało być przejście dla osoby tak dumnej. Ewelina Howard wiernie powtórzyła fakty, ale nieprzejednana wrogość wobec Alfreda Inglethorpa skłoniła ją do wniosku, że mimo wszystko on popełnił zbrodnię.

Następnie Lawrence Cavendish zajął miejsce na trybunie świadków.

Zeznał cichym, spokojnym głosem, że nie zamawiał niczego w firmie Parkson, a dwudziestego dziewiątego czerwca był w Walii.

Sir Ernest Heavywether przybrał wojowniczy wyraz twarzy.

- Twierdzi pan, że dwudziestego dziewiątego czerwca nie zamówił pan czarnej brody w firmie Parkson?

- Twierdzę stanowczo.

- Aha... A w razie gdyby się coś złego przytrafiło pańskiemu bratu, kto odziedziczy posiadłość Styles Court?

Brutalne pytanie wywołało lekki rumieniec świadka. Przewodniczący sądu pozwolił sobie na dyskretny pomruk dezaprobaty. Oskarżony zrobił

wyraźnie niezadowoloną minę.

Ale sir Ernest nie zwykł dbać o dasy swoich klientów. Nacierał dalej.

- Zechce pan odpowiedzieć na pytanie.

- Wydaje mi się - odrzekł spokojnie Lawrence - że ja odziedziczyłbym Styles Court.

- Jak to „wydaje mi się”? Pański brat nie ma dzieci. Pan dziedziczy po nim Styles Court. Tak lub nie!

- Tak.

- Dziękuję. To brzmi lepiej - podjął obrońca drapieżnie. - Dostałyby się też panu grube pieniądze, prawda?

- Doprawdy, sir - zaproponował sędzia - to są pytania nie na temat.

Sir Ernest skłonił się i umilkł. Tak czy inaczej, dowiedział się, czego chciał.

- O ile mi wiadomo - podjął - we wtorek, siedemnastego lipca, był pan w towarzystwie znajomego w aptece Szpitala Czerwonego Krzyża w Tadminster?

- Tak.

- Na chwilę został pan sam. Czy w tym czasie otwierał pan szafkę zawierającą trucizny i dotykał jakichś pojemników?

- To... to mogło się zdarzyć.

- Utrzymuję stanowczo, że się zdarzyło!

- Tak.

- Czy zainteresował pana szczególnie jeden, określony słoik? - wystrzelił sir Ernest Heavywether.

- Nie... Nie sądzę...

- Zechce pan uważać pilnie, panie Cavendish. Mam na myśli mały słoiczek zawierający chlorowodorek strychniny.

Lawrence pobladł widocznie.

- Nie... Takiego słoiczka z pewnością nie dotykałem.

- Jak w takim razie wyjaśni pan fakt, że pozostały na nim odciski niewątpliwie pańskich palców?

Brutalne metody sir Ernesta były szczególnie skuteczne wobec osób o nerwowym usposobieniu.

- Zapewne... Sądzę, że chyba wziąłem do ręki ten słoiczek.

- Ja też tak sądzę! Czy wziął pan również część zawartości słoiczka?

- Nie! Z całą pewnością!

- Dlaczego zatem sięgnął pan po słoik?

- W swoim czasie studiowałem medycynę. Interesują mnie takie rzeczy.

To zrozumiałe.

- Zrozumiałe, że interesują pana trucizny? Ale czekał pan, aż pan zostanie sam, aby zaspokoić swoje zainteresowanie?

- To był zbieg okoliczności. Tak samo postąpiłbym wobec świadków.

- Ale zbiegiem okoliczności świadków nie było w aptece, prawda?

- Tak, ale...

- Innymi słowy, w ciągu całego popołudnia był pan sam nie dłużej niż dwie minuty i właśnie wtedy pofolgował pan zrozumiałemu zainteresowaniu dla chlorowodoru strychniny? Uważa pan to za zbieg okoliczności. Powtarzam: zbieg okoliczności.

- Przecież... ja... - począł jąkać się bezradnie Lawrence.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Sir Ernest Heavywether miał szczególnie zadowoloną minę.

Ostatni fragment przewodu wywołał ożywienie. Szykownie ubrane damy jeły pochylać się ku sobie. Szepty zabrzmiały tak głośno, że sędzia nakazał ciszę pod groźbą natychmiastowego wyproszenia publiczności z sali.

Nastąpiły dalsze zeznania. Biegli grafolodzy wyrazili opinię co do podpisu Alfreda Inglethorpa w aptecznej księdze trucizn. Jednomyślnie orzekli, że podpisu nie złożył Inglethorp i że może to być celowo zmieniony charakter pisma oskarżonego. Pod naciskiem obrony przyznali, że podpis mógł być też sfalszowany w taki sposób, by naśladował charakter pisma oskarżonego.

Przemówienie obrońcy nie trwało długo, lecz zostało wypowiedziane z

należyta emfazą.

- Nigdy, w trakcie mojej długiej praktyki, nie napotkałem oskarżenia o morderstwo spoczywającego na równie wątpliwych podstawach dowodowych - mówił sir Ernest Heavywether. - Opiera się ono wyłącznie na poszlakach, poszlakach w znacznej części wysoce wątpliwych. Zastanówmy się nad złożonymi zeznaniami i spróbujmy rozpatrzeć je bezstronnie. Strychninę znaleziono w szufladzie w pokoju oskarżonego. Szuflada była nie zamknięta. Zwracam uwagę na ten fakt i na inny - że nie istnieją dowody, by oskarżony schował tam słoik zawierający truciznę. Mogła to zrobić nieznana osoba trzecia chcąc w złośliwy i podstępny sposób skierować podejrzenia przeciwko mojemu klientowi. Cień dowodu nie popiera twierdzenia, że oskarżony zamówił czarną brodę w firmie Parkson. Nie przeczę bynajmniej, że miała miejsce sprzeczka pomiędzy nim a jego macochą. Nie neguję też kłopotów finansowych mojego klienta. Ale obie te kwestie zostały w rażący sposób przesadzone.

- Mój uczony kolega - sir Ernest skinął niedbale głową w kierunku pana Philipsa - wywodził, że gdyby oskarżony nie poczuwał się do winy, zeznałby otwarcie podczas rozprawy u koronera, że on, nie pan Inglethorp,

wywołał rzeczoną sprzeczkę. Jednakże mój uczony kolega mylnie zinterpretował fakty. Jak rzecz miała się istotnie? We wtorek wieczorem oskarżony wrócił do domu, gdzie powiedziano mu z całym przekonaniem, że gwałtowna sprzeczka między panią Inglethorp a jej mężem miała

miejsce minionego popołudnia. Oczywiście oskarżonemu nie przyszło na myśl, że ktoś mógł wziąć jego głos za głos pana Inglethorpa. Stąd zrozumiały wniosek: Pani Inglethorp odbyła kolejno dwie kłótnie.

Rzecznik oskarżenia twierdzi, że w poniedziałek, szesnastego lipca, mój klient wszedł do miejscowej apteki ucharakteryzowany na pana Inglethorpa. W tym czasie jednak oskarżony znajdował się na pustkowiu zwanym Marston's Spinney. Udał się tam wezwany anonimowym listem, w którym nieznany szantażysta groził, że poinformuje o pewnych sprawach panią Cavendish, jeżeli jej mąż nie stawi się na spotkanie. Mój klient poszedł tam i po daremnym dwugodzinnym oczekiwaniu wrócił do domu. Niestety nie spotkał po drodze nikogo, kto mógłby potwierdzić prawdę jego zeznań. Na szczęście zachował anonim i list ów może być okazany jako dowód.

Jeżeli chodzi o zniszczenie testamentu, nie wolno zapominać, że oskarżony ukończył studia prawnicze, a zatem doskonale zdawał sobie

sprawę, iż testament sporządzony na jego korzyść przed rokiem utracił moc prawną z chwilą zawarcia przez testatorkę ponownego związku małżeńskiego. Podejmuję się udowodnić, kto ów testament zniszczył, co bez wątpienia może rzucić na całokształt sprawy światło zupełnie odmienne.

Kończąc przemówienie obrońca pozwolił sobie zwrócić uwagę ławy przysięgłych, że istnieją poszlaki niekorzystne dla innych osób. Podkreślił, że podejrzenia wobec Lawrence'a Cavendisha są w równym, jeżeli nie

wyższym stopniu uzasadnione, jak wszystko, co rzekomo obciąża jego brata.

Z kolei sir Ernest powołał oskarżonego w charakterze świadka.

John zachowywał się na trybunie bardzo dobrze. Pod wprawnym kierunkiem obrońcy zeznawał jasno i przekonywająco. Anonim został przedstawiony i wręczony przysięgłym celem oględzin. Szczerść, z jaką John przyznał się do trudności finansowych i do kłótni z macochą, przydała wagi jego stanowczym zaprzeczeniom.

Po przesłuchaniu oskarżony umilkł na moment, aby wnet podjąć:

- Jedno pragnę wyjaśnić ponad wszelką wątpliwość. Stanowczo przeczę zarzutom, które sir Ernest Heavywether kierował pod adresem mojego brata. Jestem głęboko przekonany, że Lawrence nie popełnił zbrodni, tak samo jak ja jej nie popełniłem.

Sir Ernest Heavywether uśmiechnął się tylko, gdyż bystrym okiem spostrzegł, jak korzystne wrażenie wywarły ostatnie słowa. Przyszła kolej na pytania oskarżyciela.

- Twierdzi pan, że nie przyszło panu na myśl, aby świadkowie zeznający podczas rozprawy u koronera mogli wziąć pański głos za głos pana Inglethorpa. Czy to nie dziwne?

- Nie. Powiedziano mi o kłótni między moją matką a jej mężem. Skąd mogłem wiedzieć, że takiej kłótni nie było? Nie przyszło mi to na myśl.

- Nawet kiedy pokojowa Dorcas powtórzyła fragmenty sprzeczki, które musiał pan poznać?

- Nie poznałem ich.

- Widocznie ma pan szczególnie krótką pamięć.

- Nie. Ale podczas sprzeczki obydwójce byliśmy bardzo wzburzeni. Z pewnością powiedzieliśmy więcej, niż należało. W zdenerwowaniu prawie nie słuchałem słów matki.

Pan Philips w mistrzowski sposób pociągnął nosem na znak niedowierzania i gładko przeszedł do sprawy anonimu.

- List nadszedł w samą porę. Czy nie przypomina panu jakiegoś znajomego charakteru pisma?

- Nie.

- Czy nie sądzi pan, że pismo jest podobne do pańskiego charakteru, i to celowo zmienionego?

- Nie sądzę.

- Twierdzą, że pragnąc zdobyć alibi wymyślił pan mało prawdopodobną bajkę i własnoręcznie napisał anonim celem jej poparcia.

- Nie.

- Czy prawdą jest, że w czasie, kiedy rzekomo czekał pan w odosobnionym i mało uczęszczanym miejscu na autora anonimu, rzeczywiście wszedł pan do apteki w Styles i podając się za Alfreda Inglethorpa zakupił strychninę?

- Nie. To kłamstwo.

- Twierdzą, że w ubraniu pana Inglethorpa i z czarną brodą, przyszywaną podobnie jak jego broda, był pan w aptece i wpisał pan jego nazwisko do księgi trucizn.

- To nieprawda.

- Wobec tego oddaj ę pod rozwagę ławy przysięgłych wyraźne podobieństwo charakteru pisma w trzech przypadkach. Mam na myśli list anonimowy, księgę trucizn i pańskie normalne pismo.

Pan Philips usiadł z miną człowieka, który chlubnie spełnił obowiązek, lecz jest wstrząśnięty ujawnieniem tak bezczelnego krzywoprzysięstwa.

Wobec spóźnionej pory sędzia zarządził przerwę do poniedziałku.

Spostrzegłem, że Poirot ma dziwnie pochmurną minę, a nad jego oczyma rysuje się dobrze mi znana zmarszczka.

- Co się stało? - zapytałem.

- Sprawy wyglądają niedobrze, *mon ami*, bardzo niedobrze.

Uradowałem się skrycie. Widocznie istnieją możliwości werdyktu uniewinniającego.

W domu mały Belg nie przyjął zaproszenia Mary na herbatę.

- Stokrotnie dziękuję, *madame*. Pójdę prosto do siebie na górę.

Pospieszyłem za nim. Mój przyjaciel wyjął z szuflady biurka talięmałych kart pasjansowych, przysunął krzesło do stołu i ku mojemu

osłupieniu z całą powagą jął budować domki z kart.

Z podziwu otworzyłem usta, co widząc powiedział zaraz:

- Nie, *mon ami*. Nie zdiecinniałem do reszty. Po prostu chcę uspokoić nerwy. To zajęcie wymaga precyzyjnego działania palców, a to z kolei wpływa na precyzję pracy mózgu. Rozumiesz? A to jest mi dziś potrzebne bardziej niż kiedykolwiek w życiu!

- Co cię gnębi?

Poirot zmiótł wielkim palcem wzniesioną pracownicę budowlę.

- To, *mon ami*, że potrafię zbudować siedmiopiętrowy domek z kart, ale nie potrafię... - powtórnie zniszczył swoje dzieło - nie potrafię znaleźć ostatniego ogniwa, o którym ci już mówiłem.

Nic nie mogłem na to odpowiedzieć, więc zachowałem milczenie, a on

sięgnął znowu po karty i budując nowy domek mamrotał do siebie:

- To się tak robi... O! Jedna karta... O!... Na nią druga... Tak... Z precyzją... z matematyczną precyzją.

Patrzyłem na rosnące pod ręką przyjaciela piętra. Nie namyślał się, nie wahał. Jego budownictwo zakrawało na magiczną sztuczkę.

- Zdumiewająca pewność ruchów - odezwałem się wreszcie. - Jak mi się zdaje, tylko raz widziałem, że ci ręka drgnęła.

- Widocznie byłem wtedy szczególnie zdenerwowany - odrzekł spokojnie.

- Naturalnie. Byłeś bliski furii. Pamiętasz? Zauważyłeś, że ktoś wyłamał zamek w teczce pani Inglethorp. Działo się to w jej sypialnym pokoju. Podeszedłeś do kominka i zacząłeś robić porządek na półce. Ale ręka drżała ci jak liść. Można powiedzieć...

Urwałem, gdyż Poirot wrzasnął potężnie, jeszcze raz zburzył własne arcydzieło, zasłonił oczy dłońmi i jał kołysać się w tył i do przodu, jak gdyby go chwyciły boleści.

- Na Boga! - zawołałem. - Co ty wyprawiasz, Poirot? Zachorowałeś?

- Nie... Nie... - wyjąkał z trudnością. - Nie... o to... chodzi... Pomysł!... Mam pomysł!

- Aha! - podjąłem kompletnie uspokojony. - Jeden z twoich „drobnych pomysłów”.

- Nie! Tym razem gigantyczny! Pomysł nieporównany! I ty mi go podsunąłeś... Ty, mój przyjacielu!

Z tymi słowy porwał mnie w ramiona, ucałował gorąco w oba policzki i nim zdążyłem ochłonać ze zdumienia, wybiegł z pokoju.

Niemal jednocześnie stanęła w drzwiach Mary Cavendish.

- Co się stało? Pan Poirot minął mnie galopem krzycząc: „Garaż! Na miłość boską, *madame!* Gdzie jest garaż?” No i nim zdążyłam

odpowiedzieć, wybiegł na ulicę.

Wyjrzałem przez okno. Istotnie, mały Belg cwałował środkiem jezdni. Był bez kapelusza, mówił coś do siebie, zawzięcie gestykulował. Bezradnie rozłożyłem ręce.

- Zatrzyma go pierwszy policjant - westchnąłem. - Aha! Już! Przepadł. Zniknął za rogiem ulicy.

Wymownie spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Co go napadło? - zapytała Mary.

- Nie mam pojęcia. Budował domki z kart. Nagle wrzasnął, że ma pomysł, i uciekł, jak to pani sama widziała.

- Mam nadzieję, że odnajdzie się przed wieczorem.

Jednakże zapadła noc, a Poirot nie wracał.



XII.

OSTATNIE OGNIWO

Bardzo intrygowało mnie nagłe zniknięcie małego Belga. Niedziela mijała, a on nie pojawiał się nadal. Dopiero około trzeciej po południu donośny, długi ryk klaksonu zwabił nas wszystkich do

okien. Zobaczyliśmy mojego przyjaciela, który wysiadał z samochodu w towarzystwie Jappa i Summerhaye'a. Był odrodzony. Promieniał. Z przesadną galanterią złożył ukłon Mary.

- *Madame* - przemówił - pozwoli pani urządzić w salonie małe zebranko? Bardzo wskazana obecność wszystkich domowników.

- Pan ma *carte blanche* pod każdym względem - uśmiechnęła się smutno pani Cavendish.

- Niezmiernie pani łaskawa, *madame* - odrzekł dwornie Poirot.

Coraz bardziej zadowolony z siebie, gromadził całe towarzystwo w salonie i w należyтым porządku ustawiał krzesła.

- Panna Howard tutaj... O tak! Panna Cyntia... Pan Lawrence. Poczciwa Dorcas. Jest także Annie. *Bien!* Zaczekajmy kilka minut na pana Inglethorpa. Wysłałem do niego bilecik.

Ewelina Howard poderwała się z miejsca.

- Jeżeli pokaże się ten człowiek, ja wyjdę - oznajmiła.

- Nie, nie, droga pani - zaprotestował Poirot i podszedłszy do niej zaczął jej coś perswadować przyciszonym głosem.

Ostatecznie energiczna niewiasta ustąpiła i usiadła ponownie. W parę minut później Alfred Inglethorp wkroczył do salonu.

Znaleźliśmy się w komplecie, więc Poirot wstał z miną popularnego mówcy, skłonił się i rozpoczął:

- *Messieurs, mesdames!* Jak państwu wiadomo, pan John Cavendish

zlecił mi dochodzenie w tej bolesnej sprawie. Natychmiast zbadałem pokój

zmarłej, który został zamknięty przez lekarzy, a zatem przedstawiał się tak samo, jak w tragicznym momencie. Znalazłem tam: po pierwsze strzępek zielonej tkaniny; po drugie wilgotną jeszcze plamę na dywanie w pobliżu okna; po trzecie próżne pudełko po proszkach nasennych zawierających brom.

Najprzód zajmiemy się strzępką zielonej tkaniny zaplątaną w

zasuwę u drzwi łączących pokój pani Inglethorp i *mademoiselle* Cyntii. Dowód ten przekazałem władzom policyjnym, nie wzbudził jednak zainteresowania. Nie rozpoznano, że jest to strzępek zielonego naramiennika od drelichowej bluzy Pomocniczej Służby Rolnej.

W salonie nastąpiło lekkie poruszenie.

- Pośród domowników tylko jedna osoba nosi taki mundur: pani Cavendish. Stąd wniosek, że pani Cavendish musiała wejść do sypialni

zmarłej przez pokój panny Cyntii.

- Przecież drzwi były zaryglowane od środka - wtrąciłem.

- Były - przyznał Poirot - kiedy badałem sypialnię. A uprzednio? Uwierzyliśmy na słowo pani Cavendish, bo właśnie ona tamte drzwi sprawdzała. Wśród zamieszania, jakie wynikło później,

miała aż za dużo czasu, by rygiel zasunąć. Zdążyłem swoje wnioski udokumentować. Przede wszystkim strzępek zielonej tkaniny odpowiada ściśle rozdarciu na naramienniku bluzy pani Cavendish. Po drugie: w czasie rozprawy u koronera pani Cavendish twierdziła, że w swoim pokoju słyszała upadek stolika nocnego przy łóżku świekry. Zweryfikowałem to zeznanie. W jaki sposób? Mojego przyjaciela, pana Hastingsa, umieściłem na posterunku w lewym skrzydle domu, tuż obok drzwi pokoju pani Cavendish. Sam poszedłem z detektywami do sypialni zmarłej i niby to przypadkiem przewróciłem stolik, o którym mowa. Jak przewidywałem, pan Hastings nic nie słyszał. Potwierdziło to moje przypuszczenie, że pani Cavendish skłamała mówiąc, że w krytycznym momencie ubierała się w swoim pokoju. Moim zdaniem w chwili podniesienia alarmu musiała znajdować się w sypialni pani Inglethorp.

Spod oka zerknąłem na Mary. Była bardzo blada, lecz uśmiechnięta.

- Jak przedstawiał się tok mojego rozumowania? - ciągnął Poirot. - Pani Cavendish jest w pokoju świekry. Powiedzmy szuka czegoś i jeszcze nie znalazła. Nagle pani Inglethorp budzi się, dostaje gwałtownych bólów. Wyciąga rękę i przewraca nocny stolik. Później zaczyna rozpaczliwie dzwonić. Pani Cavendish jest przerażona. Upuszcza świecę i na dywanie zostawia stearynową plamę. Podnosi świecę, ucieka do pokoju panny Cyntii, zamyka za sobą drzwi. Nie chce oczywiście, by zastała ją tam

szufla. Wygląda na korytarz. Niestety, jest za późno! Słychać kroki w galerii łączącej skrzydła domu. Co robi pani Cavendish? Szybko wraca do pokoju panny Cyntii, zaczyna ją budzić. Tymczasem zbiegają się, wyrwani ze snu domownicy. Są w korytarzu. Szturmują drzwi sypialni pani Inglethorp. Nikomu nie przychodzi na myśl, że pani Cavendish nie nadbiegła z innymi. Ale (to bardzo znamienne) nie znalazłem nikogo, kto by ją widział w drodze z lewego skrzydła - znacząco spojrział na Mary. - Czy mam słuszość, *madame*?

- Najzupełniejszą - Mary skinęła głową. - Naturalnie, nie milczałabym, gdyby ujawnienie moich przygód mogło pomóc mężowi. Wiedziałam jednak, że nie wpłyną one w żadnym stopniu na kwestię ustalenia jęgo winy lub niewinności.

- Poniekąd tak, *madame* - odrzekł mały Belg. - Ale znajomość tych wydarzeń uwolniła mnie od wielu błędnych koncepcji i pozwoliła na właściwą ocenę innych, naprawdę ważnych faktów.

- Testament! - zawołał nagle Lawrence. - Ty go zniszczyłaś, Mary?

Pani Cavendish i Poirot zaprzeczyli jednocześnie ruchem głowy.

- Nie - powiedział mój przyjaciel. - Mogła to zrobić tylko jedna osoba: sama pani Inglethorp.

- Niepodobna! - obruszyłem się. - Przecież sporządziła testament tego samego popołudnia!

- Mimo to, *mon ami*, ona go zniszczyła. Inaczej niepodobna wyjaśnić,

dłaczego w jeden z najbardziej upalnych dni lata kazała napalić w swoim pokoju w kominku.

Dech mi zaparło. Banda kretynów! Nikogo z nas nie zdziwił ogień na kominku tak nie w porę!

- Temperatura tamtego dnia - ciągnął Poirot - sięgała trzydziestu stopni w cieniu. Jednakże pani Inglethorp potrzebny jest ogień. Dlaczego? Bo chce coś zniszczyć i nie widzi innego sposobu.

Proszę pamiętać, że wobec stosowanych w Styles Court oszczędności wojennych zbierano makulaturę. Nie było więc sposobu pozbycia się papieru tak grubego jak formularz testamentu. Kiedy się dowiedziałem o ogniu w pokoju zmarłej, od razu wpadłem na pomysł, że chodziło jej o spalenie ważnego dokumentu. Mógł to być testament. Odkrycie nadpalonego świstka w popiele nie zaskoczyło mnie wcale. Oczywiście nie wiedziałem wtedy, że testament został

sporządzony we wtorek po południu. Skoro usłyszałem o tym, przyznaję, popełniłem wielki błąd. Wywnioskowałem, że pani Inglethorp postanowiła zniszczyć testament w konsekwencji wiadomej kłótni, a zatem kłótnia musiała mieć miejsce po, nie przed spisaniem ostatniej woli. Myliłem się, jak wiadomo, i chcąc nie chcąc musiałem odstąpić od tej koncepcji. Rozpocząłem od nowa. O czwartej po południu Dorcas podsłuchiwała wypowiedziane wzburzonym tonem słowa swojej pani: „Nie wyobrażaj sobie, że złękę się rozgłosu, skandalu małżeńskiego”. Rozumowałem, i rozumowałem słusznie, że John Cavendish, nie pan Inglethorp, był adresatem tego zdania. O piątej, w godzinę później, pani Inglethorp powiedziała Dorcas coś bardzo podobnego, lecz różnego zarazem. „Nie wiem, co robić. Skandal małżeński to coś strasznego”. O czwartej

panowała nad sobą mimo irytacji. O piątej była kompletnie załamana. Przyznała nawet, że przeżyła wielki wstrząs.

Wychodząc z założeń psychologicznych, sformułowałem wniosek, że drugi „skandal” nie miał nic wspólnego z pierwszym i dotyczył bezpośrednio pani Inglethorp. Jeszcze raz spróbujmy odtworzyć wydarzenia. O czwartej pani Inglethorp ma sprzeczkę z pasierbem i grozi, że o pewnych sprawach poinformuje jego żonę, która, nawiasem mówiąc, słyszy znaczną część rozmowy. Pani Inglethorp przypomina sobie niedawną rozmowę na temat mocy prawnej testamentu, więc w pół do piątej spisuje ostatnią wolę na korzyść męża i na świadków wzywa dwóch ogrodników. O piątej do pokoju wchodzi Dorcas. Zastaje swoją panią w stanie niezwykłego wzburzenia, z jakimś „papierem”, zapewne „listem” w ręku. Wtedy właśnie pani Inglethorp każe rozpalić ogień na kominku. Wynika stąd, że pomiędzy czwartą trzydzieści a piątą zaszło coś, co wywołało kompletną rewolucję uczuć. O piątej pani Inglethorp chce zniszczyć testament sporządzony o czwartej trzydzieści. Dlaczego? O ile nam wiadomo, wspomniane pół godziny pani Inglethorp spędziła samotnie. Nikt nie wchodził do buduaru. Co mogło wpłynąć na tak gwałtowną

przemianę?

Możliwe są jedynie domysły, lecz jestem przekonany, że domyślam się trafnie. Pani Inglethorp nie miała w swojej komodzie znaczków pocztowych. To wiemy, bo później wysłała po nie Dorcas. Ale w

przeciwnym kącie pokoju stoi biurko pana Inglethorpa: biurko zamknięte na klucz. Według mojej teorii pani Inglethorp chciała tam poszukać znaczków i próbowała otworzyć żaluzjową pokrywę którymś z

własnych kluczy. Jeden pasuje. To sprawdziłem osobiście. A zatem otworzyła biurko i zamiast znaczków znalazła coś nie przeznaczonego z

pewnością dla siebie: ten „list”, który Dorcas widziała w jej rękach. Idziemy dalej! Pani Cavendish sądziła, że kartka, którą jej świekra ma w dłoni, stanowi konkretny dowód zdrady Johna Cavendisha. Chciała ją zobaczyć, lecz pani Inglethorp odmówiła, twierdząc, zgodnie z prawdą, że to jej nie dotyczy w najmniejszym stopniu. Pani Cavendish nie uwierzyła. Była

przekonana, że starsza pani osłania pasierba, a to osoba śmiała, przedsiębiorcza i wbrew pozorom chłodu diabelnie zazdrosna o męża. Postanowiła zdobyć domniemany dowód za wszelką cenę. Zbieg

okoliczności przyszedł jej z pomocą. Znalazła zgubiony tamtego ranka kluczyk od teczki. Wiedziała naturalnie, gdzie pani Inglethorp przechowuje wszelkie ważne papiery.

Taki plan działania - mówił dalej Poirot - mogła obmyślić jedynie kobieta przywiedziona zazdrością do skrajnej rozpacz. Co robi pani Cavendish? Wieczorem korzysta z jakiejś sposobności, by otworzyć drzwi do pokoju panny Cynthii. Być może rygiel naoliwiła, bo próbując go stwierdziłem, że chodzi gładko i cicho. Pani Cavendish czeka niemal do świtu; wie, że nad ranem będzie bezpieczniejsza, ponieważ służba przywykła do jej wczesnego wstawania. Kompletnie ubrana, w mundurze Pomocniczej Służby Rolnej, wchodzi do sypialni pani Inglethorp przez pokój *mademoiselle* Cynthii.

- Jak to? - wtrąciła panna Murdoch korzystając z krótkiej przerwy. - Przecież bym się obudziła, gdyby ktoś wszedł do mojego pokoju.

- Nie - odparł mój przyjaciel. - Była pani pod działaniem środka nasennego.

- Środka nasennego?

- *Mais oui!* Pamiętaj ą państwo - Poirot zwrócił się do całego zgromadzenia - że mimo zamętu i hałasu w przyległym pokoju panna Cynthia spała smacznie. Istnieją ą dwie możliwości: albo udawała sen, w co mi się nie chciało wierzyć, albo też została celowo oszołomiona. Dlatego zbadałem pilnie filiżanki, nie zapominając, że ostatniego wieczora pani Cavendish podawała kawę *mademoiselle* Cynthii. Ze wszystkich filiżanek pobrałem i oddałem do analizy próbki. Bez rezultatu. Starannie sprawdziłem rachunek, podejrzewając, że ktoś mógł sprzątnąć jedną filiżankę. Nie! Sześć osób piło kawę. Sześć filiżanek znalazłem. Musiałem przyznać się do pomyłki. Później dopiero wyszło na jaw, że przegapiłem nader ważną okoliczność. Kawę podano dla siedmiu osób, nie sześciu, gdyż doktor Bauerstein był w Styles Court po kolacji. Wobec tego sytuacja ulega radykalnej zmianie. Jednej filiżanki brakowało. Służba nie zwróciła na to uwagi. Annie przyniosła siedem filiżanek, bo nie wiedziała, że pan Inglethorp nie pija nigdy kawy. Następnego dnia rano Dorcas zabrała z salonu sześć, jak zwykle, albo, żeby być zupełnie ścisłym, pięć, gdyż szósta leżała potłuczona w pokoju zmarłej.

Nie wątpiłem, że brak filiżanki *mademoiselle* Cynthii. Utwierdziło mnie w tym przekonaniu jeszcze jedno: we wszystkich próbkach stwierdzono obecność cukru, a *mademoiselle* Cynthia kawy nigdy nie słodzi. Zainteresowałem się też gadaniną Annie o soli rozsypanej na tacy obok kakao, które Annie zaniosiła tamtego wieczoru do sypialni pani Inglethorp. Pobraną z rondelka próbkę odesłałem do analizy.

- Zrobił to już wcześniej doktor Bauerstein - wtrącił żywo Lawrence.

- Niezupełnie. Poleciał zbadać kakao na obecność strychniny. Nie chodziło mu o środek nasenny, jak mnie.

- O środek nasenny?

- Właśnie. Oto wynik analizy. Pani Cavendish zaaplikowała niegroźną, lecz skuteczną

dawkę środka usypiającego zarówno świekrze, jak i *mademoiselle* Cyntii. W rezultacie przeżyła ciężkie chwile. Proszę sobie

wyobrazić jej wrażenie, gdy pani Inglethorp zachorowała nagle i umarła i kiedy po raz pierwszy padło słowo „trucizna”. Jest przekonana, że zastosowany przez nią środek nie był groźny, ale w ciągu kilku straszliwych minut przypisuje sobie winę za śmierć świekry. Ulega wtedy panice, zbiega do salonu i filiżankę *mademoiselle* Cyntii wraz ze spodkiem wrzuca ukradkiem do dużej mosiężnej wazy. Znalazł ją tam później pan Lawrence. Pani Cavendish nie śmie tknąć resztek kakao. Jest pod

obstrzałem zbyt wielu spojrzeń. Z jaką ulgą musiała odetchnąć, gdy usłyszała o strychninie i zrozumiała, że nie ma na sumieniu zbrodni.

Poirot umilkł na moment, by jednak zaraz podjąć:

- Teraz znamy przyczynę zwłoki w działaniu trucizny. Środek nasenny wprowadzony do organizmu mniej więcej jednocześnie opóźnia działanie strychniny o kilka godzin.

Mary spojrzała na mojego przyjaciela. Zarumieniła się lekko.

- Wszystko się zgadza, *monsieur* Poirot. Przeżyłam najstraszliwszą godzinę w życiu. Nigdy jej nie zapomnę. Pan jest cudowny! Rozumiem teraz...

- A co? Nie mówiłem, że papa Poirot nadaje się na powiernika? Nie chciała mi pani zaufać.

- Wszystko się wyjaśniło - zabrał głos Lawrence. - Kakao zawierające środek nasenny wypite wkrótce po zatrutej kawie opóźniło działanie strychniny.

- Tak. Opóźniło działanie strychniny - powtórzył Poirot. - Ale czy kawa była istotnie zatruta? Napotykamy nową trudność, bo pani Inglethorp kawy nie wypiała.

- Co takiego?

Zdumiliśmy się wszyscy.

- Nie wypiała. W swoim czasie mówiłem o splamionym dywanie w sypialni zmarłej. Przypominają sobie państwo? Plama zdradzała pewne cechy zastanawiające: była jeszcze wilgotna, wyraźnie pachniała kawą, a tuż obok znalazłem w tkaninie dywanu maleńkie okruchy porcelany. Łatwo odgadłem, co się stało, bo zaraz po wejściu do pokoju postawiłem moją walizeczkę z przyborami na stoliku opodal okna. Błat przechylił się i walizeczka spadła na podłogę, akurat w to samo miejsce, gdzie znajdowała

się plama. Coś takiego musiało mieć miejsce poprzedniego wieczora. Pani Inglethorp weszła do sypialni, postawiła filiżankę tam, gdzie ja walizeczkę, a zdradliwy stolik splątał identycznego figła. Dalszy ciąg wydarzeń to tylko moje domysły. Przypuszczam, że pani Inglethorp podniosła stłuczoną filiżankę i umieściła na stoliku nocnym obok łóżka. Ale czuła potrzebę

jakiegoś środka pobudzającego, więc zagrzała kakao i popijała od czasu do czasu. I znowu stoimy w obliczu innego problemu. Wiemy, że kakao nie zawierało strychniny, a kawy pani Inglethorp nie wypiała. A przecież strychninę przyjęła w godzinach wieczornych, zapewne między siódmą a dziewiątą. Jak ją podano? Musiał być trzeci środek, doskonale neutralizujący

charakterystyczną gorycz. Ale, dziwna rzecz, ta możliwość nie przyszła na myśl nikomu. Jaki to środek? - mały Belg potoczył wokół wzrokiem i z zapalem odpowiedział na własne pytanie: - Lekarstwo pani Inglethorp.

- Sądzisz, że morderca zatrul strychniną miksturę wzmacniającą? -
zawołałem.

- Nie miał potrzeby. Mikstura zawierała już strychninę. Truciznę, która zgon spowodowała, zapisał pacjentce doktor Wilkins. Ostatecznie wyświetlę sprawę, kiedy odczytam wyjątek z receptury znalezionej w aptece Szpitala Czerwonego Krzyża w Tadminster.

Strychnini sulph. 0,2

Kalibromati 15,0

Aqua ad 300,0

Mfs

W roztworze tym w ciągu paru godzin sole strychniny wytrącają się jako nierozpuszczalny bromek w postaci przezroczystych kryształków. W Anglii pewna kobieta umarła w wyniku zatrucia miksturą o zbliżonym składzie. Przyjęła wraz z ostatnią dozą prawie całą zawartość strychniny strąconą skutkiem działania bromku potasu.

Oczywiście - ciągnął mój przyjaciel - nie było soli bromu w lekarstwie doktora Wilkinsa. Ale przypominają sobie państwo, że mówiłem o próżnym pudełku po proszkach nasennych zawierających brom. Dwa, dajmy na to, takie proszki rozpuszczone w lekarstwie wzmacniającym musiały strącić strychninę i spowodować, że prawie cała jej ilość została

spożyta w ostatniej dozie. Osoba, która zwykle podawała lek pani Inglethorp, robiła to bardzo ostrożnie. Nie potrząsała butelką, by cały osad został spokojnie na dnie.

W trakcie śledztwa napotykałem liczne wskazówki, że zbrodnię planowano na poniedziałek. Tego dnia ktoś przeciął drut dzwonka z sypialni pani Inglethorp. Panna Cyntia miała nocować u znajomych, o czym wszyscy wiedzieli. Innymi słowy, pani Inglethorp została w prawym skrzydle domu zupełnie sama, odcięta od wszelkiej pomocy i najprawdopodobniej umarłaby przed przybyciem lekarza. Ale spieszyła się na dobroczynny kiermasz i o lekarstwie zapomniała. Nazajutrz jadła lunch poza domem. W rezultacie przyjęła ostatnią śmiertelną dawkę o dobę później, niż przewidywał morderca. Dzięki tej zwłoce niezbity dowód, ostatnie ogniwo w łańcuchu, znajduje się obecnie w moim ręku.

Wśród grobowego milczenia Poirot dobył z kieszeni trzy długie, wąskie skrawki papieru.

- Własnoręczny list mordercy, proszę państwa! Gdyby był nieco bardziej przejrzyisty, pani Inglethorp ocalałaby zapewne. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz nie odgadła, co jej bezpośrednio grozi.

Zaległa martwa cisza. Poirot złożył paski papieru i począł czytać:

„Najdroższa Ewelino!

Zaniepokoi cię brak wiadomości. Wszystko w porządku, tylko dziś w nocy, nie wczoraj.

Rozumiesz? Po sprzątnięciu starej nadejda dobre czasy. Nikt nie może mnie podejrzewać. Brom to twój genialny pomysł! Ale

musimy być ostrożni. Jeden fałszywy...”

- Tutaj, proszę państwa, list się urywa. Niewątpliwie ktoś przerwał autorowi, którego tożsamość nie nasuwa wątpliwości. Wszyscy znamy ten charakter pisma, więc...

Przejmujący, rozpaczliwy wrzask zmącił ciszę.

- Potworne! Jak to zdobyłeś?!

Poleciało krzesło. Poirot zrobił zręczny unik, jeden chwyt i napastnik runął na podłogę.

- *Messieurs, mesdames* - mały Belg skłonił się szarmancko - pozwólcie zaprezentować sobie mordercę. Pan Alfred Inglethorp!



XIII.

POIROT UDZIELA WYJAŚNIEŃ

- Poirot, ty stary łobuzie! - powiedziałem. - Chętnie bym cię udusił! Dlaczego bujałeś mnie tak długo?

Upłynęło kilka gorących dni, siedzieliśmy w bibliotece. Piętro niżej Mary Cavendish witała odzyskanego Johna. Alfred Inglethorp i panna Howard znaleźli się pod kluczem. Nareszcie miałem przyjaciela wyłącznie

dla siebie, mogłem więc zaspokoić palącą ciekawość.

Poirot milczał przez dobrą chwilę. Wreszcie powiedział:

- Wcale cię nie bujałem, *mon ami*. Najwyżej pozwalałem, abyś sam siebie bujał.

- Niech i tak będzie. Ale dlaczego?

- Trudno to wytłumaczyć. Widzisz, *mon ami*, masz tak uczciwą naturę, tak szczerą twarz, że... No, nie potrafisz maskować prawdziwych uczuć. Gdybym informował cię o moich drobnych pomysłach, pan Alfred Inglethorp, wyjątkowo przebiegły jegomość, przy pierwszym z tobą spotkaniu zwietrzyłby pismo nosem, jak to się mówi. I co? Moglibyśmy pożegnać nadzieję, że go przyłapiemy.

- Chyba jestem lepszym dyplomata, niż ci się zdaje - rzuciłem cierpko.

- Mój kochany! - zawołał mały Belg. - Nie wściekaj się! Błagam! Zawdzięczam ci nieocenioną pomoc. A ostrożność nakazywał mi tylko twój szlachetny charakter.

- Niech i tak będzie - powtórzyłem trochę udobruchany. - W każdym razie mogłeś dać mi do

zrozumienia coś niecoś.

- Robiłem to, mój drogi. Nieraz robiłem! Nie przyjmowałeś do wiadomości moich aluzji. Zastanów się. Czy powiedziałem kiedy, że uważam Johna za winnego? Przeciwnie. Wielokrotnie powtarzałem, że najprawdopodobniej będzie uniewinniony.

- Tak, ale...

- Czy nie mówiłem również, że trudno dowieść zbrodni winowajcy? Nie rozumiałeś, że mam na myśli dwie różne osoby?

- Nie rozumiałem.

- I jeszcze jedno - podjął mój przyjaciel. - Od początku mówiłem wiele razy, że nie chcę, aby Inglethorp został aresztowany teraz. Nic stąd nie wywnioskowałeś?

- Czy to znaczy, że podejrzewałeś go od początku?

- Oczywiście. Pierwsze pytanie: komu śmierć pani Inglethorp mogła przynieść największą korzyść? Jej mężowi. Ta odpowiedź narzucała się sama. Kiedy po raz pierwszy poszedłem z tobą do Styles Court, nie miałem wyobrażenia, w jaki sposób dokonano morderstwa. Ale znając trochę Alfreda Inglethorpa przeczuwałem, że bardzo trudno będzie znaleźć ogniwo łączące jego osobę ze zbrodnią. Łatwo zorientowałem się, że

testament zniszczyła sama pani Inglethorp. Tutaj nie możesz się skarżyć, *mon ami*. Łopatą do głowy ci kładłem, że ogień na kominku w upalny dzień lata to trochę dziwna sprawa.

- No, tak, tak - przyznałem niechętnie. - Co dalej?

- Później, mój drogi, zachwiała się lekko moja wiara w winę Inglethorpa. Dlaczego? Było przeciwko niemu zbyt dużo dowodów, więc jałem podejrzewać, że nie on to zrobił.

- Kiedy zmieniłeś pogląd?

- Jak się zorientowałem, że im bardziej zabiegam, by go oczyścić, tym bardziej on zabiega, by doprowadzić do aresztowania. Później odkryłem, że Inglethorpa nie łączy nic z panią Raikes i że to John Cavendish działa na tamym terenie. Wtedy się upewniłem.

- Ale dlaczego, Poirot?

- Prosta sprawa. Gdyby Inglethorp romansował z panią Raikes, jego dyskrecja miałaby pełne pokrycie. Ale ta sama dyskrecja świadczyła o

czymś zupełnie innym, gdy wyszło na jaw, że to Johna zwabiły wdzięki przystojnej żony farmera. Wiedziała o tym cała okolica. W takich warunkach nonsensem byłoby przypuszczenie, że Inglethorp obawia się skandalu, gdyż ewentualny skandal nie mógł w żadnym przypadku mieć związku z jego osobą. Zachowanie spryciarza pobudziło mnie do intensywnego myślenia i wywnioskowałem ostatecznie, że Alfred Inglethorp chce zostać aresztowany.

- Zaczekaj. Nie rozumiem jeszcze jego pobudek.

- Są oczywiste. Według prawa waszego kraju ktoś raz uniewinniony nie może stanąć powtórnie przed sądem pod tym samym zarzutem. Dobry

pomysł, co? Pan Alfred Inglethorp, człowiek metodyczny, zadziwiająco metodyczny! Rozumiesz,

mon ami! Przewidywał trafnie, że podejrzenia muszą zwrócić się przeciwko niemu. Wobec tego wpadł na bardzo dowcipny koncept. Postanowił sfabrykować mnóstwo wskazujących na siebie poszlak. Chciał być podejrzany, aresztowany! I co? Przedstawi murowane alibi. Sprawa załatwiona! Spokój do końca życia gwarantowany!

- W dalszym ciągu nie pojmuję, jak potrafił stworzyć sobie alibi, a jednocześnie pójść do apteki.

Poirot zrobił zdziwioną minę.

- Nie pojmujesz, *mon ami!* Nie domyśliłeś się jeszcze, że to panna

Howard kupiła strychninę?

- Panna Howard?

- Oczywiście. A kto? Sprawa nie przedstawiała trudności. Panna Howard jest wysoka, ma niski, prawie męski głos. No i pamiętaj, że Inglethorp i ona to krewni, podobni do siebie, zwłaszcza z postawy i ruchów. Genialnie prosty pomysł! Sprytna para.

- Nie bardzo dotąd rozumiem, jak przedstawia się kwestia bromu.

- Aha! Postaram się zrekonstruować przebieg wydarzeń. Moim zdaniem panna Howard była głową całej akcji i sprężyną działania. Pamiętasz? Napomknęła raz, że jest córką lekarza. Może przygotowywała leki dla ojca. Może pomysł nasunęła jej jedna z książeczek fachowych, których pełno

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

było w domu, kiedy *mademoiselle* Cyntia przygotowywała się do egzaminu. W każdym razie wiedziała, że sole bromu dodane do mikstury zawierają strychninę wytrącając z roztworu truciznę. Cóż łatwiejszego niż

rozpuścić parę proszków w dużej flasce przysłanej z apteki? Ryzyko właściwie żadne! Katastrofa nastąpi po upływie plus minus dwu tygodni.

Jeżeli nawet któryś z domowników spostrzegł, że ktoś manipulował przy lekarstwach, zdąży o tym zapomnieć. Panna Howard zaaranżuje kłótnię z przyszłą ofiarą, opuści Styles Court. Jej nieobecność i znaczny odstęp czasu wykluczą podejrzenia. Genialny pomysł! Gdyby na nim poprzestali, zapewne zbrodni nie wykryto by nigdy. Ale nie! Przecholowali! Byli za sprytni.

Poirot wypuścił kłęb dymu z papierosa. Popatrzył w sufit.

- Postanowili skierować podejrzenie na Johna Cavendisha, podrabiając

podpis w aptecznej księdze trucizn na jego charakter pisma. W poniedziałek pani Inglethorp miała wypić ostatnią dozę mikstury. A zatem w poniedziałek o szóstej po południu Alfred Inglethorp pokazuje się kilku osobom w miejscu odległym od osady Styles. Panna Howard przygotowała z góry bajeczkę o nim i o pani Raikes, aby na przyszłość uzasadnić dyskrecję współnika. W poniedziałek o szóstej po południu panna Howard przebrana za kuzyna wchodzi do apteki, mówi, że chce otruć psa, kupuje strychninę. W księdze trucizn składa podpis Alfreda Inglethorpa charakterem pisma Johna Cavendisha, który uprzednio starannie wystudiowała. Jednakże podstęp spaliłby na panewce, gdyby John Cavendish miał alibi. Jest na to rada. Panna Howard pisze anonim do Johna Cavendisha podrabiając nadal jego charakter pisma. W rezultacie przyszły kozioł ofiarny znajduje się w odludnym miejscu, gdzie najprawdopodobniej nie spotka nikogo.

Na razie wszystko idzie gładko. Panna Howard wraca do Middlingham, jej współnik do domu. Nic go nie może skompromitować, gdyż panna Howard ma przy sobie strychninę, potrzebną zresztą jedynie po to, by stanowiła dowód obciążający Johna Cavendisha. Nagle maszynka się zacina! Pani Inglethorp zapomina o lekarstwie! Zepsuty dzwonek, nieobecność Cyntii, zorganizowana przez Inglethorpa za pośrednictwem

żony, wszystko idzie na marne. Wówczas on popełnia błąd. Korzystając z nieobecności żony siada do swego biurka, by listem uspokoić pannę Howard. Dlaczego? Obawia się, że współniczka ulegnie panice wobec niepowodzenia poniedziałkowego planu. Być może pani Inglethorp wróciła do domu wcześniej, niż mąż oczekiwał. Tak czy inaczej, Inglethorp zostaje

przyłapany. Pośpiesznie zamyka biurko. Nie chce zostać w buduarze. Lęka się, że sytuacja zmusi go do otwarcia biurka, i żona zauważy list, którego nie zdążył schować. Idzie na spacer. Do głowy mu nie przychodzi, że pani Inglethorp otworzy biurko jednym ze swoich kluczy i znajdzie kompromitujący dokument.

A tak się, jak wiemy, stało. Pani Inglethorp czyta list, uprzytamnia sobie perfidię męża i panny Howard, lecz na nieszczęście nie dostrzega bezpośredniego niebezpieczeństwa. Wie, że coś jej zagraża. Nie wie, z jakiej strony. Woli nie mówić nic mężowi. Pisze do swojego doradcy

prawnego, zaprasza go na dzień następny. Postanawia też zniszczyć

sporządzony dopiero co testament. Przechwycony list zatrzymuje.

- Rozumiem! - podchwyciłem. - Inglethorp włamał się do teczki, żeby odzyskać list.

- Nie inaczej. Podjął straszliwe ryzyko, musiał być w pełni świadom niezmiernej wagi tego dokumentu. Z wyjątkiem listu nie było ogniwa łączącego jego osobę ze zbrodnią.

- Jeszcze jedno, Poirot. Dlaczego nie zniszczył listu zaraz po jego odzyskaniu?

- Bo zląkł się najstraszliwszego ryzyka. Ani przez moment nie chciał mieć kompromitującego dowodu przy sobie.

- Nie rozumiem.

- Oceń kwestię z jego punktu widzenia. Stwierdziłem, że miał tylko pięć minut: pięć minut tuż przed naszym powrotem do sypialni. Uprzednio Annie zamiatała schody, więc widziałyby, że Inglethorp idzie do prawego

skrzydła domu. Wyobrażasz sobie tę scenę? Zbrodniarz otwiera drzwi którymkolwiek z kluczy: wszystkie są do siebie podobne. Wchodzi do sypialni, sięga po teczkę. Teczka jest zamknięta. Kluczyka nigdzie nie ma. Nowy straszliwy cios! Wizyty nie uda się ukryć! Cóż? Inglethorp rzuca na szalę wszystko! Za wszelką cenę musi odzyskać groźny dowód.

Błyskawicznie podważa zamek scyzorykiem, przegląda papiery, odnajduje zgubę. Ale powstaje nowy problem. Morderca nie śmie zatrzymać fatalnego świstka. Boi się, że ktoś go przyłapie w drzwiach sypialni, zrewiduje. Taki list w kieszeni oznaczałby nieuchronną zgubę. Może w tej sekundzie Inglethorp usłyszał, że na parterze John Cavendish i pan Wells wychodzą z buduaru? Trzeba działać szybko. Gdzie ukryć niebezpieczny dowód? Nie w koszyku na papiery. W Styles Court zbiera się makulaturę. Łatwo ją przejrzeć. Niepodobna zniszczyć kartki, niepodobna zatrzymać. Inglethorp rozgląda się dokoła i... Co robi? Jak sądzisz, *mon ami*?

- Nie mam pojęcia.

- W mgnieniu oka rozdziera list na trzy długie paski, zwija fidybus i wpycha do pucharka, między inne fidybusy.

Wydałem okrzyk zdumienia.

- Nikomu na myśl nie przyjdzie, aby tam szukać - podjął Poirot. - A on przy lada sposobności zakradnie się do sypialni, by zniszczyć jedyny obciążający go dowód.

- Więc przez cały czas list spoczywał w pucharku z fidybusami, w sypialni pani Inglethorp? Przez cały czas mieliśmy go przed nosem?

Mój przyjaciel twierdząco skinął głową.

- Tak, *mon ami*. Tam znalazłem ostatnie ogniwo łańcucha. A to wielkie odkrycie zawdzięczam tobie.

- Mnie?

- Oczywiście. Pamiętasz? Powiedziałeś, że ręka mi drżała, kiedy przestawiałem drobiazgi na półce nad kominkiem?

- Pamiętam. Nie rozumiem jednak...

- Ale ja zrozumiałem - przerwał Poirot. - Uprzytomniłem sobie, że tamtego rana, nieco wcześniej,

kiedy byliśmy razem w sypialni, zrobiłem

porządek na półce. Jeżeli zatem drobiazgi stały, jak należy, nie było potrzeby ustawiać ich powtórnie, chyba że ktoś coś poruszył.

- Na Boga! Widzę teraz powód twojego cudacznego zachowania! Pojechałeś do Styles i list znalazłeś na dawnym miejscu?

- Tak. To był wyścig z czasem.

- Nadal brodzę w ciemności. Czy Inglethorp oszalał? Dlaczego nie uprzątnął obciążającego dowodu? Miał po temu sto okazji.

- Nie miał! Ja się o to postarałem.

- Ty?

- Tak. Wyrzuciłeś mi, że po odkryciu włamania do teczki narobiłem hałasu na cały dom. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- Widzisz, mój drogi, nie było innego wyjścia. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, czy to na pewno robota sprytnego Alfreda. Jedno wiedziałem. Włamywacz nie zatrzymał przy sobie dokumentu, którego

szukał. Ukrył go gdzieś i niezawodnie chciał zniszczyć przy okazji. Musiałem temu zapobiec, więc postarałem się o pomoc wszystkich domowników. Inglethorp był podejrzany, więc narobiwszy hałasu zyskałem dziesiątek detektywów amatorów. Wiedziałem, że Inglethorp znajdzie się pod nieustanną obserwacją, a zdając sobie z tego sprawę, nie będzie śmiał zniszczyć dokumentu. Jaki był skutek? Inglethorp musiał wyprowadzić się z domu i list zostawić w pucharku z fidybusami.

- Rozumiem. Ale panna Howard miała sposobność dowód sprzątnąć.

- Nie wiedziała o jego istnieniu. Zgodnie z uknutym planem nie rozmawiała nigdy z kuzynem. Uchodzili za śmiertelnych wrogów, więc w

istniejących warunkach nie mogli odważyć się na spotkanie przed wyrokiem skazującym Johna Cavendisha. Naturalnie miałem Inglethorpa na oku. Spodziewałem się, że wcześniej lub później zaprowadzi mnie do kryjówki. Nie zrobił tego. Był za sprytny. Papierek leżał spokojnie. Nikomu nie przyszło na myśl zajrzeć do pucharka w ciągu pierwszego tygodnia. Czemu miałyby się to zdarzyć później? Gdyby nie twoje przypadkowe słowa, Alfred Inglethorp mógłby uniknąć kary.

- Już wszystko rozumiem. Ale powiedz, Poirot, kiedy zacząłeś podejrzewać pannę Howard.

- Od momentu, gdy przekonałem się, że w czasie rozprawy u koronera

skłamała na temat listu, który dostała od pani Inglethorp.

- Co mogła skłamać?

- Widziałeś ten list. Przypominasz go sobie?

- Tak... mniej więcej.

- Może zwróciłeś uwagę, że w dacie „17 lipca” jedynka różni się od siódemki. Rozumiesz teraz?

- Muszę przyznać, że nie.

- Przecież to jasne. List został napisany siódmego, nie siedemnastego lipca, w dniu wyjazdu panny Howard. Jedynekę dodała później.

- Po co?

- Bardzo podobne pytanie zadałem sobie samemu. Dlaczego panna

Howard zataiła list z siedemnastego lipca i przedstawiła dawniejszy,

sfalszowany? Bo wolała nie pokazywać późniejszego. To obudziło moje podejrzenia. Pamiętasz? Powiedziałem ci, że trzeba mieć się na baczności pod każdym względem, kiedy ludzie nie mówią prawdy.

- A mimo to - zachnąłem się niecierpliwie - przytoczyłeś później dwa powody, dla których panna Howard nie mogła popełnić zbrodni.

- Bardzo ważne powody, *mon ami*. Długi czas potykałem się o nie. Wreszcie uprzytomniłem sobie, że panna Howard i Alfred Inglethorp to kuzyni. Nie mogła zamordować samodzielnie, lecz jej współudział nie był wykluczony. No i ta przesadna, ostentacyjna nienawiść mogła maskować zupełnie inne uczucia. Niewątpliwie długo przed pojawieniem się Inglethorpa w Styles czułe związki łączyły tę parę. Nikczemny plan był z góry ułożony. On miał poślubić bogatą, lekko pomyloną damę w starszym wieku, wyłudzić testament na swoją korzyść i uwolnić się za pomocą bardzo przebiegle obmyślonemu morderstwu. Gdyby zbrodniarze postawili na swoim, z pewnością wyjechaliby z Anglii i żyli gdzieś dostatnio na koszt nieszczęśliwej ofiary.

To chytra, nie przebijająca w środkach para. Rozumiesz, Hastings? Na Inglethorpa rozmyślnie zwraca się uwagę, a jednocześnie ona przygotowuje

całkiem inne rozwiązanie. Przyjeżdża z Middlingham z kompromitującymi „dowodami”. Jest absolutnie wolna od podejrzeń. Nikt nie zwraca uwagi na jej wędrowki po domu. Bez trudności podrzuca strychninę i okulary w pokoju Johna. Brodę chowa w kufrze na poddaszu. Jej głowa, by to wszystko się wcześniej czy później znalazło.

- Nie bardzo rozumiem, czemu zbrodniarze uwzięli się na Johna - powiedziałem. - Nierównie łatwiej byłoby zrobić kozła ofiarnego z Lawrence’a.

- Możliwe. Ale poszlaki przeciwko Lawrence’owi nasuwały się same, ku niemałemu zmartwieniu naszej pary. To był czysty zbieg okoliczności. Naturalnie z ich punktu widzenia.

- Lawrence zachowywał się dziwnie - podchwyciłem tonem zastanowienia.

- Tak. I oczywiście rozumiesz motywy tego postępowania?

- Nie.

- Nie rozumiesz? Sądził, że zbrodnię popełniła *mademoiselle* Cyntia.

- Niepodobna! - zawołałem.

- Dlaczego? Sam byłem bardzo bliski takiej koncepcji. Pierwsze moje pytanie zadane panu Wellsowi tyczyło schedy. W grę wchodziły też spreparowane przez pannę Cyntię proszki nasenne i jej talent do przebijania się za mężczyzn, o czym wspomniała Dorcas. Słowo daję! Miała przeciwko sobie poszlak wi

- Ż

ęcej niż ktokolwiek inny!

artujesz, Poirot!

- Nic podobnego. Chcesz wiedzieć, czego przeraził się Lawrence, kiedy krytycznej nocy wszedł do sypialni pani Inglethorp. Zorientował się łatwo, że jego macocha kona, niewątpliwie otruta. W tym momencie spojrzał nad twoim ramieniem w kierunku drzwi do pokoju *mademoiselle* Cyntii. Były odryglowane!

- Twierdził coś wręcz przeciwnego - zaproponowałem.

- Naturalnie. To mnie właśnie upewniło, że rygiel był odsunięty.

Lawrence osłaniał *mademoiselle* Cyntię.

- Z jakiej racji miałby ją osłaniać?

- Bo się w niej kocha.

Wybuchnąłem śmiechem.

- No, tym razem, Poirot, jesteś w grubym błędzie. On się w niej kocha!

Dowiedziałem się przypadkiem, że jej wyraźnie nie lubi.

- Kto ci to mówił, *mon ami*?

- Sama Cyntia.

- Biedna mała! Bardzo była tym zmartwiona?

- Skąd! Powiedziała, że jej wcale na nim nie zależy.

- Wobec tego zależy jej bardzo. Ach, kobietki, kobietki! Zawsze takie same.

- Twoje wnioski to dla mnie wielka niespodzianka - powiedziałem.

- Dlaczego? Czy Lawrence nie robił kwaśnej miny, ilekroć *mademoiselle* Cyntia rozmawiała wesoło z jego bratem? Wbił sobie do głowy, że ta mała jest zakochana w Johnie. Kiedy krytycznej nocy zrozumiał, że panią Inglethorp otruto, kiedy zobaczył odryglowane drzwi, pochopnie wyciągnął wnioski. Osądził, że panna Murdoch ma coś wspólnego ze zbrodnią. Przywiedziony do rozpacz, zdeptał filiżankę. Był przekonany, że ona zaniósła kawę na górę. Nie chciał dopuścić do badania fusów. Później uparcie i wbrew logice bronił koncepcji śmierci z przyczyn naturalnych.

- Mógłbyś mi wytłumaczyć historię z brakującą filiżanką po kawie? - podjąłem.

- Byłem przekonany, że ukryła ją pani Cavendish, ale musiałem się upewnić. *Monsieur* Lawrence nie rozumiał zupełnie, o co mi chodzi. Jednakże po namyśle doszedł do przekonania, że oczyści ukochaną z podejrzeń, jeżeli nieszczęsną filiżankę znajdzie. Nawiasem mówiąc, miał słuszość.

- Jeszcze jedno, Poirot. Jaki sens miały ostatnie słowa pani Inglethorp?

- Jaki? Stanowiły oskarżenie męża. To pewne.

- Jak Boga kocham, Poirot, chyba już wszystko wyjaśniłeś. Cieszę się z pomyślnego zakończenia sprawy. Nawet John pogodził się z żoną.

- Dzięki mnie.

- Dzięki tobie? - zdziwiłem się raz jeszcze.

- Kochany przyjacielu! Nie rozumiesz, że tylko i wyłącznie proces mógł ich pojednać? Osobiście nie wątpię, że John Cavendish kocha Mary. Podobnie oceniałem jej uczucia dla męża, Niestety jednak oddalili się od siebie, bardzo oddalili. Mary wyszła za Johna bez miłości. On wiedział o tym, a będąc na swój sposób delikatny i wrażliwy, nie chciał się narzucać. Mary natomiast pokochała go, gdy począł od niej stronić. Nic tu nie pomogło. Obydwoje są dumni, więc drogi ich rozchodziły się coraz bardziej. On nawiązał intrygę z panią Raikes. Ona na złość pielęgnowała przyjaźń z doktorem Bauersteinem. Pamiętasz, że w dniu aresztowania Johna głowiłem się nad trudnym problemem?

- Pamiętam i doskonale rozumiem twoje przygnębienie.

- Wybacz, *mon ami*, ale nic nie rozumiesz. Zastanawiałem się wtedy, czy

powiniennem zaraz oczyścić Johna z podejrzeń. Mogłem to zrobić. Być

może kosztem bezkarności dla prawdziwych winowajców, ale mogłem. Widzisz, ta para nie orientowała się do ostatniej chwili, w jakim kierunku rzeczywiście zmierzam. Temu głównie zawdzięczam sukces.

- Twierdzisz, Poirot, że byłeś w stanie nie dopuścić do procesu Johna Cavendisha?

- Tak, mój drogi. Ostatecznie jednak postanowiłem działać na rzecz szczęścia kobiety. Nic z wyjątkiem śmiertelnego niebezpieczeństwa nie

zdołałoby pojednać tych dwojga dumnych ludzi.

Oślupiałem. Z podziwem spojrzałem na przyjaciela. To olbrzym w drobnym ciele! Tylko Herkules Poirot, nikt więcej pod słońcem, mógł wpaść na „drobny pomysł”, by szczęście małżeńskie ratować posługując się procesem pod zarzutem morderstwa!

- Czytam twoje myśli, *mon ami* - uśmiechnął się mały Belg. - Masz rację! Jedyne Herkules Poirot mógł pokusić się o coś podobnego! Szczęście jednego mężczyzny i jednej kobiety to sprawa najważniejsza w świecie.

Ostatnie zdanie przypomniało mi niedawne wydarzenia. Oczyma wyobraźni zobaczyłem Mary. Oto blada, wyczerpana, leży na kanapie i nasłuchuje, nasłuchuje. Na parterze dźwięczy dzwonek. Mary zrywa się raptownie. W otwartych drzwiach staje Poirot z radosnym uśmiechem na twarzy. „Tak, *Madame!* - mówi. - Przyprowadziłem go pani”. Z tymi słowy się cofa, a ja wychodząc z pokoju widzę wyraz twarzy Mary, którą John porywa w objęcia.

- Chyba masz słusność, Poirot - przyznałem cicho. - To sprawa najważniejsza w świecie.

Nagle drzwi uchylły się i do biblioteki zajrzała Cyntia.

- Ja... Ja tylko...

- Prosimy - powiedziałem wstając żywo.

Postąpiła parę kroków, lecz nie usiadła.

- Ja tylko chciałam powiedzieć, że...

- Słuchamy?

Cyntia milczała. Przez kilka sekund manipulowała palcami przy klamrze paska.

- Kochani jesteście! - rzuciła niespodziewanie, ucałowała nas obu i wybiegła szybko.

- Cóż to, u licha, ma znaczyć? - zawołałem zdziwiony. Pocałunek Cyntii był przyjemny, lecz przyjemność psuła obecność świadka, a zarazem współodbiornicy.

- Co miało znaczyć? - powtórzył Poirot. - Zapewne *mademoiselle* Cyntia odkryła, że pan Lawrence nie jest jej tak niechętny, jak sądziła.

- Ale...

- Oto on!

Młodszy Cavendish stanął na progu biblioteki.

- O! *Monsieur* Lawrence! - powiedział Poirot. - Można pogratulować, prawda?

Lawrence spurpurowiał, uśmiechnął się bardzo niemądrze. Zakochany mężczyzna przedstawia żaloszny widok. A Cyntia wyglądała uroczo!

Westchnąłem smutno.

- Co ci, *mon ami*?

- Nic - odburknąłem. - To dwie wspaniałe kobiety.

- I żadna nie dla ciebie - dokończył mój przyjaciel. - Trudno. Nie martw się, *mon ami*. Może kiedyś będziemy wspólnie na jakimś tropie. Wtedy...

Kto wie?



KONIEC

Księgozbiór DiGG

f

2008